GAZETA POLSKA CHICAGO

BOŻE ZBAW POLSKĘ

PISMO LUDOWE DLA POLONII W AMERYCE.

No. 1. Chicago, Illinois, Czwartek dnia 5go Stycznia 1911 roku. Rok 39.

Entered as Second Class Matter June 25th 1885 at the Post Office at Chicago, Illinois, under Act of March 3rd 1879.



Prasa amerykańska z uznaniem notuje, że ta "lady" córka zwykłego kupca z Chicago p. Houghteling i wdowa po Canfieldzie, który jej zostawił znakomity majątek, zdobyła sobie lorda angielskiego na drugiego małżonka i — przywiozła go do New Yorku, gdzie oboje odgrywają obecnie pierwsze role w tamtejszem "society". Arystokratyzuje się Ameryka...

RODAKOM NA NOWY ROK

— o —

Bracia rodzeni! Bracia najszczersi!
Z radosną wiarą, tętniącą w piersi
Nowy witajmy Rok
Bo to rok pracy, bo to rok plonu,
Więc doń od pługa, więc od zagonu
Jasny podnieśmy wzrok.

Kiedy, ideom jasnym oddani,
Idziem, pragnieniem Czynu zbratani,
W krwawicy życia bój, —
Zapracowane połączmy dłonie
I serc przymierze ukrzepmy w łonie
Na łzy, na ból, na znój!

Przysięgę święćmy w obliczu Boga,
Że jedna będzie nam wszystkim droga
Wśród rwących losu strug;
Że czy w słonecznej; czy w chmurnej doli
Pierś nam pancerzem stalnym okoli

Hasło — "Ojczyzna — Bóg!"
Gdy w sercach hasło to będzie grało,
Potęgą ducha mdłe stężym ciało,
Strząśniem kajdany z rąk!
...Choć krwią a łzami nasz ślad się znaczy,
Zabłyśnie przecie dla nas, tułaczy
Dzień wyzwolenia z mąk.

Więc jeno razem wciąż naprzód, Druhy!
Ku pracom wspólnym zjednoczmy duchy,
A choć urąga wróg, —
My, zapatrzeni na ideały,
Ten świat — wątpiący pouczym cały,
Że jest nad nami Bóg!

Naprzód a razem — Bracia najszczersi!
Z otuchą, z wiarą, tętniącą w piersi,
Witajmy Nowy Rok!
Rok pracy nowej — nowego plonu,
Więc doń od pługa, więc od zagonu
Jasny podnieśmy wzrok!

Karol Wachtel.

Z CAŁEGO SWIATA.

Jakiego to rodzaju łowy "dworskie" odbywają się obecnie. Polowanie na grubego zwierza. Co znaczą projekty zwiększenia armii w Niemczech i Austryi. — Przeciwko komu te zbrojenia? Moloch militaryzmu wszystko pochłania. — Szczegóły o austryackiem przesileniu. Koło Polskie przedmiotem ataków ze strony prasy niemieckiej.

Na Hanowerskiej haidzie w rewirze Porta Westphalica poluje cesarz Wilhelm II z austryackim następcą tronu Franciszkiem Ferdynandem na zające.

Dziewięć salonowych wozów z Poczdamu przewiozło gości cesarskich do Hanoweru na polowanie. Szczególniejsze to były łowy na szaraka, w których obok cesarza Wilhelma ze strzelbą chodzi kanclerz państwa Bethman-Hollweg, a następca tronu zabiera ze sobą całą ambasadę austryacką w Berlinie z p. Szoegenyi-Morich na czele, a obok nich w orszaku cesarskich łowców znajduje się syn cesarza książe Eithel Fryderyk, hr. Eulenburg, adjutant gen. Plessen, a z Wiednia przybyli z arcyksięciem austryackim hr. Quentin i baron Rumerskirch. I nieby nic obchodziły łowy cesarskie na zające w Hanowerze, gdyby równocześnie w parlamencie niemieckim minister wojny generał von Haeringen nie zapowiedział znacznego podwyższenia kontingensu stałego wojska w Niemczech, a sekretarz stanu dla spraw skarbowych p. Wermuth nie przeraził parlamentu niemieckiego zapowiedzią nowego podatku od przyrostu majątku na pokrycie wzrastających niezbędnych wydatków militaryzmu.

Równocześnie w Austryi minister wojny gen. von Schoenaich również zapowiada podwyższenie kontyngentu rekruta, a obydwaj ministrowie w Wiedniu i Budapeszcie mają na rok przyszły obmyśleć środki na pokrycie wzrastających wydatków na wojsko w kwocie około 50 milionów koron.

Tak równocześnie z polowaniem w Hanowerze Niemcy i Austrya zaskoczone zostały nowym programem powiększenia wojska i nowym budżetem militaryzmu. Na grubego polowano zwierza...

Przeciw komu zbroją się Niemcy i Austrya?... Bo że się od dwu lat zbroją, o tem świadczą budżety wojskowe obydwu państw środkowo-europejskich. Zdaje się nawet, że wszystkie inne sprawy, traktowane w parlamentach w Berlinie i w Wiedniu, nie mają dla obydwu rządów żadnego znaczenia, tylko sprawy wojskowe otaczane są szczegółową pieczołowitością obydwu rządów i tylko o tyle rządy zajmują się parlamentami, o ile mogą z nich wycisnąć nowe miliony na wojsko.

Właśnie w dniu polowania cesarskiego w Hanowerze rozpoczęły się w parlamencie niemieckim obrady nad etatem państwowym i to w nieobecności kanclerza państwa, który w tym czasie musiał strzelać cesarskie zające na Hanowerskich łowach.

W rozprawie etatowej w Berlinie zauważył minister wojny gen. von Haeringen, że podwyższenie stałego wojska na stopie pokojowej jest koniecznie potrzebne i że administracya wojskowa nie może tej "reformy" odłożyć na później, gdyż względy "wojskowe" i polityczne domagają się niezbędnie natychmiastowego jej załatwienia. Przedłożenie rządowe odpowiada najkonieczniejszym potrzebom armii, utrwala jej wewnętrzną organizacyę, a przeprowadzenie tej reformy uzdolni Niemcy jeszcze lepiej do obrony granic ojczystych, gdyby wojna miała Niemcy zaskoczyć. Przeciera się oczy, aby się przekonać, że na jawie odbywają się te rzeczy, tak się nie chce wierzyć w te brednie niemieckiego ministra wojny.

Ale jak się przypomni, że cesarz austryacki do sprawozdawcy wojskowego w delegacyach posła Kozłowskiego mówił, że armia austryacka jest zaniedbana, że potrzeba koniecznych reform, że od lat 10 bezskutecznie armia o tę reformę prosi, a parlamenty pieniędzy nie dają, to się widzi, że tu jest planowe podwyższenie stanu wojska zamierzone i że istotnie Austrya musiała się wobec Niemiec zobowiązać do podwyższenia swego kontyngensu.

Dowiemy się o tem niebawem po powrocie następcy tronu Franciszka Ferdynanda z wycieczki myśliwskiej; dowiemy się nietylko o trofeach myśliwskich cesarskich, łowców, ale także o dokonanych układach politycznych i zaciągniętych zobowiązaniach. Oczywiście, żaden minister wojny nie powie nam, po co ta olbrzymia armia w przyszłości musi być podwyższona, ani przeciw komu skierowane są te zbrojenia, które zaciężyły nad całem życiem gospodarczem ludów, ale dowiemy się napewno, ile okrętów wojennych musi Austrya dostarczyć i do jakiego kontyngensu musi stałe wojsko podnieść.

Włoski minister spraw zagranicznych, pytany o powód zbrojenia, powiedział w parlamencie włoskim że Włochy nie zbroją się przeciw Austryi, ani Austrya przeciw Włochom. Przyznał jednak, że zbrojenia są koniecznością państwową. Kanclerz niemiecki w swej mowie etatowej to samo powie z pewnością o Niemczech, a austryacki o Austryi, że nie przeciw sobie stają te olbrzymie i z każdym rokiem wzrastające armie. Jest to z pewnością dowcip najlepszy, jaki się wykrzesał na arenie parlamentarnej.

Wszyscy się zbroją, ludy uginają się pod ciężarem militaryzmu, ale nikt nie zbroi się przeciw nikomu, wszyscy żyją w najlepszej zgodzie i nikt nie myśli o naruszeniu pokoju. Ale za ten udatny dowcip dyplomatów ludy płacą krwią i mieniem. Co militaryzm dziś pochłania wśród przymierza, starczyłoby na cały budżet kultury i oświaty i jeszczeby w połowie ulżyło ciężarów podatkowych.

Oczywiście, że tak długo być nie może. Napięcie zbrojne musi się wyładować. Dlatego wszyscy z obawą pytają, dokąd idziemy?

Rosnące wśród mas ludności niezadowolenie ma swe źródło w tem głównie, że stronnictwa rządzące w parlamentach ślepo idą za głosem rządów, dla których jedynem przykazaniem jest wzmocnienie siły militarnej państwa. Widzieliśmy niedawno ministra skarbu przy pracy. Szło o usunięce deficytu w skarbie państwa i związanie końca z końcem. Potrzebne były oszczędności w wydatkach państwa. Z trudem więc dokonane w budżetach skreślenia etatów różnych przyniosły 36 milionów oszczędności. A tymczasem jeden Dreadnought kosztuje 60 milionów.

Znamy innego ministra skarbu, który cieszy się powszechną niepopularnością w parlamencie, w swoim klubie i w swym narodzie. Ale za to ma zupełne zaufanie u korony. Dlaczego? Oto w chwili, kiedy państwo gotowało się do wojny przed dwoma laty, dał bez pozwolenia parlamentu 300 milionów na wydatki wojenne. Tak teraz więc wszystko ocenia się z punktu widzenia przyszłej wojny.

Mogą ministrowie spraw zagranicznych z świadomością nieprawdy mówić o zupełnie zrównoważonem położeniu politycznem, mogą mowy tronowe zapewniać o przyjaźni ze wszystkimi sąsiadami i malować raj na ziemi! Faktycznie z pierwszego dziesiątka wieku XX wychodzi środkowa Europa z takim wzrostem uzbrojenia i takim ciężarem militaryzmu, że nawet olbrzymi rozwój gospodarczy i niebywały rozkwit ekonomiczny nie jest w stanie zaspokoić molocha militaryzmu, który wszystkie oszczędności jednostek i narodów pochłania, wzbogacając tylko przemysł wojenny, który dziś naprawdę się rozrósł i rozgospodarował. Zapowiedź podwyższenia stałego kontyngensu wojska w Niemczech i w Austryi jest dla całej Europy, niepokojącym objawem. W Hanowerze w rewirze cesarskim między Springe a Porta Westphalica polowano na grubego zwierza.

* * *

Jak już donosiliśmy w telegramach, "Koło Polskie" obaliło ministeryum barona Bienertha, który przez lat parę obdarzony zaufaniem korony, stał na czele rządu austryackiego. Fakt to wielkiej doniosłości i mogący pociągnąć za sobą wielkie konsekwencye. Chwila bowiem dymisyi gabinetu, jest dla sfer kierowniczych we Wiedniu bardzo niedogodna. Parlament powinien był przed Nowym Rokiem uchwalić t. zw. konieczności państwowe: prowizoryum budżetowe, nowy statuk banku austryacko-węgierskiego, będący kompromisem obydwóch rządów — owocem bardzo długich i trudnych rokowań, oraz traktat handlowy z Serbią. Poza tem trwała przeniesiona z Pragi do Wiednia poufna akcya ugodowa czesko-niemiecka.

Gabinet upadł nietylko z powodu zatargu z Kołem Polskiem o kanały wodne. Kanały — to niejako urzędowy powód ustąpienia Bienertha. Już nie przeciw ministeryum skarbu i solidaryzującemu się z nim gabinetowi, ale właśnie przeciwko osobie prezesa ministrów rozwijała się równolegle, choć bez żadnego porozumienia akcya klubu czeskiego, który nie żywi doń zaufania. Bar. Bienerth nie miał oparcia w większości Izby, musiał więc ustąpić.

Dla stronnictw niemieckich i dla prasy wiedeńskiej, oddanej rządowi, niespodziewane przesilenie ministeryalne jest bardzo nie na rękę. Zorganizowanie się klubu czeskiego na wzór Koła Polskiego i usunięcie z jego prezydyum dra Kramarza, który dla kół miarodajnych w Wiedniu był istną bete noire, było zapowiedzią, że żadna kombinacya parlamentarna bez udziału Czechów obejść się nie może. Oczywiście perspektywa współudziału Czechów w większości parlamentarnej nie uśmiecha się Niemcom. Te same jednak stronnictwa niemieckie, z któremi Koło Polskie w ostatnich latach tworzyło większość rządową, z całą bezwzględnością zwalczają obecne żądania Polaków w sprawie budowy dróg wodnych w Galicyi.

Chwycono się więc zwykłego środka i zaatakowano Koło Polskie z różnych stron w prasie niemieckiej. N. Fr. Presse, napisała artykuł o ciężkiej odpowiedzialności, którą bierze na siebie Koło Polskie, wyrządzając wielką szkodę państwu; gazeta giełdowa odwołuje się do dążeń polskich od udziału w rządzeniu z Austryą, do ich nadziei związanych z monarchią i do przeszłości politycznej. Polacy wiedzą, że wszystkie stronnictwa są przeciwne kanałowi galicyjskiemu, że żaden rząd nie będzie go mógł wybudować. Nie potrzeba wyrzekać, zapewne ze względu na opinię kraju — samego projektu, tylko odsunąć go w nieokreśloną przyszłość.

Koło Polskie, uniemożliwiając uchwalenie statutu bankowego, odnawia zatarg Austryi z Węgrami o wypłaty w gotówce. Koło Polskie, usuwając Bar. Bienertha, który wytworzył nastrój ugodowy w sporze czesko-niemieckim, spycha ten spór na poprzednie, tak dla całej monarchii szkodliwe tory.

Inne organy oskarżają wprost Koło Polskie o sojusz z Czechami w celu obalenia gabinetu. Schles. Zeitung twierdzi nawet, że ta koalicya odbije się na polityce zewnętrznej monarchii rakuskiej. Czesi bowiem postanowili zmienić swą niefortunną taktykę, stosowaną podczas kryzysu bośniackiego, uznając, że stronnictwo, chcące mieć wpływ na politykę wewnętrzną w Austryi, nie może przeciwstawiać się wymaganiom polityki zagranicznej. Wspólnie z "wszech-polakami" mają Czesi nadzieję, że uchwaliwszy ministrowi wojny kredyty wojskowe, będą mogli postawić Niemcy wobec alternatywy: albo wyrzeczenia się przymierza z Austro-Węgrami, albo też wydania Niemców austryackich na pastwę zalewu słowiańskiego, ale i zmiany ich wewnętrznej polityki na korzyść Polaków. Tak przygotowują się Słowianie w Austryi pod wodzą Polaków na tę chwilę, gdy będzie odnawiane trójprzymierze.

Wytaczanie dział o tak dużym kalibrze dowodzi, że sytuacya parlamentarna przedstawia się bardzo poważnie. Dowodzi to również, że wywalczenie dla Galicyi ustępstw ekonomicznych jest bardzo trudne i natrafia na opozycyę przedstawicieli tych krajów przemysłowych, które przyzwyczaiły się do wyzyskiwania tego Hinterlandu. Przyczyniła się do tego w znacznej mierze dawna polityka Koła Polskiego, którego przywódcy dbali o zachowanie roli decydującej Polaków w sprawach politycznych, ale lekceważyli zdobycze ekonomiczne. Zmiana w tym kierunku datuje się właściwie od objęcia prezesury Koła przez dra Głąbińskiego. Winę obecnego przesilenia ponosi po części minister Biliński, któremu się zdawało, że intrygami i pozyskiwaniem poszczególnych grup i posłów w Kole potrafi "utrącić" sprawę kanałów.

Opinia jednak publiczna i odczuwanie doniosłości zdobyczy ekonomicznych poczyniły zbyt wielkie postępy w Galicyi, by mogły zatryumfować jakieś szacherki pokątne. Właśnie przed samem przesileniem, jakby w jego przeczuciu w prezydyum Koła Polskiego, zaszły zmiany, wzmacniające jego jednolitość i pozycyę prezesa. Nie może ulegać wątpliwości, że wytrawne kierownictwo Koła przygotowało się na wszelkie ewentualności i obliczyło zyski i straty przesilenia. Polacy zaznaczyli zresztą wyraźnie, że gotowi są uchwalić konieczności państwowe natychmiast, bez względu na to, czy na czele rządu stać będzie jeszcze gabinet Bienertha in statu demissionis, czy nowe ministeryum parlamentarne, czy prowizoryczny urzędniczy gabinet. Groźby wrogów Koła utracenia dotychczasowych wpływów z powodu opozycyjnego stanowiska wobec gabinetu Bienertha, który w sprawie kanału chciał dawną metodą austryacką wykręcić się sianem i pokrzywdzić interesy gospodarcze Galicyi na rzecz innych krajów, są chińską metodą walki przy pomocy smoków i straszaków.

Telegramy Zagraniczne.

FATALNE POŁOŻENIE W HONDURAS.

Rewolucya szerzy się po całym kraju.

PUERTO CORTEZ, Honduras. — Ludność miejscowa żyje w ciągłym strachu; kanonierka bowiem rewolucyjna "Hornet" płynie ku miastu i jest zaledwie kilka mil stąd oddalona.

Rząd nadesłał tu z Tegucigalpa kilkuset żołnierzy.

Donoszą tu, że około Lasquabrados wojska rządowe walczą z powstańcami.

Konsul amerykański, stosownie do polecenia komendanta kanonierki amerykańskiej "Tacoma" wydał odezwę do Amerykanów, by podczas ataku kanonierki Hornet na miasto, nie wychodzili na ulicę.

Kanonierka "Tacoma" zawinęła tu do portu, by strzedz interesów amerykańskich.

W porcie tutejszym leży wprawdzie na kotwicach kanonierka rządowa "Tatumbla", ale uzbrojenie jej składa się tylko z dwóch dział jednofuntowych i nie może ona skutecznie bronić miasta przed atakiem kanonierki powstańczej "Hornet", zaopatrzonej w działa sześciocalowe.

Położenie jest wogóle fatalne: rewolucya szerzy się po całym kraju i niewiadomo nawet, co najbliższy dzień przyniesie.

Rząd jest bezradny wobec tego ruchu i zaniepokojenie panuje w stolicy Tegucigalpa. Kongres rozpoczął swoją sesyę.

Komendant kanonierki "Tacoma" wysadził na ląd oddział marynarzy amerykańskich i polecił im strzeżenie konsulatu.

STRAJK PARALIZUJE HANDEL.

BARCELONA, Hiszpania. — Strajk 12,000 robotników dokowych i ładowaczów węgla spowodował całkowity zastój interesów w tutejszym porcie. Żadnego okrętu nie naładowano, ani wysłano. Amerykańskie i niemieckie domy handlowe pros[illegible] żeby im przysłał [illegible] portu, któreby pomogło wysłać towar stu zgromadzony.

ZWYCIĘSTWO POWSTAŃCÓW.

Podobno 400 żołnierzy rządowych padło na placu boju.

EL PASO, Tex. — Telegram nadeszły tu do dziennika Times od korespondenta z Chihuahua brzmi następująco:

"Ekspedycya Luqu'a stoczyła około Casa Colorada zaciętą walkę z siłami powstańców. Walka trwała 4 dni. Straty wojsk rządowych wynoszą 600 głów. Straty powstańców nieznaczne. W całej ekspedycyi panuje wśród żołnierzy zniechęcenie. Kolumna Navarra otoczona koło Mal Paso".

MIASTO MEKSYK, 31 grudnia. — Nieurzędowe wieści nadchodzą z placu walki około Mal Paso. Podobno wojska rządowe obsadziły powyższą miejscowość. Pułkownik Escudero zdobył przesmyk koło Mal Paso, odparłszy po zaciętej walce siły powstańców.

Podobno siły rządowe zamierzają ruszyć na Giudad Geurrero, by tam złamać resztę buntu.

W stanie Vera Cruz opodal od Cordowy miało wczoraj wybuchnąć znowu powstanie. Rząd sobie ten wybuch lekceważy.

Z Tabasco donoszą, że 150 rewolucyonistów zaatakowało Santa Ana, mały port w zatoce meksykańskiej w stanie Tabasco.

Po zrabowaniu miasta oddalili się powstańcy ku miastu Tonala, oddalonemu o 20 mil od Santa Ata.

Z Osad Polskich W AMERYCE.

Z BUFFALO, N. Y.

Nieszczęście w domu Michalskich; 10 letni chłopczyk postrzelił 8 letnią siostrę. Zamach samobójczy. Śmierć robotnika; bójka w salunie.

Smutny wypadek zaszedł tu w domu pnr. 106 Koons ave., przypominający swoją osnową starą historyę o chłopcu i rewolwerze nienabitym.

Była to godzina pół do trzeciej. W domu Zofii Michalskiej, która wraz z swoimi dziećmi mieszka pod powyższym adresem, czyszczono mieszkanie, przygotowując się na święta. Robotą tą była zajęta matka, oraz dwoje jej dziatek 10 letni Czesław i 8 letnia Salomea. Dzieci czyściły domową śpiżarkę, gdzie — podług opowiadania — znalazł Czesław stary, zardzewiały rewolwer. Na nieszczęście rewolwer był nabity. Chłopiec — jak to zwykle chłopiec — wziął ów rewolwer do ręki, pociągnął za kurek i padł strzał — strzał fatalny.

W jednej chwili na podłogę padła mała Salomea, wijąc się z bólu, ugodzona kulą z śmiercionośnego narzędzia. Powstał rajwach. Aby uratować dziewczynkę wezwała matka dra Barra, który też niezwłocznie przybył i udzielił dziewczynce pomocy. — Kula przeszła przez lewą część plec i ugrzęzła o pół cala poniżej serca, przebiwszy lewe płuco. Dziewczę osłabło ogromnie z powodu upływu krwi, dlatego dr. odesłał je do szpitala Emergency. Tam to walczy dziecina ze śmiercią.

Policya aresztowała małego rewolwerowicza oraz jego matkę. Chłopiec opowiedział policyi, że znalazł w domu stary rewolwer, a nie wiedząc że ten jest nabity, począł z nim żartować. Rewolwer wypalił przypadkowo a kula ugodziła dziewczę. Policya wyraża się o matce dzieci w sposób jak najlepszy. Jest ona matką pięciu chłopców i czterech dziewcząt, na których utrzymanie pracuje ciężko, zarabiając praniem i czyszczeniem domów. Czesław jest najmłodszym z jej synów.

Po wypadku zjawiła się zaraz policya i znalazła w rewolwerze jeszcze dwie kule.

Wypadek powyższy — jak i inne podobne nie świadczą o niczem więcej, jak tylko o tem, że narzędzia śmiercionośne nie powinny leżeć na widoku, nie powinny być przystępne dla dzieci.

O wypadek nie trudno, a więc należy się mieć na baczności.

— Uciekając od życia targnęła się na swe życie pani Szczucka licząca 20 lat, z pod nr. 2 Person ulicy, a to dlatego, że szykanowali ją krewni jej męża. Oczywiście wezwany lekarz wypompował z żołądka truciznę, to jest kwas karbolowy, którego się denatka napiła i było dobrze. Lecz i krewni zmiękli, a mąż nastraszony począł nadskakiwać żonie.

Święta były wesołe.

— Na torach kolei Erie u zlotu ulic Louisiana i Chicago poniósł straszną śmierć Andrzej Kinee, robotnik kolejowy. Najechała na niego lokomotywa około godziny czwartej po południu i zabiła na miejscu.

Zabity mieszkał przy ulicy Hamburg na stancyi.

— W salunie Fr. Szczepanika pnr. 995 Exchange ave., wybuchła w poniedziałek bójka, a w rezultacie Teofil Zazdrosny, lat 25 leży dziś w szpitalu Emergency ze złamaną czaszką.

Jako oskarżonego o napad aresztowano 28 letniego J. Heryka, kolegę Zazdrosnego. Obaj koledzy poszli do salunu na jednego, a gdy się pokłócili, Heryk uderzył Zazdrosnego szklanicą w głowę tak silnie, że ten każdej chwili umrze w szpitalu.

Z DULUTH, Minn.

Jóbef Zarek opowiada okropną historyę przebytych cierpień. Uciekł z innymi z obozu drwali.

Piszą do "Wiarusa":

We wtorek zawitał do Duluth w lekkiem poniszczonem ubraniu bez czapki na głowie Polak, Józef Zarek, po przebyciu na piechotę sześćdziesięciu mil w temperaturze poniżej zera. Uszy, twarz, nogi, ręce miał odmrożone. Od niedzieli rana był bez pożywienia, bez ciepłego schronienia we dnie i w nocy. Nie spał prawie wcale, a przez całe dwie noce szedł i biegł naprzemian, by nie zmarznąć na śmierć. Jednej nocy schronił się do stosu siana, ale i tam tylko parę godzin przeleżał. Powiada on o swych losach, co następuje: razem z dwoma robotnikami biuro stręczenia pracy Johnsona odesłało go do roboty do obozowiska leśnego firmy Hagstrom Bros. w pobliżu Dibell Siding przy kolei Duluth, Mesabe and Northern. Po zapłaceniu jednego dolara za nastręczenie roboty i $1,15 za przejazd koleją, przybył Żarek do obozowiska w sobotę wieczorem. Zanim dano zjeść mu kolacyę, musiał wyładować furę siana, następnego zaś rana forman zażądał zapłaty za jedzenie, a gdy Żarek nie mógł ich dać, bo nie miał, forman zerwał mu czapkę z głowy i z obozowiska wypędził. Dwaj jego towarzysze niedoli poszli w ślad za nim i z obozowiska umknęli. Uciekł też z nimi drwal Frank Baker. Żarek i Baker zeznali przed prokuratorem dystryktowym, że najęto ich do swampowania, gdy zaś przybyli na miejsce — kazano piłować im podkłady od sztuki, roboty tej jednak wykonać nie mogli. Z obozowiska uciekli wszyscy czterej razem. Po przebyciu kilkunastu mil, Żarek i Baker wyprzedzili dwóch innych i pierwsi przybyli do miasta. Co się dzieje z pozostałymi, — niewiadomo. Może jeszcze do miasta nie dobiegli, lub może padli przy drodze od mrozu i wycieńczenia. Nogi Żarka są tak okrutnie odmrożone, że dolną część ich wypadnie amputować.

Z UTICA, N. Y.

Fr. Poreda aresztowany za pobicie żony. J. Kozak płaci 200 dolarów. Żydzi robili dobre interesa.

Franciszek Poreda został aresztowany za pobicie swej żony. Sędzia O'Conor pozostawił go pod opieką policyi na przeciąg sześciu miesięcy pod tym tylko warunkiem że się więcej nie będzie upijał i przestanie bić swą żonę. Dzieci ich są tak podobno zaniedbane, że sam proboszcz musiał zwrócić uwagę, aby dzieci były lepiej na obecny mróz okryte, co Franciszek Poreda przyrzekł, że się będzie lepiej zachowywał i pójdzie do roboty.

— Jan Kozaka, właściciel hotelu i parku w New Yorku Mills, został skazany na zapłacenie 200 dolarów kary w sądzie powiatowym za sprzedawanie napojów w niedzielę.

— Żydzi w ostatnim tygodniu straszny robili interes z naszych Rodaków, aż żal było patrzeć, że tyle polskiego grosza topi się w kieszeniach żydowskich, pomimo, że nawet sam nasz ksiądz proboszcz już nieraz wspominał z ambony, aby polacy nie chodzili do żydów, gdyż taki sam, a nawet lepszy towar dostaną u swoich, i lepiej i grzeczniej będą obsłużeni, jednakże to jakoś nic nie pomaga. Rodacy powinni się zastanowić, co robią, gdyż swoim najgorszym wrogom dają broń przeciwko sobie.

W starym kraju trwa walka przeciw żydom, gdyż już strasznie się rozpanoszyli i zagrabiają prawie wszystko, co tylko i gdzie mogą, a ci sami polacy, co walczą w kraju przeciw nim, tu idą do żydów, jakby nigdy nic.

Z MILWAUKEE, WIS.

Sensacya "śmietankowego grodu". Fr. Heller defraudował sto tysięcy ze Skarbu Polskiego, wrócił i oddał się w ręce władzy.

Dzienniki polskie z Milwaukee, donoszą, że były sekretarz spółki pożyczkowo-budowlanej "Skarb Polski", Franciszek Heller, który w roku 1905 wyjechał z Milwaukee, a po jego wyjeździe wykryto deficyt 108,000 dolarów w kasie spółki pożyczkowej, wrócił do Milwaukee, i oddał się w ręce sprawiedliwości. Heller przyjechał z drugiej podróży po świecie jeszcze przed świętami we środę. Wiadomość o tem, że Heller powrócił, rozeszła się dopiero w poniedziałek. Żona Hellera od paru miesięcy przebywa w Milwaukee.

Heller istotnie wrócił do Milwaukee i oddał się w ręce policyi, od lat pięciu czeka na niego warant o sprzeniewierzenie $5,000. Heller stanął przed sądem we wtorek po południu i stawiono go pod kaucyą $10,000, którą krewni stawili.

Dnia 16 listopada roku 1905 Franciszek Heller uciekł z Milwaukee. Zaraz na drugi dzień rozeszła się wiadomość, że Heller zdefraudował znaczną sumę pieniędzy, należącą do spółki i prywatnych osób, które swe oszczędności jemu powierzyły. Dnia 19 listopada ogłoszono w gazetach o defraudacyi F. Hellera, co wywołało wielki popłoch na południowej stronie. Po rewizyi książek okazał się brak przeszło 100,000 dolarów. Akcyonaryusze ci, którzy po ucieczce Hellera wyciągnęli akcye, stracili po 14 procent, a ci którzy płacili do końca Seryi, stracili tylko jeden procent na swych oszczędnościach. Ci zaś, którzy mieli u niego pieniądze, uzyskali zaledwie 22 i pół ct. na dolarze.

Przez tę defalkacyę poszkodowani zostali biedni ludzie.

Natychmiast zaprzysiężono rozkaz aresztowania defraudanta, ale pomimo wysiłków detektywów, nie można go było odszukać.

Heller po ucieczce z Milwaukee, bawił, jak sam powiada, w Chicago, potem w St. Louis, w Omaha, w Baltimore, a wreszcie pojechał do Centralnej Ameryki, był w Honduras i w Meksyku, gdzie prowadził interes.

Po powrocie swym do Milwaukee Heller powiada, że zabrał ze sobą $2,700 własnych pieniędzy. Powiada on, że deficyt nie powodem ucieczki i że książki swe pozostawił w dobrym stanie.

Heller utrzymuje teraz, że nie poczuwa się do żadnej winy, że pożyczył tylko $3,500 ze Skarbu Polskiego, a własność swą dał za gwarancyę.

Powodem deficytu miało być to, że Heller pożyczał pieniądze prywatnym osobom. Ma on teraz zamiar przejrzeć książki i przekonać się, jak właściwie rzecz stoi.

ZE STANÓW NOWEJ ANGLII.

Piotr Szelimski okazuje się wyrafinowanym łotrem. Odszkodowanie po zabitym Polaku. Polacy zdrowo się chowają. Zmiana proboszczów w Stamford, Conn. Pijatyka w Polskim Klubie. Pokaleczony przez wydrę. Inne.

W PIETSFIELD, Mass., niejaki Piotr Szelimski okazał się doskonałym biznesistą w zakresie operacyj biznesowych ze skradzionemi książeczkami bankowemi. Pieniądze złożone na dwie takie książeczki, wybrał on z Berkshire County Savings Bank, sfałszowawszy podpis właściciela książeczki. Z trzecią książką udał się on do sklepu Cohena i kupił sobie ubranie za $40, odstępując Cohenowi książeczkę za dopłaty reszty $55. Cohen zatelefonował do banku, a przekonawszy się, że rzeczywiście na tę książeczkę jest złożone $95, sprzedał ubranie, a na resztę pieniędzy dał Szelimskiemu swój czek. Z czekiem udał się do sklepu Seiffa i kupił tu galanteryi za $5. Seiff zanim zgodził się przyjąć czek, zatelefonował do Cohena i otrzymał odpowiedź, że czek ten jest tak dobry, jak i gotówka. Szeliński po otrzymaniu reszty od Seiffa w ilości $50, ulotnił się, a obydwaj kupcy dopiero nazajutrz spostrzegli się, bo właściciel skradzionej książeczki zgłosił się do banku jeszcze w porę, i zatrzymał wypłatę pieniędzy Cohenowi. Najciekawszem jest, że Seiff, któremu znowu Cohen odmówił spłaty czeku, ani myśli ustąpić i powołując się na słowa jego, że tak dobry czek, jak gotówka, żąda pieniędzy.

W THOMPSONVILLE, Conn., Ks. Paweł Piechowski w imieniu rodziny zmarłego wskutek wypadku na kolei Michała Popowskiego otrzymał czek na $1900 od kompanii kolejowej New York, New Haven and Hartfort, jako odszkodowanie. Popowski pracował przy wyładowywaniu węgla z wagonów i zabity został przez pociąg towarowy. Praw rodziny Popowskiego dochodził ks. Piechowski i rezultat jego starań wypadł pomyślnie.

W BOSTONIE dr. Davis w swojem studyum o śmiertelności dzieci tutejszych wykazuje, że największa śmiertelność jest pomiędzy dziećmi murzyńskiemi, a następnie włoskiemi, najmniejsza zaś pomiędzy dziećmi szkockiemi, a następnie polskiemi. Jeżeli wyliczenia dr. Davisa są dokładne, to możemy sobie powinszować, gdyż śmiertelność dzieci zależy w prostej proporcyi nie tylko od zdrowia rodziców, ale i od hygienicznego obchodzenia się matek z dziećmi, a zwłaszcza od czystego utrzymania ich, kąpieli, zdrowego pokarmu, czystego powietrza i nienarażenia na przeziębienie się i choroby.

W STAMFORT, Conn. Ks. Ignacy Kurzyński został uwolniony od obowiązków proboszcza tamtejszej parafii polskiej przez biskupa Hartfordskiego J. E. ks. Nilana. Zawiadywanie parafią polską w Stamford poruczono tymczasowo ks. Józefowi Raniszewskiemu, proboszczowi polskiemu z Terryville, Conn. Powody usunięcia z probostwa w Stamford ks. Kurzyńskiego niewiadome są parafianom. Ks. Kurzyński słynął w Stamford, jako doskonały znawca stosunków. Mówi on bardzo płynnie po angielsku i pomagał bardzo wielu Polakom.

Usunięcie go z parafii przez biskupa jest ogólną i bardzo przykrą niespodzianką.

W WESTFIELD, Mass. Aresztowano Adama Żebrowskiego, Józefa Stachelika i Władysława Stachelika za pijaństwo i bijatykę w obywatelskim klubie polskim. W tymże klubie skonfiskowano równocześnie osiem galonów wódki i znaczną ilość piwa. Klub miał w przeszłym roku licencyę, ale w tym roku odmówiono mu jej. Policya podejrzewała potajemną sprzedaż, i dostała teraz dowód na to. Aresztowani popłacili kary dość znaczne.

W BELLOWS Falls, Vt. Pewien Grek pokaleczył pracującego wespół z nim w papierni Polaka. Zaczepkę do bijatyki podobno dał sam Polak.

W BRIDGEPORT, Conn. Polski klub polityczny podał prośbę do stanowej komisyi o inkorporowanie go prawne. Inkorporatorami klubu są obywatele: Chaniewski, Kleniewicz, Rutkowski i Leonowicz.

W WORCESTER Mass. Sędzia Utley nie zgodził się na poślubienie przez niejakiego Puniskisa pewnej uwiedzionej przezeń Polki z Lowell, która porzuciła swoje dziecko w Worcester na ulicy. Sędzia nie wierzy w takie małżeństwa zawierane przed policyą dla uwolnienia się od kryminału. Zarówno zbrodniarka matka jak i Puniskis odpowiedzą przed sądem i muszą odnieść zasłużoną przez nich karę. Sprawa odbędzie się niezadługo.

W NORTHAMPTON, Mass. Miejscowy proboszcz polski ks. Piechota zamierza w krótkim czasie przystąpić do budowy nowego kościoła i szkoły parafialnej. Nowy kościół stanie przy ulicy Hawley. Sprawa zakupna t. zw. 'Washbur property' pod budowę kościoła od p. Tracey została w tych dniach ostatecznie załatwiona.

W WARE, Mass. Szesnastoletni Walenty Wrenkis na brzegu rzeki Ware próbował złapać wydrę, która go jednak pokąsała w prawą rękę i lewą nogę i uciekła do wody. Wydra spała na brzegu, kiedy ją Wrenkis spotkał. Zastąpił on jej drogę od rzeki i wówczas rozpoczęła się walka, w której ostatecznie pokaleczony chłopak dał za wygraną i pozwolił wydrze wyrwać się i uciec. Powiada on teraz, że gdyby był wiedział, ile jest warta skóra wydry, nie byłby puścił jej za nic, choćby go była jeszcze gorzej pogryzła.

W NEW LONDON, Conn. Przejechał pociąg zatrudnionych na torach Fr. Brodczyka i Jana Jużyckiego, zabijając ich na miejscu. Okoliczności wypadku zupełnie nieznane. Martwe szczątki obydwu nieszczęśliwych znaleziono zmiażdżone i porozrzucane w kilku miejscach.

W SALEM, Mass. Zaginiony Jan Pokorski z pnr. 8½ Herbert ulicy, którego z opowiadań jego przyjaciół gazety angielskie ogłosiły za utopionego, nareszcie odnalazł się zdrowy i cały, nie myśląc wcale o przeniesieniu się na drugi świat.

Pokorski zeszłej soboty z kilkoma swoimi towarzyszami wyjechał do Bostonu. Nazwiedzał on tam dosyć wyszynków i powracał ostatnim pociągiem do domu, a że w głowie mu się roiło i trunki na dobre zaczęły działać, wyszedł sobie na platformę wagonu. Wtem wiatr porwał mu kapelusz. Odważny Jan skoczył za kapeluszem i nie tylko że takowy schwycił, ale zaczął gonić pociąg i krzyczeć na maszynistę, aby pociąg zatrzymał. Nieposłuszny maszynista nie uczynił jednak tego. Pokorski rad nie rad pieszo powrócił z Chelsea do Bostonu i bawił się przez cały dzień w niedzielę, aż do poniedziałku. Przyjaciele Pokorskiego nie wiedząc co się z nim stało i mniemając, że wypadł z wagonu i utopił się, zawiadomili o tem policyę. Policya poczyniła wszelkie przygotowania do poszukiwań Pokorskiego, aż tu we własnej osobie zgłosił się on na policyę i zawiadomił, że żyje.

Z PENNSYLVAŃSKIEGO PIEKŁA.

W przedświątecznym tygodniu pięciu Polaków zostało zabitych i pięciu rannych.

"Górnik", stale pomieszczający nieszczęśliwych wypadków w zagłębiu węglowem powiatu Luzerne pisze:

— Przedświąteczny tydzień stanowi ponury rekord wypadków śmierci w ciągu ostatniego kwartału, gdyż mamy w nim do zanotowania pięciu zabitych i pięciu pokaleczonych rodaków. Zaiste, okropna to gwiazdka dla rodzin nieszczęśliwych.

— A. Kozłowski, lat 21 i Zygmunt Masłowski, lat 25, obaj z Edwardsville, robotnicy kopalni Kingston nr. 1. zostali zmiażdżeni pod ogromnymi złomami węgla, gdy runęło sklepienie węglowe. Zwłoki odstawiono do domu ofiar przy Slocum ulicy.

— Michał Wilewski z Macanaqua, górnik kopalni West End, został na miejscu zabity skałą węglową. Pozostawił żonę i dwoje dzieci.

— Antoni Filipowicz z McAdoo, górnik kopalni Green Mountain koło Hazleton, został zaduszony trującym gazem, a ciało jego znaleziono dopiero po wielu godzinach. Osierocił żonę i pięcioro drobiazgu.

— J. Bawasz, lat 21 z Freeland, zaraz w pierwszym dniu zajęcia jako wozacz w kopalni Highland nr. 1 poniósł straszną śmierć dostawszy się między dwa wozy węglowe. Głowę zgniotło mu na miazgę.

— Litwin Piotr Andiakapis, górnik kopalni Anchincloss z Nanticoke, uległ połamaniu obu nóg, ugodzony oberwaną skałą węglową. Leży w szpitalu w Nanticoke.

— Sylw. Czechowicz z Hudson zajęty w kopalni Penna, kopnięty przy pracy przez muła, doznał pęknięcia czaszki. W stanie groźnym odwieziono go do szpitala miejskiego.

— Józef Rotecki ze Sawyersville, zajęty w kopalni Harry E. dostał się między wozy węglowe i leży w szpitalu ze złamaną nogą i wewnętrznemi uszkodzeniami.

— Antoni Dyszlik, lat 40, górnik kopalni Ash, doznał fatalnych poranień wskutek osypu węglowego.

—Jan Bosak z Wanamie, górnik kopalni D. L. and Western, został silnie potłuczony zawalonem belkowaniem i w niebezpiecznym stanie leży w szpitalu Nanticoke.

— Po trzydniowem błądzeniu w labiryncie opuszczonych szybów kopalni Lehigh and Wilkes-Barre nr. 11, ledwie dowlókł się do otworu szybu Józef Smarzewski, górnik tejże kopalni, kilka tygodni temu przybyły z Buffalo. Towarzysze jego pewni byli, że go nie ujrzą żywego, na szczęście jednak skończyło się tylko na trzydniowym poście i strachu.

BIAŁA NIEWOLNICA.

Oddawna krążyły pogłoski, że we Władywostoku operuje banda handlarzy żywym towarem. Lecz prowadziła ona tak zręcznie swoje interesy, że pomimo tego, iż wiedziano o jej wstrętnych i brutalnych operacyach, wykryć bandy nie było można.

W tych dniach dopiero konsul francuski i policmajster m. Władywostoku otrzymali listy od jednej z ofiar owej bandy — poddanej francuskiej Lucy Chadrone. Niezwłocznie dokonano nagłej rewizyi w jednem z najbardziej uczęszczanych domów schadzek. Dzięki temu, ujęto herszta bandy, Emila Lovale'a, a jednocześnie zabrano mnóstwo ważnych dokumentów, paszporty i fotografie innych ofiar, rozsianych po całej Syberyi. Zabrano też olbrzymią korespondencyę i adresy wielu osób, mających łączność z tem "przedsiębiorstwem".

Wobec tego zapowiada się sensacyjny proces, który niewątpliwie rzuci snop światła na stosunki syberyjskie pod tym względem i scharakteryzuje dosadnie obyczaje na Dalekim wschodzie.

"Taktykę" owych eksploatatorów białych niewolnic tak opisują gazety rosyjskie:

Pewnego pięknego dnia letniego Loval'e spotkał w Paryżu młodą, niedoświadczoną dziewczynę —Lucy Chadrone.

Szykowny, z dobremi manierami, tyle cudownych rzeczy naopowiadał jej o Rosyi i Syberyi, gdzie pod Władywostokiem posiada olbrzymie dobra, że zawrócił jej wprost głowę. Po kilku dniach znajomości oświadczył pięknej Lucy, że żyć bez niej nie może. Tak pięknie o swych uczuciach mówił, tyle przysiąg złożył, że w końcu Lucy uwierzyła i została narzeczoną Lovele'a.

Niebawem parka mknęła ku Władywostokowi.

Kiedy zbliżali się do granic rosyjskich, on zaczął ją prosić, by przybrała inne imię i nazwisko. "Aby nie robiono trudności podczas przejazdu na komorze" — tłomaczył. Dziewczyna, której Lovale okazywał tyle dowodów miłości, odwzajemniła się mu w uczuciu i ślepo spełniała jego wszelkie żądania.

Po przyjeździe do Władywostoku Lucy odrazu odwieziona została do domu schadzek i tu stosunek do niej "narzeczonego" zmienił się do niepoznania: urzędowym tonem zakomunikował, ile go kosztowało sprowadzenie jej do Władywostoku i dał Lucy do zrozumienia, że nic jej nie pomoże wszelki opór...

A dalej powtórzyła się zwykła historya: Upijanie, gwałt nad pijaną, bicie, częstokroć aż do siniaków — z początku, a później wszystko szło już jak z płatka...

Trwało to tak lat kilka, a nietylko z Lucy, ale z wielu innemi dziewczętami. Wszystkie one były tak strzeżone, iż zaledwie teraz Lucy udało się list napisać do konsula.

Wyrwała się na wolność, ale z życiem złamanem, z chorobą, która toczy jej ciało...

Razem z nią udało się wyrwać ze szponów łotrów kilka innych ofiar, tak samo, jak ona, zrujnowanych moralnie i fizycznie.

Jej sąsiadka. Pani Piotrowa Grzegor, zamieszkała pnr. 1101 przy County st. w New Bedford, Mass., pisze: "Teraz chcę wam opowiedzieć o pani Sylwii Caron, mojej sąsiadce. Była ona zawsze chora a żaden z doktorów jej nie pomógł. Zaczęła używać Gomozo i czuje się znakomicie. Ma dużą familię, a jednak sama podoła pracy domowej.

Dra Piotra Gomozo wzmacnia, odżywia i powraca siłę. Nie można go dostać w aptekach, gdyż jest zwyczajnem domowem lekarstwem dostarczanym ludziom wprost do domu. Adres: Dr. Peter Fahrney and Sons Co., 19—25 So. Hoyne ave., Chicago, Ill.

Czy otrzymałeś?

Severy Kalendarz na rok 1911, już wyszedł z druku i jest lepszym niż kiedykolwiek. Posiada on kompletną część kalendarzową, a stronice jego są zapełnione ciekawemi informacyami pożytecznemi dla każdego. Zawiera też rozprawki lekarstkie o różnych dolegliwościach i o leczeniu ich — czego nie znajdziesz w żadnem innem wydawnictwie tego rodzaju. Możesz dostać jeden egzemplarz darmo u każdego aptekarza, lub handlarza lekarstwami. Jeżeli nie będziesz mógł dostać, pisz do W. F. Severa Co. Cedar Rapids, Ia.

HENRYK SIENKIEWICZ.

W pustyni i w puszczy.

I.

— Wiesz Nel, — mówił Staś Tarkowski do swojej przyjaciółki, młodej Angielki — wczoraj przyszli "zabtje" |policyanci| i aresztowali żonę dozorcy Smaina i jej troje dzieci — i tę Fatmę, która już kilka razy do biura przychodziła, do twojego ojca i do mego.

A mała, podobna do ślicznego obrazka Nel, podniosła swe zielonawe oczy na Stasia i zapytała na wpół ze zdziwieniem, a na wpół ze strachem:

— Wzięli ją do więzienia?

— Nie, ale nie pozwolili jej wyjechać do Sudanu — i przyjechał urzędnik, który jej będzie pilnował, by ani krokiem nie wyruszyła z Port-Saidu.

—Dlaczego?

Staś, który miał rok czternasty i który swą ośmioletnią towarzyszkę kochał bardzo, ale uważał za zupełne dziecko, rzekł z miną wielce zarozumiałą:

— Jak dojdziesz do mego wieku, to będziesz wszystko wiedziała, co się dzieje, nie tylko wzdłuż kanału, od Port-Saidu do Suezu, ale i w całym Egipcie. Czy ty nic nie słyszałaś o Mahdim?

—Słyszałam, że jest brzydki i niegrzeczny.

Chłopiec uśmiechnął się z politowaniem.

— Czy jest brzydki — nie wiem. Sudańczycy utrzymują, że jest piękny, ale powiedzieć, że jest niegrzeczny o człowieku, który wymordował już tylu ludzi, może tylko dziewczynka ośmioletnia, w sukience — ot! — takiej — do kolan!

— Tatuś mi tak powiedział, że tatuś wie najlepiej.

— Powiedział ci tak dlatego, że inaczej byś nie zrozumiała. Do mnie by się tak nie wyraził. Mahdi jest gorszy niż całe stado krokodylów. Rozumiesz? Dobre mi powiedzenie: "niegrzeczny", tak się mówi do niemowląt.

Lecz ujrzawszy zachmurzoną twarz dziewczynki, umilkł, a potem rzekł.

—Nel! wiesz, że nie chciałem ci zrobić przykrości, przyjdzie czas, że i ty będziesz miała czternasty rok. Obiecuję ci to napewno.

— Aha! — odpowiedziała z zatroskanem wejrzeniem: — a jeżeli Mahdi wpadnie przedtem do Port-Saidu i mnie zje.

— Mahdi nie jest ludożercą, więc ludzi nie zjada, tylko ich morduje.

Do Port-Saidu też nie wpadnie, a gdyby nawe wpadł i chciał cię zabić, pierwej miałby ze mną do czynienia.

Oświadczenie to, oraz świst, z jakim Staś nosem wciągnął powietrze, nie zapowiadający nic dobrego dla Mahdiego, uspokoiły znacznie Nel, co do własnej osoby.

— Wiem — odrzekła. — Ty byś mnie nie dał. A dlaczego nie puszczają Fatmy z Port-Saidu?

— Bo Fatma jest cioteczną siostrą Mahdiego. Mąż jej Smain oświadczył rządowi egipskiemu w Kairze, że pojedzie do Sudanu, gdzie przebywa Mahdi i wyrobi wolność dla wszystkich Europejczyków, którzy wpadli w ręce jego.

— To Smain jest dobry?

— Czekaj. Twój i mój tatuś, którzy znali doskonale Smaina, nie mieli wcale do niego zaufania i ostrzegali Nubara-Paszę by mu nie ufał. Ale rząd zgodził się wysłać Smaina i Smain bawi od pół roku u Mahdiego. Jeńcy jednak nietylko nie wrócili, ale przyszła z Chartumu wiadomość, że mahdyści obchodzą się z nimi coraz okrutniej, a że Smain nabrawszy od rządu pieniądzy, zdradził. Przystał całkiem do Mahdiego i został mianowany emirem. Ludzie powiadają, że w tej okropnej bitwie, w której poległ jenerał Hicks, Smain dowodził artyleryą Mahdiego i on to podobno nauczył mahdystów obchodzić się z armatami, czego przedtem, jako dzicy ludzie wcale nie umieli. Ale Smainowi chodzi teraz o to, by wydostać z Egiptu żonę i dzieci, to też gdy Fatma, która widocznie z góry wiedziała, co zrobi Smain, cichaczem chciała wyjechać z Port-Saidu, rząd aresztował ją teraz razem z dziećmi.

— A co rządowi przyjdzie z Fatmy i jej dzieci?

— Rząd powie Mahdiemu: "Oddaj nam jeńców a my oddamy ci Fatmę."

Na razie rozmowa urwała się, albowiem uwagę Stasia zwróciły ptaki, lecące od strony Echtum om Farag, ku jezioru Menzaleh. Leciały one dość nisko i w przeźroczem powietrzu widać było wyraźnie kilka pelikanów z zagiętemi na grzbiety szyjami, poruszających zwolna ogromnemi skrzydłami.

Staś począł zaraz naśladować ich lot, więc zadarł głowę i biegł przez kilkanaście kroków groblą, machając rozłożonemi rękami.

— Patrz! lecą i czerwonaki! — zawołała nagle Nel.

Staś zatrzymał się w jednej chwili, gdyż istotnie za pelikanami, ale nieco wyżej, widać było zwieszone na błękicie, jakby dwa wielkie, różowe i purpurowe kwiaty.

— Czerwonaki! Czerwonaki!

— One wracają pod wieczór do swoich siedzib na wysepkach — rzekł chłopiec. — Ach, gdybym miał strzelbę.

—Po cóż byś miał do nich strzelać?

— Kobiety takich rzeczy nie rozumieją. Ale pójdźmy dalej, może zobaczymy ich więcej.

To powiedziawszy, wziął dziewczynkę za rękę i poszli ku pierwszej za Port-Said kanałowej przystani, za nimi zaś nadążała murzynka Dinah, niegdyś piastunka małej Neli.

Szli wałem, oddzielającym wody jeziora Henzaleh od kanału, przez który przepływał w tej chwili, prowadzony przez pilota duży parowiec angielski. Zbliżał się wieczór. Słońce stało jeszcze dość wysoko, ale przetoczyło się już na stronę jeziora. Słonawe jego wody poczynały lśnić złotem i drgać odblaskami pawich piór. Po arabskim brzegu ciągnęła się, jak okiem sięgnąć płowa, piaszczysta pustynia — głucha, złowroga, martwa. Między szklanem, jakby obumarłem niebem, a bezmiarem pomarszczonych piasków nie było śladu żywej istoty. Podczas gdy na kanale wrzało życie, kręciły się łodzie, rozlegały się świsty parowców, a nad Menzaleh migotały w słońcu stada i mew i dzikich kaczek — tam, na arabskim brzegu była jakby kraina śmierci. Tylko w miarę, jak słońce zniżając się, stawało się coraz czerwieńsze, piaski poczęły przybierać barwę liliową, taką, jaką jesienią mają wrzosy w polskich lasach.

Dzieci, idąc ku przystani, ujrzały jeszcze kilka czerwonaków, do których śmiały się ich oczy, poczem Dinah oświadczyła, że Nel musi wracać do domu. W Egipcie, po dniach, które nawet w zimie bywają upalne, następują noce bardzo zimne, a że zdrowie Nel wymagało wielkiej ostrożności, ojciec jej, pan Rawlison, nie pozwalał, by dziewczynka znajdowała się po zachodzie słońca nad wodą. Zawrócili więc ku miastu, na którego krańcu stała w pobliżu kanału willa pana Rawlisona — i w chwili, gdy słońce zanurzyło się w morzu, znaleźli się pod dachem. Niebawem też p r z y b y ł zaproszony na obiad inżynier Tarkowski, ojciec Stasia — i całe towarzystwo wraz z Francuską, nauczycielką Nel, panią Olivier, zasiadło do stołu.

Pan Rawlison, jeden z dyrektorów kanału Suezkiego i Władysław Tarkowski, inżynier tejże kompanii żyli od wielu lat w najściślejszej przyjaźni. Obaj byli wdowcami, ale pani Tarkowska, zmarła z chwilą przyjścia na świat Stasia, to jest przed laty przeszło trzynastu, matka zaś Nel zgasła na suchoty w Heluanie, gdy dziewczynka miała lat trzy. Obaj wdowcy mieszkali w sąsiednich domach w Port-Saidzie i z powodu swoich zajęć widywali się codziennie. Wspólne nieszczęście zbliżyło ich jeszcze bardziej do siebie i umocniło zawartą poprzednio przyjaźń. Pan Rawlison pokochał Stasia, jak syna własnego, a zaś pan Tarkowski byłby w ogień skoczył za małą Nel. Po ukończeniu codziennych prac, najmilszym dla nich odpoczynkiem była rozmowa o dzieciach, ich wychowaniu i przyszłości. Podczas podobnych rozmów najczęściej bywało tak, że pan Rawlison wychwalał zdolności, energię i dzielność Stasia, a pan Tarkowski unosił się nad słodyczą i anielską twarzyczką Nel. I jedno i drugie było prawdą. Staś był trochę zarozumiały i trochę chełpliwy, ale uczył się doskonale i nauczyciele w szkole angielskiej, do której chodził w Port-Saidzie, przyznawali mu istotnie niezwykłe zdolności. Co do odwagi i zaradności, odziedziczył je po ojcu albowiem pan Tarkowski posiadał te przymioty w wysokim stopniu i w znacznej części im właśnie zawdzięczał obecne swe stanowisko. W roku 1863 bił się bez wytchnienia w ciągu jedenastu miesięcy. Następnie ranny, wzięty do niewoli i skazany na Sybir, uciekł z głębi Rosyi i przedostał się za granicę. Był już przed pójściem do powstania, skończonym inżynierem, jednakże rok jeszcze poświęcił się na studya hydrauliczne, a następnie otrzymał posadę przy kanale i w ciągu kilku lat — gdy poznano jego znajomość rzeczy, energii i pracowitość — zajął wysokie stanowisko starszego inżyniera.

Staś urodził się, wychował i doszedł do czternastego roku życia w Port-Said nad kanałem, wskutek czego inżynierowie, koledzy ojca, nazywali go dzieckiem pustyni. Później, będąc już w szkole, towarzyszył czasem ojcu, lub panu Rawlisonowi w czasie wakacyi i świąt w wycieczkach, jakie z obowiązku musieli czynić od Port-Saidu aż do Suezu, dla rewizyi robót przy wale i przy pogłębianiu łożyska kanału. Znał wszystkich— zarówno inżynierów jak i urzędników komory, jak i robotników, Arabów i murzynów. Kręcił i wkręcał się wszędzie, wyrastał, gdzie go nie posieli, robił długie wycieczki wałem, jeździł łódką po Menzaleh i zapuszczał się nieraz dość daleko. Przeprawiał się na arabski brzeg i dorwawszy się do czyjego bądź konia, a w braku konia do wielbłąda, a nawet i osła, udawał Farysa w pustyni — słowem, jak się wyrażał pan Tarkowski: 'bobrował' wszędzie i każdą wolną od nauki chwilę spędzał nad wodą.

Ojciec nie sprzeciwiał się temu, wiedząc, że wiosłowanie, konna jazda i ciągłe życie na świeżem powietrzu wzmacnia zdrowie chłopca i rozwija w nim zaradność. Jakoż Staś wyższy był i silniejszy, niż bywają w jego wieku chłopcy, a dość było mu spojrzeć w oczy, by odgadnąć, że w razie jakiego wypadku, prędzej zgrzeszy zbytkiem zuchwałości, niż bojaźnią. W czternastym roku życia był jednym z najlepszych pływaków w Port-Saidzie, co niemało znaczyło, albowiem Arabowie i murzyni pływają jak ryby. Strzelając z karabinów małego kalibru i tylko kulami do dzikich kaczek i do egipskich gęsi, wyrobił sobie niechybną rękę i oko. Marzeniem jego było polować na wielkie zwierzęta w Afryce środkowej, chciwie też słuchał opowiadań sudańczyków, zajętych przy kanale, którzy spotykali się w swej ojczyźnie z wielkimi drapieżnikami i gruboskórnemi.

Miało to i tę korzyść, że uczył się zarazem ich języków. Kanał Suezki nie dość było przekopać, trzeba go jeszcze i utrzymać, gdyż inaczej piaski z pustyń leżących po obu jego brzegach zasypałyby go w ciągu roku. Wielkie dzieło Lessepsa wymaga ciągłej pracy i czujności. To też do dziś dnia nad pogłębianiem jego łożyska pracują pod dozorem biegłych inżynierów potężne maszyny i tysiące robotników. Przy przekopywaniu kanału pracowało ich przeszło dwadzieścia pięć tysięcy. Dziś, wobec dokonanego dzieła i ulepszonych nowych maszyn, potrzeba ich znacznie mniej, jednakże liczba ich jest dotychczas dosyć znaczna. Przeważają wśród nich ludzie miejscowi, nie brak jednak i Nubijczyków i Sudańczyków i Somalisów i rozmaitych murzynów, mieszkających nad Białym i Niebieskim Nilem, to jest w okolicach, które przed powstaniem Mahdiego zajął był rząd egipski. Staś żył ze wszystkiemi za pan brat, a mając, jak zwykle Polacy, nadzwyczajną zdolność do języków, poznał sam, nie wiedząc jak i kiedy, wiele ich narzeczy. Urodzony w Egipcie, mówił po arabsku, jak Arab. Od Zanzibarytów, których wielu służyło za palaczy przy maszynach, wyuczył się rozpowszechnionego wielce w całej Afryce środkowej języka ki-swahili, umiał nawet rozmówić się z murzynami z pokolenia Dinka i Szyluk, zamieszkujących poniżej Faszody nad Nilem. Mówił prócz tego biegle po angielsku, po francusku i po polsku, albowiem ojciec jego, gorący patryota, dbał o to wielce, by chłopiec znał mowę ojczystą. Oczywiście Staś uważał tę mowę za najpiękniejszą w świecie i uczył jej, nie bez powodzenia małą Nel. Nie mógł tylko dokazać tego, aby jego imię wymawiała Staś, a nie 'Steś'. Nieraz też przychodziło pomiędzy niemi do nieporozumień, które trwały jednak dopóty tylko, dopóki w oczach dziewczyny nie zaczynały świecić łezki. Wówczas 'Stes' przepraszał ją — i bywał zły na samego siebie.

Miał jednak brzydki zwyczaj mówić z lekceważeniem o jej ośmiu latach i przeciwstawiać im swój poważny wiek i doświadczenie. Utrzymywał, że chłopiec, który skończył lat trzynaście, jeśli nie jest jeszcze zupełnie dorosłym, to przynajmniej nie jest już dzieckiem, a natomiast zdolny jest już do wszelkiego rodzaju czynów bohaterskich, a zwłaszcza, jeśli ma w sobie krew polską i francuską. Pragnął też najgoręcej, żeby kiedykolwiek zdarzyła się sposobność do takich czynów, szczególniej w obronie Nel. Oboje wynajdywali rozmaite niebezpieczeństwa i Staś musiał odpowiadać na jej pytania, coby zrobił, gdyby naprzykład wlazł do jej domu przez okno krokodyl, albo skorpion, tak duży, jak pies. Obojgu ani na chwilę nie przychodziło do głowy, że wkrótce groźna rzeczywistość przewyższy wszelkie ich fantastyczne przypuszczenia.

II.

Tymczasem w domu czekała ich podczas obiadu dobra nowina. Panowie Tarkowski i Rawlison byli zaproszeni przed kilku tygodniami, jako biegli inżynierowie, do obejrzenia sceny robót, prowadzonych przy całej sieci kanałów w prowincyi El-Fayum, w okolicach miasta Medinet, blisko jeziora Karoun, oraz wzdłuż rzeki Jussuf i Nilu. Mieli tam zabawić około miesiąca i uzyskali na to urlopy od własnej kompanii. Ponieważ zbliżały się święta Bożego Narodzenia, więc obaj, nie chcąc rozstawać się z dziećmi, postanowili, że Staś i Nel pojadą także do Medinet. Po usłyszeniu tej nowiny dzieci omal nie wyskoczyły ze skóry z radości. Dotychczas znały miasta, leżące wzdłuż kanału, a mianowicie Izmailę i Suez, poza kanałem zaś, Aleksandrię i Kair, pod którym oglądały wielkie piramidy i Sfinksa. Ale były to krótkie wycieczki, gdy wyprawa do Medinet- El Fayum wymagała całego dnia jazdy koleją wzdłuż Nilu na południe, a potem od El-Wasta na zachód, ku pustyni Libijskiej. Staś znał Medinet z opowiadania młodszych inżynierów i podróżników, którzy jeździli tam na polowanie, na wszelkiego rodzaju ptactwo wodne, oraz na wilki z pustyni i hyeny. Wiedział, że jest to osobna, wielka oaza, leżąca po lewym brzegu Nilu, ale nie zależna od jego wylewów i mająca swój własny system wodny, utworzony przez jezioro Karono, przez Bahr-Jussef i przez całą więź drobnych kanałów. Ci, którzy oazę tę widzieli, mówili, że jakkolwiek kraina ta należy do Egiptu, jednakże oddzielona od niego pustynią, tworzy odrębną całość. Tylko rzeka Jussef wiąże, rzekłbyś, niebieskim cienkim sznurkiem tę okolicę z doliną Nilu. Wielka obfitość wód, żyzność gleby i wspaniała roślinność tworzą z niej jakby raj ziemski, a rozległe równiny miasta Krokodilopolis, ściągają tam setki ciekawych podróżników. Stasiowi jednak uśmiechały się głównie brzegi jeziora Karoun z rojami ptactwa i wyprawy na wilki do pustynnych wzgórz Guebel-el-Sedment. .

Ale wakacye jego zaczynały się dopiero za kilka dni, ponieważ zaś rewizya robót przy kanałach była sprawą pilną i starsi panowie nie mogli tracić czasu, ułożyli się przeto, że wyjadą niezwłocznie, a dzieci wraz z panią Olivier w tydzień później. I Nel i Staś mieli ochotę jechać zaraz, ale Staś nie śmiał o to prosić. Poczęli natychmiast wypytywać o rozmaite sprawy, tyczące się podróży i z nowymi wybuchami radości przyjęli wiadomość, że nie będą mieszkali w niewygodnych utrzymywanych przez Greków hotelach, ale w namiotach dostarczanych przez Towarzystwo podróżnicze Cooka. Tak zwykle urządzają się podróżnicy, którzy z Kairu wyjeżdżają nawet na dłuższy pobyt do Medinet — Cook dostarcza namiotów, służby, kucharzy, zapasów żywności, koni, osłów, wielbłądów i przewodników, tak, że podróżnik nie potrzebuje o niczem myśleć. Jest to wprawdzie dosyć kosztowny sposób podróżowania, ale panowie Tarkowski i Rawlison nie mieli potrzeby się z tem liczyć, wszelkie bowiem wydatki ponosił rząd egipski, który ich zaprosił, jako biegłych do oceny i rewizyi prac przy kanałach. Nel, która nad wszystko w świecie lubiła jeździć na wielbłądzie, otrzymała obietnicę od ojca, że dostanie osobnego garbatego wierzchowca, na którym wraz z panią Olivier albo z Dinah, a czasem i ze Stasiem, będzie brała udział we wspólnych wycieczkach w bliższe okolice pustyni i do Karoun. Stasiowi przyrzekł pan Tarkowski że pozwoli mu kiedy nocą iść na wilki — i że jeżeli przyniesie dobre świadectwo szkolne, to dostanie prawdziwy angielski sztucer i wszelkie potrzebne dla myśliwego przybory. Ponieważ Staś pewny był cenzury, więc od razu zaczął się uważać za posiadacza sztucera i obiecywał sobie dokonać z nim rozmaitych zdumiewających i wiekopomnych czynów.

Na takich projektach i rozmowach zeszedł uszczęśliwionym dzieciom obiad. Stosunkowo najmniej zapału okazywała do tej podróży pani Olivier, której nie chciało się ruszać z wygodnej willi w Port-Saidzie i którą przestraszała myśl zamieszkania przez kilka tygodni w namiocie, a zwłaszcza zamiar wycieczek na wielbłądach. Zdarzyło się jej już kilkakrotnie próbować podobnej jazdy, jak to zwykle robią przez ciekawość europejczycy, zamieszkali w Egipcie i zawsze te próby wypadały niepomyślnie. Raz wielbłąd podniósł się zawcześnie, gdy jeszcze nie zasiadła się dobrze na siodle i skutkiem tego stoczyła się przez jego grzbiet na ziemię. Innym razem, nie należący do lekkomyślnych, dromader utrząsł ją tak, że przez dwa dni nie mogła przyjść do siebie, słowem, o ile Nel, po dwu lub trzech przejażdżkach, na które pozwolił pan Rawlison, zapewniała, że nie ma nic rozkoszniejszego na świecie, o tyle pani Olivier zostały przykre wspomnienia. Mówiła, że to jest dobre dla Arabów, albo dla takiej kruszynki, jak Nel, która nie więcej się utrzęsie niż mucha, którąby siadła na garbie wielbłąda, ale nie dla osób starszych, poważnych i niezbyt lekkich, a zarazem mających pewną skłonność do nieznośnej morskiej choroby.

Lecz co do Medinet-el Fayum, miała i inne obawy. Oto w Port-Saidzie zarówno jak i w Aleksandryi, Kairze i całym Egipcie, nie mówiono o niczem więcej, tylko o powstaniu Mahdiego i okrucieństwach derwiszów. Pani Olivier nie wiedząc dokładnie, gdzie leży Medinet, zaniepokoiła się, czy to nie będzie zbyt blisko od mahdystów i wreszcie poczęła wypytywać o to pana Rawlisona.

Lecz on uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Mahdi oblega w tej chwili Chartum, w którym broni się jenerał Gordon. Czy pani wie, jak daleko z Medinet do Chartum?

—Nie mam o tem żadnego pojęcia.

— Tak mniej więcej, jak stąd do Cycylii.— objaśnił pan Tarkowski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dział Gospodarczy.

Żywienie bydła w zimie.

Bydło jest ważnym czynnikiem wytwórczości w gospodarstwie. Hodowla bydła coraz więcej popłaca i dlatego potrzebuje odpowiednich wysiłków. Rolnik ma z bydła wielostronny użytek: mleko, mięso, nawóz i siłę pociągową — częstokroć nie do pogardzenia. U nas zazwyczaj w równej mierze uwaga jest zwrócona na wytworzenie mleka, nawozu i mięsa. Na opas przeznaczają zwierzęta młode z jakimś brakiem; najczęściej jednak krowy starsze, dające mleka mało, podtuczają, by sprzedać rzeźnikowi. Tuczenie bydła zagranicą prowadzą na większą skalę wskutek wysokiej ceny na mięso i dużego zapotrzebowania lepszych gatunków. Naprzykład w Anglii, gdzie spożywają mięsa dużo i w wybornym gatunku, wytworzono przed laty sztuczną rasę "Szarthornów". Jest to bydło o krótkich rogach, dające mało mleka, ale odznaczające się szczególną zdolnością tuczenia i smakowitością mięsa.

Otóż bydło, stanowiąc ważne źródło dochodu, potrzebuje odpowiednich starań i dozoru. W lecie nie brak odpowiedniej paszy zielonej i pastwisk. Przed zimą jednak należy dobrze obmyśleć, czem bydło w oborze przekarmić i jak je przed mrozami zabezpieczyć, jeżeli się chce z niego nadal ciągnąć korzyść. W jesieni i zimie chłód krew ścina w żyłach i osłabia działalność żywotną — więc bydlę powinno mieć zapewniony dobry pokarm i ciepłe mieszkanie. Pasza i pomieszczenie, to są dwie rzeczy konieczne o których przed zimą pomyśleć trzeba.

Przy przejściu z paszy letniej do zimowej, krowy zwykle tracą mleko, co trwa długo, zanim się one przystosują do nowych warunków; dobra i obfita pasza w oborze powinna to wyrównać, każdy gospodarz jednak musi z góry obliczyć swe zapasy, czy one dla jego bydła do wiosny wystarczą — jeśli nie, to czem brak ma zapełnić. Zima trwa u nas siedm miesięcy, w najlepszym razie dni 200. Obliczyć należy, ile paszy — siana i słomy, znajduje się w oborze. Wiedząc, ile dziennie bydlę paszy potrzebuje, łatwo obrachować ile jej w ciągu siedmiu zimowych miesięcy spożytkuje. Naprzykład niech krowa dziennie otrzymuje 10 funtów siana i 6 funtów słomy; przez zimę w ciągu 200 dni uczyni to 200 razy po 10 funtów — 2 tysiące funtów — 1200 funtów, czyli 12 ctr. słomy. Niech kto ma 5 krów, musi mieć więc na składzie 100 ctr. siana i 60 ctr. słomy.

Siano i słoma same nie zawierają wszystkich potrzebnych części pożywnych, zwłaszcza jeśli chcemy, by krowa i przez zimę mleko dawała. Do paszy więc prócz siana i słomy, koniecznie dodać należy pewną ilość buraków, plew, otrąb, makuchów, wytłoków lnianych, rzepakowych lub konopnych itd. Dobrze robi dodawanie niewielkiej ilości paszy zielonej, kiszonej lub prasowanej.

Każdy gospodarz powinien się obejrzeć, jakie składniki pokarmowe najtaniej mu wypadną, by wilk był syty i koza cała, to jest ażeby bydlę dobrze się odżywiało i kieszeń właściciela nie nazbyt była obciążona.

Trzeba zawsze pamiętać, że otrzymanie największego zysku przy najmniejszym nakładzie jest celem prawidłowej gospodarki. Wobec rozmaitości warunkwó, związanych z rozmaitością położenia — trudno ustanowić jedną normę pokarmową dla bydła w całym kraju. To też możemy tu wymienić tylko parę, mogących być w rozmaitych warunkach zastosowanych. Gospodarze, siedzący w pobliżu fabryk rolniczych, mogą używać do paszy odpadki fabryczne, oszczędzając w ten sposób na sianie, zwłaszcza gdy się go brak odczuwa. W pobliżu cukrowni dobrze jest nabywać buraczane odpadki i przetwory. Przy 25 funtach odpadków z cukrowni, wystarczy dawać krowie 6 funtów siana, 5 funtów plew, 4 funty otrąb, 10 funtów słomy i 1 funt makuchów.

W pobliżu gorzelni dobrze daje się spożytkować wywar kartoflany. Przy 80 funtach wywaru dodawać należy 12 funtów słomy, 4 funty siana, 3 funty plew i 4 funty otrąb.

Gdzie blisko browar, tam doskonałą paszę dostarczają odpadki browarne, tak zwane słodziny, a jeszcze lepszą kiełki słodowe, podbudzające wydajność mleka. Należy wówczas dawać 25 funtów słodzin, 20 funtów buraków, 10 funtów słomy i 10 funtów siana. Przy obfitości buraków pastewnych można część siana niemi zamienić; np. dawać 30 funtów buraków obok 10 funtów siana, 4 funty plew, 2 funty otrąb i 2 funty makuchów. Gdzie się urodziły ziemniaki, tam mogą służyć też z pożytkiem do paszy: 10 funtów kartofli, 10 funtów buraków, 10 funtów siana, 5 funtów słomy, 5 funtów plew, 3 funty makuchów.

Widzimy więc, że "norma" jest bardzo rozmaitą, rozumiemy zaś pod normą określoną ilość i jakość paszy właściwej. Ustanowienie normy nie jest czemś przypadkowem. Podane one są przez ludzi nauki, którzy drogą doświadczeń naukowych obliczyli, ile i jakich składników bydlę do życia i produkcyi potrzebuje; również i to, ile i jakie składniki w rozmaitego rodzaju paszy są warte. W ten sposób ustanowiono normy żywnościowe. Każdy zresztą gospodarz na postawie istniejących dziś tablic z wykazem części składowych każdej paszy [tablice takie zawsze są podawane w kalendarzach rolniczych], sam może sobie normę ustanowić, stosownie do środków, któremi rozporządza. Wyżej podane normy owe ulegają pewnym zmianom bo gdy poprzednio chodziło o produkcye mleka, teraz idzie o wytworzenie mięsa.

Bydlęta, na opas przeznaczone, powinny dostawać więcej buraków, wywaru i makuchów, wogóle strawę obfitszą i cięższą. Wymienione normy mają służyć dla bydła o przeciętnej wadze 1000 funtów; przy mniejszej lub większej wadzę musi gospodarz normę odpowiednio zmieniać.

Nieraz przy obliczaniu zapasów paszy, gospodarz znajduje nadmiar jej, wówczas może trochę sprzedać, jeśli ceny na słomę i siano są wysokie; lepiej jednak, jeśli środki pozwalają dokupić parę sztuk bydła, by cały zapas paszy spaść.

W razie braku wygodniej jest nieraz pozbyć się gorszej sztuki, niż słomę i siano dokupować.

Woły robocze, o ile się je nie podtucza, by w zimię sprzedać, należy karmić paszą lichszą i tylko w tej ilości, by na wiosnę nie osłabły lub zmarniały i obliczając zapasy paszy na zimę, trzeba i o ściółce pomyśleć, na sztukę wypada dziennie 6 do 12 funtów słomy, jeśli się chce mieć dostateczną ilość mierzwy i czystość w oborze.

Paszę dawać należy w porach stale oznaczonych, rano w południe i wieczór. Woda do pojenia powinna być odstała, nie za zimna, najlepiej gdy do kadzi z wieczora nalana, przez noc w oborze postoi.

Obok paszy, równie ważnem jest odpowiednie pomieszczenie dla bydła. Trzeba pamiętać, że w zimie bydlę, jak i człowiek, więcej ciepła powietrzu oddaje, a więc więcej go traci.

To też większa część pokarmu idzie na utrzymanie stałej ciepłoty ciała. Jeśli bydlę stoi w zimnej oborze, potrzebuje więcej karmy zużywać i mniej daje mleka. W ciepłej oborze więcej karmy zużywać może i więcej może dawać mleka i łatwiej nabiera ciała. Trzeba koniecznie dobrze przed zimą obejrzeć oborę, pozatykać szpary mchem lub perzem; naprawić okna, wrota, dach itd.

Bydlę — nawet najbardziej rasowe, przy lichej strawie i złem utrzymaniu zmarnuje się i wartość straci; bydlę rasy gorszej, dobrze odżywiane i starannie doglądane, przyniesie stały dochód właścicielowi. Słusznie bowiem ktoś powiedział, że "połowa rasy wchodzi pyskiem."

Karm zadawany krowom w postaci ciepłych zup, to jest parzonej sieczki i plew, oraz rozgotowanych okopowych jarzyn z dodatkiem ospy albo makuch i 30 — 50 gr. na sztukę soli dziennie — taki karm nadzwyczaj korzystnie wpływa na wydajność mleka. Zupy podobne, stosownie do żywej wagi danej sztuki, zadaje się dwa razy dziennie, a jeden raz koniecznie suchą paszę, jako to: siano bydlęce, koniczynę itp.

Przy karmieniu krów zupą, krowy nie potrzebują pojenia więcej, jak raz na dzień wodą wystającą.

Przy obrządzaniu krów z rana, wielki wpływ na ich zdrowie i wydajność mleka wywiera czyszczenie całej powierzchni skóry zgrzebłem. Po obrządzeniu i nakarmieniu doić krowy do ostatniej kropli mleka ostatnie bowiem te krople zawierają największy zapas tłuszczu; stanowią jakoby śmietankę. Niewydajanie mleka do ostatka sprawia zapuszczanie krowy. Dojenie krowy nie powinno się przerywać; trzeba doić od razu do końca. Pomiędzy krowami wiele się zdarza nerwowych, przeto podczas dojenia obchodzić się trzeba z niemi łagodnie: nie krzyczeć, a tymbardziej nie bić, gdyż krowa rozdrażniona nietylko że nie odda wszystkiego mleka, ale znarowi się i kopać będzie.

W budynku u krów powinien być zachowany wzorowy porządek, bez kurzu, pajęczyny na ścianach i pułapie, powietrze bez zaduchu, czyste i ciepłe, około 12 stopni. Jeżeli się krowy karmi parzonką i zupami czysto myć żłoby i naczynia ługiem, i bielić je niekiedy wapnem. — Z pod krów stojących na podłodze, nawóz co dzień opatrzać i suchym podściołem zaścielać. Jeżeli krowy stoją na nawozie, pod zadami nawóz zrównać; pod przodami krów powinno być wyrzej; zaścielać obficie.

Dobry ma wpływ na zdrowie krów i wydajność mleka oraz na tuczenie opasów, jeżeli po obrządzeniu i każdem nakarmieniu, bydło przynajmniej na parę godzin zostanie w spokoju i przy pozamykanych drzwiach i zasłoniętych na ciemno oknach.

Tym sposobem dostaje się bydłu czas do przespania i przeżucia zjedzonych pokarmów.

Chcąc być pewnym rzeczywistego dochodu od każdej krowy i tego, czy się ją opłaci trzymać, więc i karmić dobrze, koniecznie trzeba robić przynajmniej raz na tydzień przez cały rok próbne udoje.
żdym tygodniu raz przez cały rok wpisuje mimowoli: ile kwart mleka krowa daje, to po zliczeniu wszystkich tygodni wie się, co krowa daje na rok.

Co robić w razie pomoru drobiu?

Kury, gęsi i inny drób najwięcej pada wskutek choroby, zwanej cholerą drobiu. O chorobie tej p. Leon Buczwiński tak mówi w swoim doskonałym "Poradniku Weterynaryjnym dla ludu Polskiego":

Cholera drobiu, ta wszędzie znana i napotykana często choroba bywa u wszelkiego rodzaju ptactwa domowego, tj. u kur, gęsi, kaczek, indyków, gołębi, bażantów, pawi, a także wszelkiego ptactwa pokojowego u papug, kanarków, itp. Odznacza się ona bardzo szybkim i gwałtownym przebiegiem, a czasem nawet bez widocznych oznak drób pada nagle. Zwykle jednak choroba trwa dłużej: od 1 do 8 dni. Przy dłuższem trwaniu objawy są następujące: ptactwo nie ma chęci do jadła, jest smutne i osowiałe, opuszcza skrzydła, pierze nastroszone, wole rozdęte, szyja skrzywiona. Niekiedy pokazuje się wypływ pienistego śluzu z dzioba i wymioty, nieco później pojawia się biegunka i silne pragnienie; kał z początku kaszowaty, żółtawy, wodnisty, zielonawy i smrodliwy; wkrótce i oddychanie staje się utrudnionem, chrapliwem, grzebień sinieje, osłabienie ogólne zwiększa się i śmierć następuje przy oznakach senności, lub też przy silnem drżeniu i konwulsyach.

Leczenie przy szybkim przebiegu choroby i bardzo znacznej śmiertelności, użycie lekarstw jest bezskuteczne; ważniejszem jest zapobieganie się szerzeniu choroby polegające na oddzieleniu tj. wyprowadzeniu z kurnika drobiu jeszcze zdrowego, a pozostawieniu w nim sztuk chorych, jak również na dokładnem czyszczeniu i myciu kurników; w tymże samym celu radzą do wody do picia dla drobiu dawać kawałek koperwasu żelaznego.

Przepisy weterynaryjno-policyjne:

§ 143. Przepis zawiadamiania przez właścicieli zwierząt o wypadkach chorób zaraźliwych obowiązuje również i właścicieli ptactwa domowego w ich gospodarstwach gromadnego pomoru drobiu.

§ 144. Przy pierwszych objawach choroby zdrowe ptactwo powinno być usunięte z ogólnej ptaszarni i pomieszczane osobno.

§ 145. Padłe sztuki, razem z pierzem, odchody stolcowe i ściółka z wierzchnią warstwą ziemi, na której leżał drób chory, powinny być spalone, w razie niemożliwości — zakopane na dostateczną głębokość.

§ 146. Z gospodarstw, w których pojawia się pomór drobiu, wzbronioną jest sprzedaż tegoż na wywóz.

§ 147. W razie silnego rozwoju zarazy zakaz ten [§ 146], z decyzyi komisyi weterynaryjnej może być zastosowany do całej wsi zapowietrzonej.

Szczyt ciemnoty.

W Hagen we Westfalii żyła sobie wdowa. Poznał ją 42-letni domokrążny Siegmund, a widząc, że to kobieta ciemna "objawiał" jej się jako "Chrystus." Kobieta klęcząc modliła się do niego, namaszczała go i myła mu nogi. Oszust obiecał jej, że za to ożeni się z nią przy końcu świata. Owe nabożeństwo wdowy i 'objawienie' trwało — 5 lat! Oszust w tym czasie zdołał wydobyć od ciemnej baby kilka tysięcy marek i wiele żywności. Synowie wdowy, dowiedziawszy się o wszystkiem, donieśli o tem władzy i oszusta skazano na rok więzienia.

Wesoły Kącik.



— Więc kochasz mnie pan?
— Kocham.
— Do jakiego stopnia pan mnie kochasz?
— Moja droga pani, jeszcze nie wynaleziono odpowiedniego termometru, do mierzenia miłości...

Na co mu to.

Ojciec do syna hulaki: — Dla czego ty przynajmniej nie prowadzisz książki swoich wydatków.

Syn: — Na co mi to mój ojcze, kiedy książki moich wydatków prowadzą moi wierzyciele.

Zrobił karyerę.



Akuszerka melduje dorobkiewiczowi: — Pański nowonarodzony synek liczy w tej chwili akurat dziesięć minut życia!

Milioner: — W ciągu tak krótkiego czasu, szelma malec zrobił taką karyerę.

Brzydki obyczaj.



Dama: Proszę pana, mormoni w Ameryce mają po kilka żon. Co pan sądzisz? Mnie się zdaje że to brzydki obyczaj...

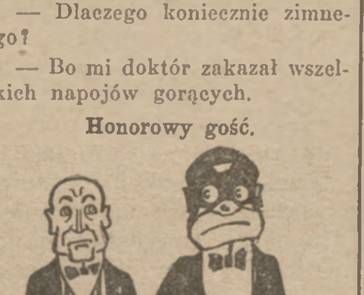
Pan: — Zapewne, że brzydki, bo człowiek mało ma nadziei, żeby kiedy został wdowcem.

Między pijakami.



— Pójdź, napijemy się herbaty.
— O nie!... chyba punczu, ale zimnego.
— Dlaczego koniecznie zimnego?
— Bo mi doktór zakazał wszelkich napojów gorących.

Honorowy gość.



— Niech pan będzie łaskaw jeszcze zupy pozwoli.
— O! dziękuję!
— No, choć łyżeczkę.
— To... to już wolę w kieszeń zabrać, jeżeli... srebrna.

* * *

Matka: — Czego ty płaczesz Franusiu?

Franuś: — Ach mamo, — nasz nauczyciel, co tak długo chorował już wyzdrowiał i jutro zacznie lekcye!

Z obserwacyi pływaka.

— Co jest najtrudniejszą rzeczą dla kobiety uczącej się pływać?

— Trzymać usta zamknięte.

* * *

Małżeństwo jest to wysoka wieża, z której skacze się w dół; szczęśliwy ten kto karku nie skręci.

Za kulisami.

— Cały majątek straciłem dla pani, mimo to kpisz sobie ze mnie!

BAJKI KASZUBSKIE.

WILK I JEGO PODFRYSZTEK.

Tam dalek w Rusach, gdze swięty Mikołaj je patronem wilków, smniеło se wilkowi, że zjod dobry podfrysztek. Jak on se zbudzeł, tej on rzek do sebie:

"To beł piękny sen, ale jesz lepszy będze ten podfrysztek, co mnie se wesmnieł! Pudę, a on mie gwesno som w pesk wlecy!" — Bo wilk je bardzo głupy.

Tak on szed. Niedaleko zaszed, tak trafił na kozę z dwuma kozlętami. Widząc, pomeszloł sobie: "Aha, to będze muj podfrysztek! — Jak on przeszed do nyj koze, on rzek: "Tero wom nic nie pomoże. Jo waju zjem. Naprzod te twoje kozlątka, a potym cebie, staro. Bo mom głod, jaż flaci mruczą!"

A ta koza odrzekła:

"Tec możesz naju zjesc, ciej ju inaczej nie jidze. Ale rownak nom pozwolisz, że so przed smiercą pocerz zmowiema."

"Ale jo!" odrzek wilk. "Zmowta pocerz, a potym jo waju zjem!"

Koza podeszła do Bożymęci i jęła bleczec, a kozlątka za nią bleczałe jesz głosnij. A wilk niedługo wetrzymoł i jął wec.

Niedaleko za górą pas owczorz trzodę. Ten, czując blek i wecy wilka, posłoł swygo psa. Pies nadbieg weszamotoł i pokaleczeł wilka tak, że on muszoł drawo ucekac. Mało go nie zażar.

A koza z kozlątkami ucekła.

Jak go ju pies więcyj nie gonieł, wilk stanał i so pomeszloł: "To beł srodzi podfrysztek, nima co mówić! Jaci jo beł głupy!"

Szed dalij. Tak za chwilkę on trafieł na swynię z sedem prosątkami.

"To będze dobry podfrysztek!" — pomeszloł on sobie, A do swyni on rzek:

"Tero jo zjem waju wszescich, bo mom głod, jaż strach. Noprzod twoje prosątka, a tej cebie."

A swynia odrzekła:

"Możesz naju zjesc! Czymu nie? Tec ludze na to naju chowią, żebesma beła zjadły. Ale przed smiercą nom rownak jednę prosbę użeczysz?"

"Ciej le nie chceta mie ucec, to czymu nie?" odrzek wilk.

"Ma noprzod odmowiema rożańc, tej naju możesz zjesc!"

No dobrze! Wilk se zgodzeł. A swynia razem z prosątkami jeli kwiczec, a i wilk za chwilkę jął wec, le se tak rozlegało.

Uczuł to owczarsci pies, przelecoł, weszarpoł i pokaleczeł wilka, a swynia z prosątkami ucekła do dom.

A wilk se srodze zafrasowoł.

"To mie je podfrysztek! Ale zdrowo mie, czymu jo beł tyle głupy!"

I szed dalij. Tak natrafieł kurona (koguta). "Aha!" rzek do sę, "to będze muj podfrysztek. Choc koza abo swynia bele lepszy, ale lepszy co niże nick!" więc rzek do kurona.

"Cebie jo tu zaru zjem. Bom niejod dzyso jesz nick, a głod mie morzy, jaż strach." Kuron też sę chcoł ofiarowac na podfrysztek, ale proseł wilka, żebe mu pozwoleł jesz roz przed smiercą sobie zaspiewac.

"To nimoże bec!" odrzekł wilk. "Bo bes mie ucek!"

"Ciej te sę boisz, żebem ce nieucek", rzek kuron, "to trzymoj mie za ogon, a jo so zaspiewom!"

Ciej tak, to wilk sę zgodzeł i chwecoł pesciem kurona za ogon, a nen zaczął skrzydłami trzepac i pioc. W tym ale wilka zaswędzeło jedno pióro w ogonie kuronowym w nos, a on muszoł cichnąc i popuscec ogon. Ledwo uczuł to kuron, tak podlecoł na drzewo i z wilka se wesmioł.

Tero wilk se srodze zasmuceł.

"Jaci jo rownak jem głupy! Wszestko mie oszuko. Jo wiero ju dzys nie doczekom sę żodnygo podfryszteku!" W tacich meslach szed on dalij i natrafieł gęs. Zaro mu sę serce rozweseleło, i wpod na nę gęs.

"Te gąsko mie nie uńdzesz. Jo cę tu zaru zjem, jak te stoisz. Nareszce jem sę doczekoł podfryszteku!"

Ale gęs rzekła:

"Możesz mie zjesc, wilku, jo ce tego nie bronię i niebędę sę na to skarżec. Jo jem ju staro i joj niesc nimogę, a roz muszę umrzec gęsą smiercą. Ale wejle, jo od szesc niedzel sę niemeła, bom od tego czasu po roz pierwszy weszła z chlewa. Pozwól mie sę omec w jezorze, tej będę tobie też lepij smakowała!"

"Nie, na to jo niepozwolę!" odrzek wilk, "bo bes te mie ucekła!"

"Możesz mie trzymac za ogon, pokąd jo sę będę meła", prosełа gęs, "tej jo tobie ucec nie będę mogła!"

Wilk widząc, że gęs poprowdze niebeła meto od szesc niedzel, zgodzeł sę i szed za gęsą do jezora. Tam on sod na brzegu i trzymoł ję za ogon, a ona prała skrzydłami i lała karciem wodę na sę. Jak ona sę ju do połowę omeła, tej ona rzekła:

"Popusc że mie kąsk (trochę), cobem sę mogła głębij zanurzec."

Wilk popusceł. W tym gęs sę zanurzeła tak głębok, że jaż w połowie jezora weplynęła.

A wilk na brzegu lamańtowoł:

"Znowu mie uszed podfrysztek. Ach, jaci jo jem głupy. Nolepij be sę beło powiesec, bo jesz z głodu zdechnę!"

Tak on szed w smutku i mankolii dalij, jaż przeszed na jednę łąkę, gdze sę pasła kobeła ze zgrzebięcem.

"To będze muj podfrysztek", rzek on sobie i polecoł do nyj kobełe.

"Cały reno ja biegom za podfryszteciem!" rzek on, "a nimogę nic zdobec. Tero jo waju pożrę, cebie twoje zgrzebiątko."

"Tak to nie jidze!" odrzekła kobeła, "bo jo mom taci list prze sobie, że te mie pożrec nimożesz!"

"Na taci list jo be beł cekawy" odrzek wilk. "Bo chtuż nie może zakazac cebie zjesc. Nie chcesz te mnie tego listu pokozac?"

"Tu on je", rzekła kobeła i podniosła przedną nogę. "Zazdrzyj le pod kopeto!"

Kobeła ale beła ostro kuto. Jak wilk tede postawieł sę i zazdrzoł pod kopeto, tak kobeła go buch! w łeb, tak, że go na miejscu ogłuszeła. Nim on przeszed do sebie, to kobeła ze zgrzebięcem ucekłe za dzesątą gorę.

"A to beł mie dobry podfrysztek", stękoł wilk, a głowa go srodze bolała. "aci jo beł głupy, po tyle doswiadczeniach kobele pod kopeto zaglądac. To ale mie je nick a zdrowo!"

Tak wilk szed dalij i ju zwątpieł o podfryszteku, już on trafieł na polu starygo barana.

"Cebie jo tero zjem ze skórą i rogami," rzek on do niego. "Bo od samygo rena ubiegom sę za podfryszteciem i jem taci głodny, żebem kaminie mog grezc!"

"Zjedz mie!" rzecze baran, "bo mie sę 'ju przykrzy dłużej żec. Jo jem stary, prze karnie ju nie chodzę, i nic po mie nie je na tym swiece. Jo cy nolepij som w gardło wlezę!"

To se wilkowi srodze widzało. A beło tam jezoro, o kawałuszk od brzegu beła góra. Tak baran rzek do wilka:

"Ustaw sę kole jezora, a jo wlezę na tę gorę i sę zapuszczę, be tym łżyj w twoje gardło wlecec. Ale otworz szerok jak możesz twuj pesk!"

Tak wilk stanął kole jezora i otworzeł szczęci, a baran wloz na gorę i se zapusceł z całyj moce. A lecąc z gorę, z taką selą rogami we wilka buchnał, że ten wlecoł jaż w jezoro. Ledwo tam nie utonął.

Nim ale sę wedobeł na brzeg, ju baran beł precz.

"To mie poczestował podfryszteciem!" lamańtował wilk. "Głupszygo wiera zwierzęca nima na swiece, niże jo. Ale zdrowo mię, zdrowo!"

I z ciężcim sercem szed wilk do lasa, bo go tak poczęstowele, że ju se jimu odechcało podfryszteku.

W lese on sod na wieldzi pień i lamańtował:

"A, to mnie dele! zamiast podfryszteku pobile mie, i bełbem bezmała w jezorze utonął. Ale to wszestko przez moje głupstwo. Som niemeszlołem, żem je tyle głupy! Niechże mie chto też zaru ogon za to utnie, bom na to sobie zasłużeł!"

Za tym pniem, ale, na chternym wilk sedzoł, stojoł wypróchniały dąb. A w nim stojoł chłop z toporciem, co sę tam skreł. Ten czuł tę mowę wilka i jego życzeni: Niech mie chto tu zaru ogon utnie, bom na to zasłużeł!

"To te możesz miec wilku!" rzek on do sebie, napluł w gorsc i ucął wilkowi ogon kole samygo chrzebta. Wilk ale chyże podskoczeł i ucekoł:

"Tero jo dostoł, co jo chcoł! Tero jo mom nolepszy podfrysztek!"

Tak to szło wilkowi, chternymu się smnieło o dobrym podfryszteku. Niech nicht nie wierzy w to, co mu sę smnije.

O ŻOŁMNIERZU I ŻEDZE.

Beł to jeden żołmnierz polsci, co w polšcim wojsku służeł sztere lata. A jak on wesłużeł, tej go puscyle i dele mu za te sztere lata służbe trze szostoci. Tak on poszed w swiat. Ale jego odzeż beła obdzarto, i bote sę rozłazele, a czopka na głowie wezdrzała tak, jakbe ptoche niebiesci mieli w nij gniozdo zrobiony. Na drodze on spotkoł jednygo żeda, chteren mioł trzos pieniędzy przewieszony. Tak on se zatrzymoł i rzek do nygo żyda:

— Wej le żedze, jak jo jem obdzarty. A jo jem rownak polsci żołmnierz, im sztere lata służeł ojczeznie. Dej mie trochę detków, cobem so sprawieł wępms i cały bote!

Ale żyd zacząn lamańtowac:

— Aj waj! Jo jem jesz biedniejszy, niż te. Jo nimom złomanygo szeląga pod duszą!

Żołmnierz dobrze widzoł, że żyd mnioł trzos piniędzami nabity, ale robieł jakbe nigde nick, i rzek do żeda:

— Ciej te nick nimosz, tej ma są równy biedoci oboje. Poj tam pod Bożąmękę, będzema se modleła, żebe Pon Jezus se zmiełował i nom z biede wepomog. A może trzos pieniędzy weprosema!

Żyd niechcoł jisc pod Bożąmękę pocerz mowic, ale ciej żołmnierz zacząn sę gorzec, tej szed i klęk. A żołnierz kląk za nim.

Żołmnierz se przeżegnał, a żyd wejąn swoje sznurci, obwiązoł je na ręce; tej przewiązał so taci guż na łesenę (czoło) i jął sę ciwac i na swuj sposób modlec. Tymczasem żołmnierz podnios mały kamiszk i cesnął nim w drzewo Bożymęci, i se żeda spytoł:

— Czuł te co?

— Nie, jo nick nie czuł! — odrzek żyd.

Ale żołmnierz podnios drudzi roz kamiszk i cesnął w Bożą mękę i se spytoł żeda:

— Czuł te co?

— Nie jo nick nie czuł — odrzek żyd.

Tak oni sę jesz chwilę modlile. Tej żołmnierz po roz trzecy wzął i cesnął kamiszciem w drzewo Bożymęci. A tej pytoł sę żeda:

— Czuł te co, żedze?

Ale żyd i ten roz nic nieczuł. Tak żołmnierz ale wstoł i rzek:

— Ale jo czuł dobrze, jak to nom znak dało. Wstań, bo Ponbóg cę wesłuchał i doł ce cały trzos piniędzy. Tero poj, ma se na kaminiu podzelema.

Żyd se srodze przeląk, ale nimog sę dłużyj zapierac, bo żołmnierz widzoł, że on mioł trzos pełen piniędzy, choc przedtym nick nimioł. Więc rod nierod wesepoł trzos na kamiń na jednę kupę i se dzelyle.

Ale żol mu rownak beło połowe swoich pieniędzy, i rozmyszloł le nad tym, jakbe je dostac nazod. Więc, jak oni se podzelyle, i zabierale sę kożdy w swoją drogę, pytoł sę żyd żołmnierza bardzo słodko:

— A chdze te sę tero udosz, żołmnierzu?

— Jo pudę w swiat! — odrzek żołmnierz. — Bo nimom żodnygo doma. Ani ojca, ani matci, ani białci, ani dzecy, ani brata, ani sostre, ani roli, ani chudobe. Pudę szczescu szukac!

— To poj ze mną! — proseł żyd. — Jo ce dom jesc i pic i w posceli sę wespisz. A jak so odpoczniesz, możesz jisc dalij!

Na to sę żołmnierz rod zgodzeł i szed z żedem do jego domu. Tam żyd zawołoł swoję białkę, Jidkę, i kozoł jij piec i gotowac co nojlepszygo. A ciej Jidka stoł dobrze zastawieła, i żołmnierz se zabroł do jedzeniu, żed powiedzoł, że mo sprawunci na miesce i szed precz. A żołmnierz jod i pieł, bo beł bardzo głodny.

Żyd ale mu wechodzeł na zdradę. On nie szed na miasto po sprawunci, ale prosto do zomku, chdze mieszkoł starosta. Tam on se doł zaprowadzec do pana staroste i sę uskarżeł na nego żołmnierza:

— Wielmożny panie starosto! Aj waj, co mnie się stało! Szedłem so z handlem drogą, a wpod na mie taci polsci żołmnierz i zabroł mie całą połowę moich piniędzy!

— A jakżeż on wezdrzoł? — spytoł pon starosta.

— Taci obdzarty jak strach! — odrzek żyd. — Odzeż dzurawo, bote sę rozłażą, a czapka na głowie wezdrzy tak, jakbe w nij ptoche niebiesci miele gniozda zrobiony. Nick na nim nie je cały, oprocz tyj skore, co ję sobą no swiat przenios!

—Ciej te go tak dobrze opisoł, to ma go ju weszukoma.

A wiesz te też, chdze on z tymi pieniędzami ucek?

— On je u mnie doma! — odrzek żyd. — I je i pije.

— Ciej tak, to le go przeprowadz. Ju szubinica na niego czeko!

Żyd pięknie podzękował panu starosce i szed do dom, żebe żołmnierza przeprowadzec. Ten prawie so gębę obceroł, bo mu dobrze smakowało. A żyd do niego rzek bardzo mile:

— Nasz pon starosta czuł, że tu je polsci żołmnierz w miesce. On be cę rod widzoł i z tobą pogodoł o twoich wojnach. On prosy, żebes do niego przeszed!

— Jo rod pudę! — odrzek żołmnierz. — Ale jakże mnie tam jisc do tacigo wieldzigo pana, ciej jo jem tak bardzo obdzarty!

— O to sę le nie kłopoc! — odrzek żyd. — Jo ce dom nowy wępms!

— A kamizelkę też?

— Też.

— A czopkę nową też?

— I czopkę jo ce dom — rzek żyd i przenios ze szafe decht nowy wępms i kamizelę i czopkę.

A jak sę żołmnierz w te rzecze ubroł, to wyglądoł jak istamantny graf. Ale tej jesz od żeda zażądoł nowych botów.

— I bote jo ce dom! — rzek żyd. I weszukoł decht nowy, i je pięknie wewiksował. A żołmnierz je obuł i rzek:

— Tero jo bem mog jisc do pana staroste. Ale na dworze je czap (brud). Jo sobem te swiecący bote decht poczapoł. Jo koniecznie muszę miec konia!

A żyd weprowadzeł ze stani nolepszygo konia, weczeszczoł go zgrzebłem i szczotką i osodłoł go dlo żołnierza. A ten sod i rzek:

— Tero jo mogę stawic sę przed panem starostą!

I jachoł, jak wieldzi pon do zomku, a żyd szed piechty za nim.

Pon starosta prawie stojoł przed swoim zomciem, a żołmnierz pokłonieł mu sę bardzo pięknie, a pon starosta mu podzękowoł. A żyd wskazując palcem na żołmnierza rzek:

— To on je!

— Te wiera ogłupiec żedze? — odrzek starosta. — Ten pon bec mioł pieniądze wząc? Tec te mowieł, że to beł jacis obdzarty węder!

— Ten żyd mo rozum pomieszany! —rzek tero i żołnierz. — On gotów rzec, że ten wępms i czapkę i bote, co jo na sobie mom są jego.

— Jak Bog na niebie!—krzyczoł żyd, — że to je wszestko moje!

— On nawetk powie, panie starosto, że ten koń, na chternym jo jadę, je jego włosnoscią!

— Jo przesygom! — krzyczoł żyd — że i ten koń je muj!

— To je znak, że te jest, żedze niespełna rozumu! — rzek kurcszce starosta. — Noprzod te mowisz, że jacis obdartus cę obrabował, a teraz te winujesz tego pana. Niech pon jadze z Bodzim! — rzekł tej do żołmnierza, wszed w swuj zomk, i zamknął dwierze za sobą. Żyd lamańtowoł w niebogłose. Ale żołmnierz pojachoł w s iat i dobrze mu se powodzeło, bo beł szekowny i mioł konia i wiele pienędzy.

PIEŚNI KASZUBSKIE

Świeci słońce w okno moje.

— Świeci słońce w okno moje,
Już odjeżdżam serce moje. —
— Ja wiem dobrze, że odjeżdżasz
I gdzieś inną w świece so masz.

Innej nie mam, innej nie chcę.
Tylko ciebie moje serce.
— Żebym była wpierw skonała,
Niż się w tobie zakochała.

— Ty dziewczyno nie życz sobie
Mnie jest ciężej, niżli tobie.
Tobie ciężko z moim dz...
A mnie ciężko z twym wianeczkiem.

— A ty myślisz, że się smucę,
Że ty do mnie nie powrócisz?
Sukienkę so wyplatuję,
Na sali so potańcuję.

A ty na mnie ślepiać będziesz,
Łzami się zalewać będziesz.
W koło mnie się nie obracaj
I pieniążków nie przetracaj;

Bo to wszystko nadaremnie,
Nie będziesz mieć żonki ze mnie.

|Juszki| Pod. Fr. Sędzicki.

ELEKTRYCZNY SEN.

Uczony francuski Leduc, zrobił odkrycie, które w sferach lekarskich budzi już od dłuższego czasu duże, a zupełnie zrozumiałe zainteresowanie. Leduc mianowicie po całym szeregu doświadczeń dokonanych na zwierzętach, doszedł do przekonania, że chloroform czy eter można zastąpić w narkozie prądem elektrycznym. I jeżeli ten system w dalszych doświadczeniach okaże się skutecznym, to w chirurgii można się spodziewać poważnego przewrotu.

"Leduc, profesor w Ecole de medicine w Nantes — pisze dr. J. Kowarzyk, prymaryusz szpitala jubileuszowego w Wiedniu, w jednem z pism tamtejszych — przy badaniu zachowania się mózgu wobec prądu elektrycznego, zrobił bardzo interesujące odkrycie, że przez zastosowanie prądu elektrycznego w odpowiedniej formie tak zwierząt jak i ludzi mózg, można wprawić w stan zanikającego zaniku odporności, podobnie zupełnie jak przez narkotyzowanie chloroformem czy eterem. Zjawisko to nazywa uczony francuski snem elektrycznym. U zwierząt uśpionych w ten sposób, gasły wszelkie funkcye życiowe z wyjątkiem czynności serca i oddechu; nie reagowały one na najbardziej bolesne dotyki i pozostawały dopóty w takim stanie, dopóki trwało działanie prądu elektrycznego.

"Po doświadczeniach robionych na zwierzętach, nie zawahał się znakomity uczony dokonać próby na sobie, kazał się bowiem kolegom swoim zanarkotyzować swoją metodą—i oto, co sam o tem powiada: "Uczucie wywołania podnieceniem nerwów, jakkolwiek nieprzyjemne, jest, łatwe do zniesienia. Uspokaja się zwolna i ustaje. Twarz czerwienieje; występuje lekka kontrakcya mięśni twarzy; następnie czuje się drganie w palcach u rąk, które rozszerza się także na kończyny nóg. Rozpoczyna się hamowanie mowy. Członki nie sztywnieją. Stękania przez pewien czas nie wywołuje jakieś bolesne uczucie; pochodzi ono raczej z podniecenia mięśni i krtani. Puls podczas naszego eksperymentu nie uległ żadnej zmianie, oddech był, zdaje się, trochę utrudniony. Kiedy prąd osiągnął swoje Maximum, słyszałem jeszcze, jak we śnie, co koło mnie mówiono. Czułem szczypanie, kłócie w ramię, uczucie to jednak było słabe. Przebudzenie następuje zaraz po przebudzeniu prądu i nie odczuwa się żadnych ujemnych następstw tego rodzaju narkozy, przeciwnie ma się uczucie rzeźkości i siły. Po przebytej próbie udałem się zaraz na zebranie naukowe."

"Czy metoda prof. Leduca jest istotnie tak nieszkodliwą — dodaje dr. Kowarzyk — i czy zdoła wyrugować powszechnie dzisiaj w narkozie stosowane chloroform i eter, pouczą nas dalsze badania."

O Polsce po Angielsku.

HISTORY AS POLES WOULD WRITE IT.

Their Conception of Germans and Russians Different from Usual One.

AS INDIANS VIEW WHITES.

Every Historical Work in Some Degree Like a Brief in a Court Case.

By George A. Dorsey Ph. D., LL. D.

[The Chicago Daily Tribune.]

CRACOW, Galicia, Austria, Oct. 4. — There are twenty million Poles, their blood and bones steeped in Polish sentiment. They feel themselves oppressed. The stronger the oppression the more profound the consciousness of nationality, the sentiment which leads Poles today to declare that they constitute a live nation to go farther and declare that a living nation can never be destroyed. Oppression does not wipe out or destroy; it creates and intensifies. At last I am able to look at Polish history from the standpoint of the Pole.

Every written history, even more than we realize, is a brief in a trial. No matter how impartial the writer of history may consider himself, consciously, he takes one side or the other.

Conceive of a history of the United States, written by an Indian, from the Indian's point of view. It would bear little resemblance to anything now in print. Such a writer might even maintain that the appearence of the white man checked the growth of and in greater part destroyed one of the world's interesting cultures and prevented the people of a vast continent from developing their culture to a point where it would rank with other world cultures. He could make out a good case.

Four hundred years ago America lacked steam power and adequate beasts of burden. Nor had American culture yet produced a written language. But it had a great literature and was on the road to a written language. It had even arrived at that stage in Central America.

White Man's Conquest of America.

The white man stopped development, wiped out all that had been done, absorbed of indian culture only certain domestic plants and animals. The white man justifies himself by talking about progress natural expansion, divine rights, providence, and other phrases. Jungle law does justify all this. But when man prays he pretends that the earth is not a jungle, and the Christian talks about charity and prays that he may do as he would be done by. The Indian has heard about this view and that is why he found it difficult to accept Christianity.

Germans and Russians appear to Poles as monstrous, ruthless beasts, as the white man does to the Indian. This is the way the matter looks to the Poles:

"We have to deal with Germans and Russians. From their injustice is born the Polish question. There is great difference between Poles and Germans. Germans have always been a wandering people. Savages in early times, scurrying back and forth across Europe, ruthless destroyers. Goths and Vandals. Nothing was sacred to them.

"We Poles are different. We have cultivated the arts of peace. We are more civilized, a more sessile population, a peace loving people. We desire neither conquest nor wars of conquest. We prefer to remain in our ancestral homes, worshiping at the shrines of our ancestors.

"Worst of all Germans are those of the north, the Prussians. Bavarians much resemble Poles. Probably much of their ancient blood is Slav. Like us, they show reverence for their own, respect for things foreign. The Prussians are grabbers. Their organization is military and they rule by discipline—but are not free. Their greed for land grows through generations. They would overflood the world.

"Prussia has been erected over the graves of peaceful Slavs. Three-fourths of Prussia of today is Slav land, until recently occupied by Poles.

Future Is Dark.

"The future is dark. Russia even without the kingdom, will remain a great power, even greater than it was before it seized the kingdom. It will push on to Tiflis, Kheva, Bokhara, Samarcand, Teskin, Usurin and Manchuria. They may push into the Pamir, Teheran Ispahan, Lhassa and Afghanistan, if not as far as Bombay.

"A hope of independence keeps us alive. We ask only that to which we have a right—to get back what we lost. Even a great nation may fall, but it is a veritable cur of a nation which allows itself to be destroyed. We must become morally fit. We must develop sanity and youthful spirit. We must use common sense and prepare for what the future will bring."

WEIRD POLISH ART SEEN IN CRACOW.

City Has a Beautiful Circular Park and Is Preparing Another.

OLD BUILDINGS RESTORED

Painting and Decoration Often Show Peculiar Riot of Imagination.

By George A. Dorsey Ph. D., LL. D.

[The Chicago Daily Tribune.]

CRACOW, Galicia, Austria, Oct. 5. — The sun comes out, and with it people, swarming into the streets and a wonderful circular park which flows around the city like a broad river of green. This ring park saves Cracow.

Vienna tore down its old encircling wall and converted the space into a boulevard, one of the finest in the world. Cracow's old wall made room for broad walks, flower gardens, and rows of fine chestnut trees. Cracow takes though for the future, too. It will build another encircling park, beyond which suburbs may flow into the country. And the country about Cracow, when the day is perfect, is as one may look upon.

Yes, Cracow builds for the future. Foundations for the new spring from sentiment for the old. And the cement is moistened with tears; now of hope, now of despair. Poland seems much more real than Austria just now.

I have said more than once that Poland has been effaced from the map. This was a great mistake. Everywhere you are confronted with maps of Poland. I doubt it there is a book shop in Cracow which does not display in its windows a map of central Europe with the area occupied by Poles carefully colored; on it you may read the history of the partition.

Lesson of Gruenwald.

At first I did not understand Gruenwald. Why should Poles commemorate in so striking a manner a battle 500 years ago, when the blood of that same field of battle watered seeds which grew into Prussia and the German empire? Prussia is the rock on which Poland broke. Germans make up the sea which would ingulf Poland. Why celebrate Grunwald? Why erect monument of stone and bronze to a victory which brought death? But Grunwald is not a defiance. It is not a challenge to the Germans. It is not a call to arms. It is a living lesson to living Poles that their ancestors once were mighty. It is a prayer, "Lest we forget."

And thousands of men marched on the day of that celebration. Their arms were of wood. But probably Poland's youths never marched to actual battle with such love of country, with such reverence for the past or grim hope for the future. The world at large was not supposed to participate in the Gruenwald ceremony. Nor was the world invited. It was an invitation to Poles to come together; an opportunity for the starved Polish souls of the kingdom and of Posen to meet their fellow men of Galicia and with them sing the national hymn — privileges denied them in Russia and Germany.

That is the kind of sentiment that does things. If 20,000,000 Poles keep up that spirit, something will come of it, or they will perish in the attempt. It may not be good business, but it is good human nature.

It was a beautiful, intense devotion to Poland that prompted Mr. Paderewski, the greatest living Pole, to erect this Gruenwald monument in Cracow and present it to the Polish world.

Tomb of Kosciusko.

On the highest hill of the neighborhood rises an earth mound built years ago by the united efforts of thousands of people, to the memory of that greatest of all Polish patriots, Kosciusko. And I confess to a deeper interest in Poles since I found his great stone coffin among the tombs of the kings in the cathedral crypt, covered and surrounded with wreaths. No king lying there receives such homage. No king receives any homage except that sturdy Transylvanian, Stefan Bathory; and the wreaths over his sarcophagus bear the colors of Hungary. This old cathedral is sacred ground to Poles. It is neither a great nor a beautiful church, rich neither in costly marble nor painted canvas, but the most sacred shrine of Poland. In the church proper are the monuments of many centuries of kings; their tombs in the crypt.

The cathedral is being repaired. An ancient pile within the fortress inclosure, for many years a barracks, is now being thoroughly overhauled, perhaps it would be better to say rebuilt. They aim to restore it as it was when the home of their kings. It will take years and be a heavy drain in the people.

Good Deal of Restoration.

I think I never heve seen so much restoration. Every tangible link with the past is being put in order.

Not far from Cracow Poles now are erecting another earth mound, to make the past more real. Why not? The average earth mound is infinitely more dignified and beautiful than the average monument. It is given to but few artists to conceive a real work of art. All the world once built mounds, nowhere so imposing or graceful as in the Mississippi valley, Cahokia being perhaps the largest artificial mound in the world. And yet archaeologists sigh that lack of funds prevents them destroying it, for the sake of the treasures of stone and copper that it is supposed to conceal.

The mound now going up is literally the work of thousands of people, each individual contributing only a few hours or days of labor. The work is chiefly done by different organizations — schoolboys, laboring men's clubs, etc. heart, perhaps it should be called The picnic spirit dominates the work; or, as it springs from the play.

Jak się zwierzęta porozumiewają?

Zagadnienie to od bardzo dawna zajmuje uwagę uczonych przyrodników. Chodzi o to,, czy głosy wydawane przez zwierzęta, wyrażają jakieś myśli, czy też są zwyczajnemi tylko odruchami, spowodowanymi bólem, radością, przestrachem itd. Każdy, kto dłużej przystaje ze zwierzętami, uczy się rozumieć ich głos, wie, co różne jego dźwięki wyrażają.

Jeżeli zaś zwierzęta przemawiają to również rozumieją tak samo głosy swych towarzyszy, a zatem mogą się pomiędzy sobą porozumiewać. Ta zdolność nie uwszystkich gatunków zwierząt jest jednakowo rozwinięta. Najbogatszą "mowę" mają małpy i psy. Znanych jest wiele wypadków porozumiewania się tych zwierząt.

Ptaki też mają swój język. K. Bartes, przyrodnik opowiada, o ciekawym wypadku, świadczącym o porozumiewaniu się gołębi.

Pewnego razu zobaczył Bartes dwie gołębice spacerujące przed oknem. Chcąc zobaczyć, jakie na ptakach robi to wrażenie, przyrodnił w łudzący sposób zaczął naśladować wabienie gołębi. Ptaki zatszymały się i zaniepokojone, oglądały się na wszystkie strony, gdy zaś wabienie się powtórzyło, uciekły z przestrachem. W parę minpt potem nadleciał duży gołąb i odrazu począł silnie bić dziobem i pazurami w szybę, wydając przytem gwałtowne, urywane dźwięki. Wyglądał bardzo wojowniczo. W pierwszej chwili Bartes nie mógł zrozumieć, o co właśnie mu chodzi, potem przyszło mu na myśl, że gołąb szuka rywala i wyzywa go do walki. By sprawdzić swe przypuszczenie, zaczął gruchać namiętnie. Na ten dźwięk gołąb wpadł w szał, zdawało się, że rozbije szybę, w którą bił ze wszystkich sił. Jasnem było, że przyfrunął do walki ze współzawodnikiem, ale skąd o nim się dowiedział? Gołąb nie słyszał gruchania Bartesa, musiały więc mu powiedzieć owe gołębice i przestraszone, wezwać jego pomocy.

KATALOG KSIĄŻEK WŁASNEGO DRUKU i NAKŁADU.

Żądający książki z niniejszego katalogu raczą podać — NUMER KATALOGU **1.**

UWAGA: Kto chce odwrotną pocztą otrzymać wysyłkę książek, niechaj oprócz 10c. na zwykłą przesyłkę, dołączy jeszcze 10c. na nadzwyczajną przesyłkę (special delivery).

Kto chce, aby wprost w jego ręce oddano przesyłkę książek, niechaj oprócz 10c. na zwykłą przesyłkę, dołączy jeszcze 10c. na zaregistrowanie przesyłki książek.

TE KSIĄŻKI MOŻNA WYBIERAĆ NA PREMIĘ.

(Ciąg dalszy.)

Nemezis. Powieść. Cena . 15c

Niebo. Gra bardzo wesoła i zabawna dla kółek towarzyskich. Nowe poprawne wydanie 10

Niech żyje! Zbiór toastów i przemówień Zestawił J. Chociszewski 30ct.

Niedoświadczony duch. Napisał H. G. Wells. Tłómaczenie z angielskiego. Cena. . . . . 5c.

Nie opuszczaj kraju rodzinnego. Napisał Fr. Hoffman. Przełożył Bolesław Dunin - - - 15

Niepokalana Marya Panna, nasz ratunek, pomoc nieustanna, czyli opis pod powyższą nazwą znajdującego się w Rzymie obrazu po całym świecie rozsławionego łaskami, oraz wskazówka i sposób, jak mamy uwielbiać i zyskać pomoc Najśw. Maryi Panny. Żebrał z oryginałów włoskich K. S. U S. T. i O. P. D.....................15

Nieposłuszna, streścił A. Parysso 5c

Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie męża! Powiastka ludowa, napisał Julia-n Morosz. Cena . . . . . 5ct.

Niewierny Tomasz, jak przymierzył, to uwierzył. Pocieszna powiastka osnuta na prawdziwem zdarzeniu. Cena . . 5c.

Nieprzepłacony pierścień, czyli kto ma szczęście, ten prowadzi swą oblubienicę do domu. Dziwna powiastka o ubogim szewczyku i Zulimie córce sułtana tureckiego 15c

Nieszpory łacińskie. Zebrał ksiądz Siedlecki 10ct.

Niewiasta polska w początkach naszego stulecia (1800—1830 r.) przez K. Wł. Wójcickiego. Cena . $1.00

Noc 3go na 4go Grudnia. na zasadzie akt sądowych opisał Walery Przyborowski.................30c

Nowa Sybilla, zawierająca najważniejsze przepowiednie o przyszłości tyczące się Kościoła św. Polski i Słowiańszczyzny. 25ct.

Nowelki Amerykańskie. Tłómaczył z angielskiego C. W. Dyniewicz. Zawiera: Jego krewne. — Wszystko pokrętnie. — Dzieło pewnej ciemnej nocy. — O mały włos — a zginąłby. Opowiadanie amerykańskiego adwokata. — Nie hoduj niedźwiedzi. — Wet za wet. — Straszliwa przygoda. — Straszna odwaga. — Szczęśliwa omyłka. — Smutna sprawa. — Niebezpieczne zdrzemnięcie. Opowiadanie kolejowego telegrafisty. — Podstęp siostry. — U Łucyi. — M. T. 67. Przez H. E. Scott'a — Zapis Cioci Klary. Przez H. E. Scott'a. — Duńska legenda. — Pakiecik. — Martha Philips. — Stary młyn. Przez H. E. Scott'a Cena 30c

Nowenna i modlitwy do św. Antoniego Padewskiego, pomocna w każdem nieszczęściu 15ct.

Nowenny do najświętszej Panny (na cały rok) 10

Nowy Sowizdrzał i awantury jego. Z ziemi pomorskiej rodem. — Z ośmiu obrazkami 30c
W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem 60c

Nowy Zbiór powinszowań do użytku młodzieży, oraz wierszy okolicznościowych dla osób dorosłych, zebrał i napisał wierszem i prozą J. A. Zygmunt. Broszurowana 50ct.
W mocnej oprawie 75ct.

Obrazki Caryzmu, pamiętniki J. Gordona. Cena - - 50c.
Ta sama w mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem 75c

Obrazki i opowiadania obozowe. 1) Zgon Ukraińca, obrazek z wojny 1863 roku. 2) Ostatni powstaniec. Opowiadanie. 3) Modlitwa, przez Alfreda Barwińskiego....................30c

Obrona Częstochowy, historya osnowana na Jacku Brzuchańskim 10ct.

O Charakterze, napisał J. Sierpiński urzędnik sądowy dla Sióstr Nazaretanek w Chicago. Z książki tej mogą czerpać wiele potrzebnych rzeczy mowcy, nauczyciele i kaznodzieje.
W mocnej oprawie 75ct.
W słabej 50ct.

O Chmielu. Bardzo pożyteczny poradnik dla chcących hodować chmiel na sprzedaż do browarni lub własnego użytku. Cena . . . . 15c.

Oda do Młodości. Poemat Adama Mickiewicza, z wstępem przez dr. Annę Wyczółkowską. Cena 5c

Odgłos z Zamorza. Poezye polsko-amerykańskie. Napisał Paweł Gawrzyjelski 25ct.

Odzyskana Córka, powieść obyczajowa, Cena 30ct.

Ofiara Zmudzina, obrazek historyczny z powstania 1831 r. przez Chwalibora. Cena 30ct.

Oficyum Serafickie, ustanowione dla III Zakonu przez Ojca św. Leona XIII zawiera modlitwy, za których odmawianie dostępuje się zupełnego odpustu. 5ct.

Ogród Wiejski. Popularny przewodnik do zakładania i pielęgnowania ogrodów Cena - 50c

O Janie Królewiczu Zar-Ptaku i o Wilku Wiatrolocie, bardzo zajmująca powiastka. 5ct.

O Janie Twardowskim, wielkim czarowniku i jego sprawkach wraz z powieściami o czarach: Czarownica. O spaleniu 14 mniemanych czarownic w Doruchowie, Madejowe łoże, Chłop i dyabeł. Osieczna 30ct

O gospodarzu Mickuniu, jak on wygody kupował i na jajach siedział. Barkoni, Rdza na jabłoniach i gruszach, Użyteczność kaczek w ogrodach, Ochraniajcie pożyteczne ptaki i zwierzęta. Pocieszna powiastka. Cena 10ct.

Ogniem i Mieczem. Powieść historyczna przez Henryka Sienkiewicza; w komplecie dwóch książkach. Z pięknemi illustracyami. W słabej oprawie
Cena $1.75
Oprawne mocno ze złoconym tytulikiem w dwóch książkach Cena $2.50

Ojciec Gawęda, powiastka 5ct.

Ojciec Kapucyn czyli zwycięstwo wiary i miłości 30

Ojciec Nikon. Powieść Historyczna przez T. T. Jeża. Cena . . . . . . 50c.
W mocnej oprawie . . . . 75c.

Ojciec św. Ignacy 11 modlitw i litania do św. Ignacego, patrona błogosławionych matek przed i po rozwiązaniu. Modlitwy te są bardzo skuteczne. Cena 10ct.

Ojcze nasz, powieść napisana przez F. S. 15

O jenerale Józefie Bemie, napisał Piotr Zbrożek . . 20

O Kasi, ładnej dziewczynie.......10c

O księciu Dymitrze i o Hryciu Rusinie. Cena . . . . 15c.

O leczeniu chorób, Koni, bydła, świń, owiec i psów, przez J. Łepkowskiego, wykład popularny dla użytku gospodarzy. Cena . . . 50c

Ollendorffa teoretyczno - praktyczna METODA nauczenia się czytać pisać i mówić po angielsku w sześciu miesiącach, z oryginalnej edycyi przerobiona i do użytku Polaków zastósowana. Dwa tomy. I Tom Gramatyka II Tom Klucz. W mocnej oprawie Cena $2.00

1 O leniwym parobku legacie. 2 Nowe sukNie hrabiowskie 3 Rekrut 10c

Olitypa czyli Ptak Stepowy, opowiadanie z czasów wzajemnych walk pomiędzy Indyanami Ameryki Północnej napisał Fr. X. Tuczyński.......30c

O Miłości Ojczyzny. Rozprawa podług Karola Libelta. . . . . 20c.

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa (Tomasza a Kempis.) Ksiąg czworo. Tłómaczone z łacińskiego. W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem. Cena - 50c

Opactwo Carrow, przez J. F. Smith (z angielskiego) zawierająca blizko tysiąc stronic, w mocnej oprawie, ze złoconemi tytulikami, w dwóch tomach. Cena $1.50

Opieka nad dzieckiem przed urodzeniem i nad nowonarodzonem według wymagań przyrody, z rycinami. 20 c.

O Pietrku i Połonce Opowiadanie bardzo pouczające dla naszego ludu. Napisała Ludmiła Br. Nakęska. 10c.

Opowiadania i Anegdoty. Zbiór ciekawych utworów dla uprzyjemnienia czasu oraz zabawy 5ct.

Opowiadania, baśnie, bajki, przypowiastki itp. czerpane ze strych roczników pism warszawskich i krakowskich, ksiąg i zeszytów przez W. Dyniewicza, zawierają:

Przygody Walka na jarmarku, Takich wielu, Wieczory niedzielne, Wynalazki, Zaloty Wicka, Jak to ja, syn chłopa doszedłem do majątku, Dla chleba, Z krwawych dni, Zaklęte skrzypki, Mały dobosz, Strachy, Straszliwa noc, Co się stało, Obrazek z wojny Transwalskiej, Nie jednakie drogi, Dzielny Komorek, Grzybowa Góra, Napoleon w Berlinie, Psie Pole, Pobojowisko Maciejowskie, Toast, Polska flota Kłuszyn, Hołd pruski, Sprzymierzeńcy Boerów, Bohaterstwo i śmierć, Egzekucya i proces, Jan Kiliński, Hrabiątko, Tatarzy i ich napady na Polskę, Nasze wspomnienie dziejowe, Murawiew w kościele, W noc św. Wawrzyńca, Ze wspomnień historycznych, Stanisław Żołkiewski, Z pamiętnika starego huzara, Kapelusz panamski, Dziaduś, Modlitwa więźnia, Historya fortepianu, Na czem sypiamy i na czem spać powinniśmy, Droga do nieba, Zdjęcie ślubu, Jak krzyżacy nawracali pogan na ziemi pruskiej, Dzień zaduszny w podaniach ludowych, Odwrót z pod Waterloo, Zjedzony sztandar, W obliczu śmierci, Pożytek z zażywania tabaki, Słowo się rzekło, Kobyła u płotu, Kulig w Polsce, Legiony Polskie, Dzwony, Ucieczka Do tatusia, Czerwona róża, Słodka śmierć, Mogiła Maciejowicka, Wicek w niebie, Na Wawel, Święcone 1831 roku, Carski zbir, Płaszcz Judaszowy, Pod Lipskiem, Jakie ryby łowili Apostołowie, Po raz drugi do Wilna, W noc grobów, "Bar wzięty", Ksiądz Antoni Mackiewicz, Krwawy posiew, Przypowieść, Kiedy lipa kwitnie, Bajeczna warta, Dzielny chłop, Piękności przyrody, Kaśka, Kontusik królowej Jadwigi, pod Lelowem ścigany, Nad Wisłą, Tytoń i jego działanie, Marcin Lelewel Barelowski, Z podań szląskich, W jaki sposób Napoleon uciekł z Elby, Sienkiewicz o Kordeckim, Niedrukowany memoryał jenerała Henryka Dąbrowskiego o roku 1812, Pilność znaczy więcej niż talent, Bitwa na grobli, Przypowiastka o pijaku, Zbytnice pod biegunem i pod zwrotnikami, Wielki pogrzeb, Wspomnienie o Jankowskim, Mały bohater, "De Prus", — oprawne ozdobnie w kolorowe płótno ze srebrnymi tytulikami, $1.50.

Opowiadanie o urwisie Dyrdusiu przez J. K. Gregorowicza, z obrazkami 10ct

Opowiadanie podróżnego o strasznie dziwnem łożu, bardzo ciekawe opowiadanie......................10.c.

Opowiadanie starego dziadka przy kądzieli, Zebrał z różnych książek Wł. Dyniewicz. Zawiera: Żydek czarownik, Kaśka i dyabeł, Raraś i Szczotek, Dwóch czy czterech, Zdradziecki sługa, Mikołaj Potocki między zbójcami, Wąż, Córka cieśli (podania indyańskie), Cyganka, Tatarzy, Wyżynki nocne, O cudach natury (zorza północna), Skradziona koszula. Czartowa, Szewc Marcin braciszkiem klasztornym, Fantastyczne postacie ludowe (śmierć i bieda i nędza pańska), Nowy Rynaldo i Rynaldyni, Gastold, Pieczary w czarnej górze, Wierszcz wielki prorok, Dziwne przypadki. 40c
W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem - - - - -75c.

Opowiadanie Jmć pana Wita Narwoja, rotmistrza konnej gwardyi koronnej A. D. 1760—1767, spisał Wł. Łoziński, w mocnej oprawie, ze złoconym tytulikiem $1.25

Opowieści Stepowe. Przez Paulina Stachurskiego, zawiera: 1. Gulnara, 2 Na Stepie, 3. Atamańska mogiła, 4 Pokusa, 5. Podolanka, 6. Czartowgóra. Cena ....50c.

Orzeł biały. Wiersz odnoszący się do teraźniejszych czasów 10c.

Orznąłem Żyda, humoreska przez autora "Kłopotów starego Komendanta" 10c.

Osadnicy u źródeł rzeki Susquehannah —czyli pazury pantery i pożar leśny. Przełożył X. M. Cena - 15 c.

Orfeusz, czyli Zbiór najulubieńszych pieśni polskich z melodyami ułożonemi na cztery męzkie głosy przez Bogdana. Zawiera: 1) Bartłomiej Głowacki (Hej tam w karczmie), 2) Bolesław Chrobry (Ten co najlepszy) 3) Bracia nuż do Koła, 4) Bracia rocznica (29 listopada), 5) Car (Co to za gwar), 6) Chwalcie Boga, 7) Czarna sukienka (Schowaj matko suknie moje). 8) Czegoż bracia w kącie siedzieć. 9) Dalej chłopcy bierzmy kosy, 10) Duma o Żółkiewskim (Za szumnym Dniestrem), 11) Gdyby orłem być, 12) Gdy słoneczko nam zawita 13) Hej Mazury, hejże ha! 14) Jak się macie Bartłomieju, 15) Jak wspaniała nasza postać, 16) Jam Polak zrodzony z niedoli, 17) Jeszcze Polska nie zginęła, 18) Jeśli żyjesz pracowicie, 19) Kochajmy się (Pędzą jak na skrzydłach) 20) Leszek Biały (Od dworaków opuszczona), 21) Na dolinie zawierucha, 22) Nasz Chłopicki wojak, dzielny śmiały, 23) Nie boję się nikogo(Gdym powinność spełnił moję), 24) O Matko P., 25) Orzeł biały (Ciężko ranny,) 26) Patrz Kościuszko na nas z nieba, 27) Pędzą jak na skrzydłach, 28) Piękna nasza Polska cała, 29) Pięknie cudnie na Wołoszy, 30) Polatuj myśli, 31) Polak nie sługa, 32) Pomoc dajcie mi rodacy, 33) Przyjaźń o bracia, 34) Sto lat niewcil, 35) U nas inaczej, (Smutnoż tu smutno), 36) Ural krzyknijmy wraz (Toast), 37) Uralniech żyje(Toast), 38) Witaj majowa jutrzenko (Mazur 3 maja), 39) Władysław Jagiełło (W bluźnierskich błędach), 40) Wygnaniec (Z ojczyzny mojej wygnany), 41) Za szumnym Dniestrem, 42) Z dymem pożarów, 43) Żal za Ukrainą (Pięknie cudnie na Wołoszy), 44) Żebrak (Pomoc dajcie mi rodacy).
Cena 50c.

Osieł, wół i rolnik, czyli lekarstwo na upór ciekawości kobiecej. Bajka z tysiąc nocy i jednej.............5c.

Osiem nocy czyli opowiadania Szeherazady sułtanowi Szahryarowi następujących powieści: 1) Kupiec i geniusz, 2) Starzec i łania; 3) Starzec i dwa psy czarne. (Z tysiąc nocy i jednej) ....10c.

Ostatni z rodu, Szkic powieściowy osnuty na tle historycznem, skreślił W. Korn. Zieliński........... 50c.
W mocnej oprawie..................75c.

O zasłużonych krajowi Polakach. Błogosławiony Wincenty Kadłubek. Gedeon (Gedko), biskup Krakowski, Stanisław ze Szczepanowa, biskup Krakowski. Błogosławiony Andrzej Żurawek. Święty Wojciech, arcybiskup gnieźnieński. Jan Zamojski, hetman wielki Koronny. Wincenty ze Szamotuł, wojewoda poznański........15c.

Pamiątka misyjna. Modlitwy mis. - 10c.

Pamiętna noc Listopada, czyli dzieje wojny narodowej z r. 1830 i 31go, wnukom opowiedziane przez żołnierza czwartaka. Wydanie nowe. Stosowne jako referat na obchody domów i deklamacyi. . . . . 30c.

Pamiętniki Makryny Mieczysławskiej ksieni Bazylianek w Mińsku . 15

Pan Bóg swoich nie opuści. Bardzo ciekawa powiastka moralna o tem, jak każdy człowiek Bogu ufać powinien, aby wszystkie smutki jego w radość się obróciły. - - - - 15c.

Pani Podkanclerzyna. Opowiadanie historyczne z czasów Jana Kazimierza, przez Michała Jezierskiego. Cena 30 c.

Pan Maciej Trąba. Powiastka, napisała Bronisława Porawska. - - - - 15c.

Pan Twardowski — sławny mistrz czarnoksięski. — Ciekawe opowiadanie podług podań piśmiennych i legend ludowych zebrane z obrazkami - - - - - - - 30c.

Piękne Przykłady z Historyi Polskiej. Zbiór wzorów dzielności, pracy, nauki i poświęcenia dla kraju, jakiemi się nasi przodkowie odznaczyli. Dla pouczenia i rozrywki ludu polskiego i młodzieży. Wydał Wł. Dyniewicz. Zawiera: Dąbrówka i Wszebór. Opowiadanie z czasów Mieczysława I. — Przyjazd Dąbrówki do Polski. Wiersz Sew. Duchińskiej. — Rycerz Halka zwycięża trzech bluźnierców Imienia Bożego. — Dobroć polskiej królowej. — Cztery piękne przykłady waleczności naszych przodków. — Grosz wdowy legenda z czasów Bolesława Wielkiego przez J. N. Jaśkowskiego. — Żołnierz polski ocala życie Kazimierzowi Odnowicielowi. — Który z królów polskich daje piękny wzór miłości dla rodziców? — Nieznany bohater z czasów Bolesława Krzywoustego. — Bolesław Krzywousty zdobywa Białogród. Piękny czyn w Gąsawie 1227 r. — Słówko o św. Jadwidze. — Ksiądz Adam. Legenda z r. 1246. — Konik Zwierzyniecki w Krakowie. — Poświęcenie za kraj ruskiej księżniczki. — Wzór wytrwałości. — Pająk i Mrówka. Opowiadanie z czasów Władysława Łokietka. — Król polski trzyma chłopu dziecko do chrztu. — Pielgrzymka do Sandomierza. — Kontusik królowej Jadwigi. — Wzór dobroczynności i prostoty. — Szlachetna zemsta. — Poszanowanie słuszności. Wiersz Emilii Lei. — Z szewca ksiądz świętobliwy — Dwaj miłośnicy prawdy. — Dzbanek rozbity. Legenda z życia ś. Jana Kantego przez Sewerynę Duchińską. — Wzór wstrzemięźliwości. — Nie wydał tajemnicy, choć go ogniem pieczono. — Ślązak Pretwicz broni Polski za panowania królów polskich Zygmunta I i Zygmunta II. — Pamięci Bernarda Pretwicza. Wiersz. — Książęta Roman i Eustachy Sanguszko. — Syn kmiecia profesorem w akademii krakowskiej. — Wspomnienie o kilku świętobliwych Polkach. — Odważna Polka. Zdarzenie z czasów króla Stefana Batorego. — Dziewczę polskie. Ballada L. Jabłonowskiego. — Marcin Wadowita, jako wzór i zachęta dla młodzieży, aby się pilnie uczyć i pracować. — Piękny wzór miłości dla rodziców. — Wielki dobroczyńca narodu polskiego. — Dzielne czyny młynarza Michałka na Pomorzu. — Piękne zdania Polaków i Polek. — Nadziei nigdy tracić nie trzeba. — Dzielność Stefana Czarnieckiego. — Krzysztof Zgłobicki pod Stawiszczami. — Trzeci szturm do Stawiszcz. Wiersz B. Zaleskiego — Co było przyczyną, że ubogi uczeń Felicyan został obrany biskupem krakowskim — Wzór kapłana. — Kościuszko jako wzór pracy i oszczędności. — Piękny czyn kominiarza.— Mały Tomek z Jabłonny. Prawdziwe zdarzenie z życia księcia Poniatowskiego. — Cnotliwa żona. — Filomaci, Filareci i Promieniści w Wilnie. — Poczet królów polskich do nauczenia się na pamięć. — Słówko do polskich dzieci i młodzieży.
Cena - - - - 50c.

Perła Genui, czyli dziecinna miłość, wierność i nagroda. Cena 40c.
W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem - - - - 65c.

Perły Poezyi Polskich, zbiór najpiękniejszych poezyi na obchody narodowe, wieczorki i uroczystości familijne. - - - - 75c.

Pan Zagłoba Pedagogiem. Henryk Zys. . . . . 10c.

Pięć pieśni: o Panu Jezusie, dwie o Najśw. M. Pannie, o św Barbarze i o sądzie ostatecznym. - - 15c.

Pięć P. Minus jedno R. (5 p. — 1 r.) wielka ramota ze wspomnień ojczystych, spisana przez Jul. Horaina 40c.

Powieści wschodnie czyli Przygody Balwierza i jego sześciu braci. Opowiadania Szeherazady. (Z tysiąc nocy i jednej).........................10c.

Powieści Moralne, przez X. Franciszka Soave ku zabawie i nauce wiernych. Przełożył z włoskiego X. B. Rzewuski. Piękna ta książka dla młodzieży zawiera 36 powiastek a mianowicie: 1 Krótka wiadomość o Księdzu Fr. Soave; 2 Wdowa chora; 3 Klejnoty skradzione; 4 Małżeństwo; 5 Obraz; 6 Etelredus; 7 Strachy nocne; 8 Ryszard Makwill; 9 Marszałek Turrenniusz; 10 Niewolnik wykupiony; 11 Miłość monarchy i miejsca rodzinnego; 12 Baltazar z Limy; 13 Teresa Balducci; 14 Fryderyk Lanukeynes; 15 Pippus i Menikukcynes; 16 Brat szlachetny; 17 Szczęśliwość; 18 Bankructwo; 19 Sydney i Patty; 20 Sydnej i Warner; 21 Niewdzięczność; 22 Wilhelm Penn; 23 Antoni Leonelli; 24 Dwaj bracia; 25 Poczciwość nagrodzona; 26 Ugger Duńczyk; 27 Alimek albo szczęśliwość; 28 Ibrachim; 29 Powieść chińska Tiohang; 30 Krzywda nagrodzona; 31 Hrabia d'Orengo czyli wychowanie; 32 Oblubienica pełna miłości; 33 Chciwość; 34 Dobroczynność dowcipna; 35 Pożar; 36 Szczęśliwe na morzu rozbicie.
W słabej oprawie Cena 50 ct.
Oprawne mocno, ze złoconym tytulikiem Cena 75ct.

Powieść O Końcu Życia Piłata Pontskiego. Przełożona z niemieckiego na język polski przez ks. M. Osmańskego . . . . 10c.

Powieści Serbskie. 1) Car Łazarz. 2) Milewna. 3) Angora. 30c

Powinszowania dla rodziców i innych drogich osób...................20c.

Powstanie Listopadowe. 1830—1831. Obejmuje krótki przebieg historyi porozbiorowej polskiej od roku 1815—1831 czyli historyą Królestwa Polskiego. "Przewiduję, że imię polskie pójdzie w poniewierkę. A Moskwa za podbitych uważać nas będzie. Tadeusz Kościuszko." Streścił Kazimierz Mu.ykowski. Cena - - - - - - - - 25c

Powrót z wołaczki, powiastka z czasów powstania Tadeusza Kościuszki 15ct.

Pożarna morzu i Złapał się. Dwie powiastki.......................10c.

Pożyteczny Poradnik Kneipp'owski, w różnych wypadkach. Wyciąg z różnych dzieł Kneipp'a, sławnego ze swych prac dla ludzkości w leczeniu chorób wodą. Cena . . . . 10c.

Prawdziwe zdarzenie. Opowiadanie przez Wandę Cena 10ct.

Praktyczne rady dla naszych gospodyń, 20c.

Prawa i Reguły dla pragnących zostać Obywatelami Stanów Zjednoczonych. Warunki, pod którymi każdy przybysz może zostać obywatelem tutejszego kraju, uchwalone przez 59-ty Kongres, 29-go Czerwca, 1906. roku. Cena 10c.

Prawdziwa Historya o pijaku Urbanie. Ciekawa powiastka napisana przez Janka z Bielca, ozdobiona 16 obrazkami rysowymi przez Fr. Kostrzewskiego - - 10c.

Prawdziwy Persko-Egipski Sennik — Najpewniejszy sposób wygrania na loteryi według kombinacyi słynnych magików i profesorów matematyki Orlice itp. — tudzież wyjawienie tajemnic i sposób jakich używano w starożytności do przepowiadania i wróżenia przyszłości. — Z blisko 200 obrazkami. Dosłowny przedruk z Sennika drukowanego w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie 20ct.

Proroctwo Michaldy, królowej ze Saby, 18 Sybilli, Księdza Marka Wernyhory i innych. Od roku 578 przed Narodzeniem Chrystusa aż do późnych wieków 15

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD MORZEM.

I.

— Mamusiu, kiedy wrócimy do Polski?

— Gdy będziesz zdrów, mój synu.

— A kiedy ja będę zdrów?

— Jak będziesz grzeczny i nie będziesz rzucał ciężkimi kamieniami, to — mówił doktór, że za parę miesięcy.

— A za ile miesięcy?

— Za dwa, może za trzy...

— Za dwa, mamusiu, czy za trzy?

— Może i za dwa...

— A napewno za dwa?

— Napewno syneczku, napewno...

— A co będzie wtedy w Polsce?

— Wiosna już będzie — a może jeszcze i zima.

— I śnieg, mamusiu, i śnieg?

— A jaki on będzie?

— Taki biały, jak ten tam na górach...

— I miękki, mameczko i miękki?

— I miękki, synusiu...

— I zimny — i bardzo zimny?

— Śnieg zawsze zimny...

— I ja go będę mógł brać w ręce — będę mógł w rączki brać śnieg?

— Będziesz mógł synu... Będziesz...

— Jak to dobrze, mamusiu — jak to dobrze... I te białe kwiaty będą, co rosną ze śniegu?

— Będą kwiaty, kwiaty śniegowe — będą...

— A jakie tam jeszcze kwiatki, czy takie jak tu?

— W ogrodach takie jak tu — a na polach to jeszcze inne.

— Mamusiu?

— Co syneczku?

— Ty mi mówiłaś wtenczas o iwach — a jakie to iwy, mamusiu? Jakie?

— Takie złote bazie mają, mój synku.

— I pszczoły na nich brzęczą? Ty mi mówiłaś o pszczołach?...

— I pszczoły brzęczą, syneczku.

— I jaskry będą w Polsce — i jaskry?

— I jaskry.

— A jakie? jakie? Takie złote? bardzo złote?

— Tak, złote...

— I dzwonki będą?

— I dzwonki, synku!...

— A jakie dzwonki? jakie? Niebieskie?

— Tak! Niebieskie, liliowe.

— Jak co, mamusiu? Jak co? Jak bratki? Jak niezapominajki?

— Jak irysy, dziecko, jak te irysy sine...

— Ale ładniejsze od irysów? Prawda, mamusiu? Ładniejsze?

— Może nie ładniejsze — ale inne.

— A jakie inne, mameczko? jakie?

— Drobniejsze mają kielichy i więcej ich na łodydze.

— O! To ładniejsze, mamusiu, z pewnością ładniejsze!...

II.

— Synusiu, synusiu! Czy masz ty litość nad sobą i nademną? Znów zmęczyłeś się wczoraj — znowu rzucałeś kamieniami do morza! A teraz gorzej ci i musisz leżeć w łóżeczku.

— Ja nie mogę, mateczko, nie mogę... Ja muszę rzucać kamieniami na morze — ja muszę bić morze biczyskiem...

— Dlaczego? Dlaczego?

— Bo ja nie cierpię morza — nienawidzę...

— Dziecko! Dziecko! Dlaczego? Tyle dzieci chodzi po morzu, pluszcze się w niem — zanurza, kocha je — dlaczego i ty byś go nie miał polubić?

Siatka żyłek niebieskich wystąpiła na białe, delikatne czółko chłopca — a czarne, ogromne źrenice rozszerza jeszcze więcej dziwnie zawzięty błysk...

— Bo doktór wciąż tu i wciąż każe nam siedzieć nad tem morzem, w tej Mentonie — a tu — ani dzieci nie mówią po polsku — ani nikt, nikt, tylko ty i ja — i ta pani w czarnym welonie.

— Synku drogi! Synku mój złoty!...

— A ty mi wtenczas mówiłaś, że u nas wszystkie dzieci rozmawiają z sobą po polsku i że ja będę mógł mówić z niemi, jak będziemy w Polsce.

— Wprzód musisz być zdrów, dziecino, a żeby być zdrowym, nie powinieneś męczyć się — nie powinieneś rzucać ciężkimi kamieniami...

— A jak nie będę rzucał, to pojedziemy?

— Pojedziemy dziecino, pojedziemy.

— A kiedy, za tydzień?

— Za miesiąc... może za półtora...

— A ty mówiłaś wtenczas, że za dwa miesiące, a to już teraz za tydzień.

— Tak, mówiłam — ale teraz pogorszyło ci się trochę — i doktór nie pozwolił nam wracać, aż będzie całkiem ciepło u nas.

— Mamusiu!...

— Co, synku?

— To za miesiąc wrócimy, czy za półtora?

— Może już i za miesiąc...

— Napewno za miesiąc?

— Napewno synusiu, napewno.

— A jak będzie wtenczas w Polsce? Jak?

— Powinno już ciepło być, tak, jak u nas jest dzisiaj.

— A kwiaty jakie będą, jakie kwiaty?

— Bez, synu, taki sam liliowy bez pachnący, jak tutejszy... I jaśmin biały i grusze i śliwy i wiśnie i jabłonie różowe, jak te oto przed naszemi oknami.

— A ty mi "wtenczas" mówiłaś o chabrach...

— I chabry będą i chabry...

— A dużo będzie chabrów?

— O dużo, bardzo dużo...

— Więcej niż tutaj w ogrodzie?

— Więcej, daleko więcej!...

— I w zbożu będą? W zbożu?

— Tak! W zbożu...

— A zboże będzie szumiało?

— Będzie... Będzie...

— Czy tak będzie szumieć, jak morze tu szumi?

— Nie, nie! Inaczej szumieć będzie — łagodniej — ciszej...

— To dobrze, mamusiu — to bardzo dobrze!...

— Mamusieńko!

— Co, dziecinko?

— A kąkol, kąkol też będzie?

— Będzie, życie ty moje, będzie.

— A jaki? różowy?

— Różowy... różowy...

— Taki, jak co? jak róże?

— Taki jak róże...

— O! On ładniejszy będzie z pewnością ładniejszy — prawda, mamusiu, że ładniejszy, niż róże...

— — — — — — — — — — — —

A młodej matce fala łez napływa nagle na oczy niebieskie — łkanie wzbiera się w jej piersi, jak morze orkanem kłębione. A im więcej kurcz dławi jej słowa, tem silniej ciśnie synka do piersi.

Z całych sił go tuli, z całej duszy, jakby własnem, bujnem życiem osłonić go chciała przed jakiemś strasznem widmem, czającem się gdzieś w pobliżu, jak gdyby w wątłą pierś jego chorą pragnęła przelać swoje zdrowie, by, choćby kosztem własnego tchu, własnego życia, ożywić resztę sił, tlących w umiłowanej nad wszystko dziecinie...

— — — — — — — — — — — —

III.

— Mameczko?!

— Co synku?

— Czy nasza Polska jest wielka?

— Wielka synu, wielka...

— A jak? Jak wielka?

— Od gór Tatrzańskich...

— Aha! Od tych, coś pokazywała mi "wtenczas" na mapie...

— Tak! Od tych gór... aż... do...

— Aż dokąd, mamusiu? Aż dokąd?

— Od Tatr... do... do... Bałtyckiego morza...

— — — — — — — — — — — —

A chłopczyna aż się cienkiemi rączkami na pościeli uniósł — a ciemne, ogromne jego oczy rozszerzają się najwyższym zdziwieniem:

— W Polsce jest morze?

— Jest, synku, jest...

— To jedźmy do niego, mamusiu, zaraz, zaraz jedźmy.

— Teraz jeszcze nie można dziecinko, bo tam nie tak ciepło, jak tu, tam teraz wichry, zimno...

— A kiedy pojedziemy, kiedy?

— Jak będziesz zdrów, kochanie, jak będziesz zdrów!...

— O, ja teraz prędko wyzdrowieję, bo nie będę już rzucał kamieniami na morze i nie będę bił morza biczykiem, bo ja kocham morze, ja bardzo morze kocham!

— — — — — — — — — — — —

IV.

— Otwórz okienko mamusiu! Tamto jeszcze! Tamto od morza...

Wpłynęła do pokoju fala dusznego, wilgotnego powietrza przesyconego solą — po izbie rozchodzi się — łóżeczko chłopczyka owiewa.

Może to ona drobnemi kropelkami potu perli się na wyschłych rączynach dziecka, odcinając się żółtawą bladością od niebieskiej kołderki — może to ona perli się na wychudłej twarzyczce, świecącej ogromnie, błyszczącemi jak węgle, czarnemi oczami?

— Mamusieńko!... — szepcą spieczone gorączką usteczka — mamusieńko!...

— Co, życie moje? Co?

— Jedźmy już — zaraz jedźmy — dzisiaj... teraz!...

— Za parę dni, kochanie, za parę dni, aż trochę się wzmocnisz, — aż przejdzie gorączka.

— A za ile dni?

— Za dwa, może za trzy.

— A za ile, za dwa, czy za trzy?

— Za dwa, kochanie, za dwa...

— Z pewnością?

— Z pewnością...

— A co tam będzie za dwa dni?

— Będzie już zboże dojrzewało i skowronki będą śpiewały — i łąki będą kosili — i będzie pachniało kwiatami i sianem.

— A jakie kwiaty będą na łąkach? Jakie?

— Kaczeńce żółte i różowe firletki i dzwonki i żabie ziele liliowe i inne zioła.

— Matka Boska będzie chodziła po ziołach?

— Matka Boska w niebie, syneczku...

— A ty mi mówiłaś, że Ona w Polsce chodzi po ziołach?

— — — — — — — — — — — —

— Nie mów już, nie mów, życie ty moje, bo się tak zmęczyłeś.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

V.

Przez okna rozwarte napływa z ogrodu duszący oddech myrtów, laurów, rozmarynów—leje się ciężka, słodka woń liliowych akacyi, helyotropów, złotych mimoż, różowych maknolii.

Zmięszane z dusznym słonym oparem morza — cicho, sennie w skwarze południa, opływają chmury tych woni łóżeczko chłopczyka — kroplami potu perlą mu się na rączkach przeźroczystych, opuszczonych bezwładnie na niebieskiej kołderce, na bladem czołku, na skroniach pożółkłych, na nosku cienkim, na twarzyczce wpadniętej, płonącej purpurowymi wypiekami.

A z twarzyczki tej zaróżowionej ostatnim odblaskiem życia, niby płatek białej lilii, opadający w przedzachodnim błysku słonecznym — z twarzyczki tej do niebieskich oczu matki uśmiechają się ogromne, ciemne, prześliczne oczy, rozszerzone gorączką, oderwane już od rzeczywistego świata, wpatrzone jakby w wizyę jakąś za ziemską...

— Mamusiu... szepcą bielejące już liliami usteczka mamusiu... — oczom matki wskazują aleję cyprysów na pół już zagasłe źrenice dzieciny — mamusieńko złota! Ona! Ona! Matka Boska z Polski idzie po ziołach, tak, jak ty mówiłaś! — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Cyprysami alei chwiał lekki powiew północno-wschodni, co niewiadomo którędy przekradł się tutaj przez góry.....

Jan Andruszewski.

ROZMAITOSCI.

Muzeum mowy ludzkiej.

W operze paryskiej przechowywane są walce fonograficzne, zawierające arye, śpiewane przez współczesnych pierwszorzędnych śpiewaków. Dzienniki paryskie donoszą, ze związku z tym "muzeum śpiewu" powstał projekt, z którym niedawno wystąpił profesor liceum w Paryżu p. Ponge. Ponge podał myśl, ażeby w ten sam sposób zachować dla potomności zamierające dyalekty, pieśni ludowe, oraz sposób wymawiania we wszystkich językach. Prasa paryska przyjęła projekt p. Ponge'a bardzo przychylnie, przypisując mu wielkie znaczenie naukowe, wiadomo bowiem, że po upływie dłuższego czasu, często już po stu latach nie wiadomo, jak niektóre wyrazy wymawiano w czasach dawniejszych.

Dalszy punkt projektu p. Ponge'a obejmuje zamiar uchwycenia za pomocą czułych instrumentów, sposobu, w jaki nasze organy mowy wydają pewne dźwięki.

Przejęcie depesz telegrafu bez drutu.

Pisma angielskie zamieszczają opis wypadku na morzu, spowodowanego nieuczciwą konkurencyą, który mógł pociągnąć za sobą fatalne następstwa.

Wskutek uszkodzenia maszyn parowiec amerykański "Western States" znalazł się na Atlantyku w sytuacyi bardzo niebezpiecznej, wskutek czego, wysłał szereg depesz za pomocą telegrafu bez drutu, wzywających pomocy. Depesze pozostały przez dłuższy czas bez odpowiedzi. Jak się okazało później, przyczyną tego opóźnienia, które mogło spowodować katastrofę okrętu, była ta okoliczność, że depesze przejmował telegrafista okrętu konkurującego.

Epilog tej sprawy rozegra się przed sądem w Buffalo.

"Król świ tła."

Potaud, sekretarz syndykatu robotników w zakładach oświetlenia Paryża, znany z tego, iż podczas pobytu jednego z monarchów w Operze paryskiej, zgasił elektryczność, za co przezwano go "królem światła", oraz ze swych występów agitacyjnych na scenach teatrów prowincyonalnych, uciekł, jak wiadomo, do Belgii wraz z rodziną, dlatego, iż został oskarżony o kierownictwo wielu aktami "sabotage'u" podczas strajku kolejowego. Obecnie popularność "króla światła" wzrośnie zapewne jeszcze. Tym razem jednak przyczyną tego jest nie nowy 'występ' reklamiarsko-błazeński agitatora "sobatage'u", lecz naprawdę bolesny wypadek, jaki wydarzył się jego rodzinie. Pataud'owi zmarła córeczka i ojciec wyraził życzenie pochowania jej na ziemi ojczystej, w tym celu zwrócił się do Brianda z prośbą o wydanie mu listu żelaznego.

Briand listu nie wydał, gdyż jest to sprzeczne z ustawami francuskiemi, ale zgodnie z prawem, zważywszy okoliczności, zawiesił na trzy dni moc rozkazu sądowego o aresztowaniu Patauda, dając mu tym sposobem możność pochowania zmarłego dziecka na ziemi ojczystej.

Ciekawe zastosowanie awiatyki.

Jak wiadomo, Amerykanie odznaczają się pomysłami nadzwyczajnymi. Obecnie znowu jeden z obywateli Stanów Zjednoczonych złożył dowody bujnej fantazyi. Obywatelem tym jest dosyć znany lotnik, John Beteman, który postanowił "poświęcić siebie i swój aeroplan", oczywiście za sowite wynagrodzenie, sprawie ratowania z niewoli zdetronizowanych monarchów.

Beteman ofiarował już swoje usługi zwolennikom zdetronizowanego sułtana tureckiego, Abdul-Hamida, proponując wywieźć go na aeroplanie z willi, która służy mu za więzienie. Układy rozbiły się podobno z tego powodu, że Beteman zażądał zbyt wysokiej zapłaty, której połowę, jak twierdził, musi poświęcić na przekupienie służby strzegącej sułtana, bez czego ucieczka nie może się udać. Pomysłowemu Amerykaninowi odpowiedziano na to, że gdyby zwolennicy sułtana mieli dostateczną ilość pieniędzy na przekupienie służby, to nie potrzebowaliby jego usług. Na co Amerykanin zauważył nie bez słuszności, że wyjście z willi nie dowodzi jeszcze, iż ucieczka się udała. Najważniejsza rzecz do zrobienia jeszcze pozostanie, to jest wydostanie się za granicę Turcyi, co można uskutecznić tylko na aeroplanie.

Bądź co bądź, układy zostały zerwane i Bateman nie mógł wykonać swego zamiaru.

Wybuch rewolucyi w Portugalii obudził znowu czujność Amerykanina; miał on nadzieję, że republikanie uwiężą króla i tym razem pomysł jego zostanie wykonany. Niestety oczekiwania nie ziściły się, ale uparty Amerykanin nie traci jednak nadziei i oczekuje na nową rewolucyę.

Elektryczne światło bez drutu.

Mikołaj Tesla, który od dwudziestu lat pracuje nad światłem elektrycznem bez drutu, obecnie, jak donosi nowojorski "World", rozwiązał ten problem i swój wynalazek wykończył. "Moim przewodnikiem światła — wyraził się Tesla — mogę oświecić całe Stany Zjednoczone. Prąd światła rozlewa się w powietrzu na wszystkie strony, działając jak silna zorza północna. Jest to światło łagodne, ale dość silne, aby można rozróżnić przedmioty."

Tesla zamierza oświetlić najpierw port nowojorski w obrębie stu mil angielskich. Jedna stacya centralna wystarczy, aby otrzymać najtańsze, najpewniejsze, a zarazem najlepsze światło. Tesli lampy do światła elektrycznego bez drutu nie potrzebują wymiany, gdyż nic się w nich nie spala. Są to zwyczajne kule ze szkła, hermetycznie zamknięte i zapieczętowane, które zawierają rozcieńczony gaz.

Caruso w Berlinie.

Obecne występy Carusa w operze berlińskiej cieszą się niezwykłem powodzeniem, do którego przyczynił się cesarz Wilhelm przez zaproszenie śpiewaka włoskiego do Poczdamu, gdzie Caruso po odśpiewaniu kilku aryi, otrzymał dawno pożądany tytuł "Oberhofsaengera". Oczywista, że potem każdy szanujący się Niemiec, chociażby nie miał pojęcia o muzyce, musi zobaczyć na scenie nowego "Oberhofsaengera". Skutek jest taki, że kasa opery, otwiera się tylko na kilka minut zrana, w ciągu których przekupnie wykupuje hurtem wszystkie bilety i dopiero od siebie rozprzedają je, ale nie publiczności lecz różnym sklepom po cenie zdwojonej. Oczywiście publiczność musi płacić ceny jeszcze wyższe. W jakich "kantorach" można nabyć bilety operowe, świadczy ten fakt, że pewien Francuz, który również chciał usłyszeć Carusa w Berlinie, kupił sobie bilet w sklepie u rzeźnika.



Najnowsza podobizna dra Cooka, który... nie jest pewnym czy odkrył biegun północny.

O MURZE CHIŃSKIM.

Pomysł wielkiego muru chińskiego należy się cesarzowi Czin-Si-Hoangti |225—206 przed Chrystusem||. Był to mąż czynny, pełen energii. Pokonawszy północne plemiona barbarzyńskie, chciał się zabezpieczyć murem od napadów mongolskich i mandżurskich hord rozbójniczych. Olbrzymią tę budowę wykonały plemiona te same, które napadały na Chiny. Cesarz, pokonawszy ich, wzamian za kontrybucyę wojenną, opłacaną złotem, żądał tylko, żeby chanowie mongolscy i mandżurscy dostarczyli mu robotników. Przez kilkadziesiąt lat 50 tysięcy ludzi bez przerwy mur budowało, praca postępowała szybko. Tym murem Czin-Si-Hoangti wystawił sobie większy pomnik, niż którykolwiek większy władca na świecie. Dotąd krążą pomiędzy Chińczykami różne podania, dotyczące muru chińskiego, z których dwa przytaczamy poniżej:

Powiadają, że przepowiadano cesarzowi, iż jeśli w fundamenty każe wmurować żywcem milion ludzi, to mur trwać będzie przez milion lat, a dusze zamurowanych ludzi będą broniły Chin od napaści barbarzyńców. Cesarzowi podobała się przepowiednia, ale nie chciał osłabić swego państwa ubytkiem miliona ludzi, dlatego, jak zwykle chińczycy, użył podstępu: Kazał wyszukać człowieka noszącego nazwisko 'Milion dusz' i mniemał, że gdy każe wmurować w fundamenty człowieka, noszącego takie miano, uczyni zadość warunkom przepowiedni, a bożkowie będą musieli dotrzymać danego przyrzeczenia i opiekować się murem przez lat milion.

Poszukiwania uwieńczone zostały wkrótce pomyślnym skutkiem. Stawiono przez cesarzem człowieka, nazwiskiem Wancej Lian, to znaczy Milion dusz. Człowiek ten przed niedawnym czasem zaręczył się z młodą ładną dziewczyną Mincannui i błagał cesarza na kolanach, żeby nie zabierał go narzeczonej, ale cesarz był głuchy na wszystkie jego prośby i kazał go zamurować.

Budowa muru szybko postępowała, cesarz cieszył się z rozpoczętego dzieła; tymczasem młoda Min napróżno wyczekiwała narzeczonego; ale nikt nie mógł powiedzieć, jaki los go spotkał, postanowiła zatem sama go wyszukać. Przez długi czas błąkała się po Chinach; przybyła wreszcie na brzeg morza, gdzie dziś wznosi się miasto Szan-haj-kwan.

Olśniła tu wszystkich swą pięknością; sam cesarz należał do jej wielbicieli. Napróżno ubiegano się o jej względy, na wszystkich zaloty ustawicznie odpowiadała:

— Proszę powiedzieć mi, gdzie jest mój drogi Wan?

Błagała wszystkich dopóty, aż wreszcie dowiedziała się, co się stało z jej ulubieńcem; wówczas cesarz poprosił o jej rękę. Biedna dziewczyna długo płakała, rozpaczała na miejscu, gdzie zamurowano jej narzeczonego, wreszcie płakać przestała i przyrzekła poślubić cesarza pod warunkiem, żeby stawił piękny pomnik na mogile ulubieńca i kazał zbudować wielki most murowany na cieśninie tam, gdzie mur chiński bierze początek. Cesarz przyjął podane warunki, a po upływie trzech lat obie budowle były gotowe. Na kilka dni przed weselem, Min prosiła, żeby jej most pokazano, a gdy stanęła na jego środku przy boku swego dostojnego, nowego ulubieńca, rzuciła się w tonie morskie wołając:

— Przybywam do ciebie ukochany i utonęła.

Dziś jeszcze stoi na wyspie wspaniała świątynia, jaką wówczas zbudowano na mogile Wan, oddalonej od lądu na kilka metrów mniej więcej na 20. Nosi ona nazwę wiernej narzeczonej, Mincan-nui. Początkowo stała ona na lądzie, ale fale morskie w przeciągu lat tysięcy oderwały grunt, na którym stoi, od lądu, i zamieniły go na wyspę.

Podczas zajęcia Szan-haj-kwanu przez wojska europejskie w r. 1901 oficerowie europejscy czynili częste wycieczki na tę wyspę, gdzie im kapłani budyjscy opowiedzieli podanie o początku świątyni.

Drugie podanie dotyczy chwili zakończenia muru. Gdy budowa muru zbliżała się do kresu, ten sam cesarz Czin-Si-Hoangti, obawiając się, żeby przed ukończeniem muru nie nastąpił zgon jego, przywołał wszystkich uczonych i lekarzy chińskich, rozkazując im pod karą śmierci wynaleźć środek, któryby przedłużył mu życie. Uczeni i lekarze zastanawiali się długo, ale nie mogli wynaleźć odpowiedniego lekarstwa, gdy w tem jakiś mądry starzec poradził im. co następuje: Zgromadźcie z całego państwa 3,000 młodzieńców i tyleż dziewic, w wieku od lat 16 do 17; ugotujcie ich żywcem w kilku ogromnych kotłach, a otrzymawszy wywar, odparowujcie dopóty, aż pozostanie na dnie tyle, ile potrzeba na wielką pigułkę. Tę pigułkę, jako ekstrakt z 6,000 młodych ciał dajcie cesarzowi, a gdy ją zażyje, będzie żył jeszcze 6 tysięcy lat.

Minęło wiele czasu, zanim wyszukano 6.000 młodych ludzi, wreszcie uzupełniono ich liczbę, gotowanie miało się rozpocząć. Wszakże ulubiony minister cesarza rzekomo przekonał się w ostatniej chwili, że wszyscy młodzieńcy i dziewice wyglądali bardzo mizernie, byli bladzi jak chusta, i dlatego, według jego zdania, nie posiadali dostatecznej siły żywotnej pigułka, wywarzona z ich ciał, mogła być nieskuteczną, radził więc żeby przez pewien czas dobrze ich odżywiano, a gdy wygląd ich się poprawi, miano przystąpić do ich ugotowania. Cesarz długo przyglądał się stawionym przed sobą, drżącym, bladym młodzieńcom i dziewczynom, i zgodził się czekać na nich rok cały. Kazał ministrowi zawieźć wszystkie te ofiary na odległą wyspę, słynną z pięknego klimatu, i tam dobrze ich odżywiać, a po upływie roku znów ich stawić w Pekinie. Stało się według rozkazu. Lecz gdy upłynął rok, cesarz napróżno czekał na swego ministra i 6 000 wybranych ofiar. Zniecierpliwiony wysyłał jednego posłańca po drugim, ale i ci nie wracali Drugi rok przeminął, a cesarz znów wysłał posłańców z surowym rozkazem, ażeby przywieźli wszystkich żywych lub umarłych. Ale i ci posłańcy nie powrócili. Wówczas dopiero przekonał się cesarz, że go oszukano, i tak się rozgniewał, że zachorował na apoplekcyę, wskutek której zakończył życie.

CIERPLIWOŚĆ.

Przezwyciężanie zmęczenia i senności da nam nieraz sposobność do ćwiczenia w sobie panowania nad potrzebami ciała.

Przez zwalczanie w sobie drobnych zachcianek, przez wytrwałość na głód, pragnienie i zmęczenie rozwija się w nas pewna siła potężna — większa od siły pary i elektryczności. Nazywa się ona cierpliwością.

Nagłym wysiłkiem woli udaje się nieraz dokonać czegoś ważnego. Ale zdobycze cywilizacyi, dzieła pomnikowe budownictwa, odkrycia naukowe—zawdzięczamy cudom cierpliwości ludzkiej.

Między pojedyńczym wysiłkiem woli, a cierpliwością zachodzi taka różnica, jak między nauczeniem się pośpiesznem przedmiotu na egzamin |kiedy zaraz po zdaniu zapomina się połowy|, a pracą systematyczną przez cały rok, bo wtedy umiemy przedmiot na całe życie.

Gdyby artysta, budowniczy, uczony, nie mieli cierpliwości, to widzielibyśmy wszędzie kościoły, pałace i domy niedokończone, obrazy rozpoczęte, dzieła, którym brakowałoby końca.

Kiedy Kolumb puścił się w drogę szukając lądu nowego, majtkowie na jego statku zbuntowali się po czterech tygodniach i nie chcieli dalej jechać, domagając się powrotu; ale Kolumb miał dużo cierpliwości: zniósł wytrwale wyrzuty i obelgi, aż pewnego dnia zamajaczyło przed nim błękitniejące we mgle wybrzeże. Ani ciekawość, ani żądza zbogacenia się nie doprowadziłaby do odkrycia Ameryki — dokonała tego cierpliwość.

Wiadomo wam, że nasz rodak Mikołaj Kopernik, dowiódł, iż ziemia obraca się koło słońca, gdy przedtem sądzono, że ma się przeciwnie. Ale nie wiecie pewnie, że nie wpadł na tę myśl odrazu, lecz przez całe życie pracował nad jej rozwiązaniem, wyliczał przez długie lata — i dopiero na łożu śmiertelnem ujrzał dzieło swoje wydrukowane.

A wy tracicie cierpliwość po dwu godzinach, kiedy nie wypada zadanie.

Cierpliwość jest niby światło gwiazd, nigdy niegasnące, to siła najpotężniejsza; człowiek niespokojny, gdy uzbroi się w nią, może długo i wytrwale czekać na uwieńczenie wynikiem pomyślnym swych zamiarów.

Największemi szkołami cierpliwości są sale szpitalne i pokoje chorych. Niezmordowana czynność i łagodność przy pielęgnowaniu chorych w dzień i w nocy, odwaga, z jaką chorzy sami znoszą dotkliwe i długotrwałe cierpienia, — zasługują na podziw i uwagę.

W dzieciństwie można wyrobić w sobie cierpliwość przy najzwyklejszych zajęciach codziennych. Weźmy naprzykład naukę muzyki: spotykamy w niej trudności, które radzibyśmy ominąć; ale powiedzmy sobie: "Nauka cierpliwości ważniejsza jest od muzyki" — i ani się obejrzymy, jak osiągnęliśmy cel podwójny: nauczyliśmy się trudnego kawałka i uczyniliśmy postęp w cierpliwości, która przyda się nam bardzo w życiu.

Ćwiczmy cierpliwość na rzeczach drobnych.

Przebieramy się, trzeba się śpieszyć, a tu jak na złość zaplątało się sznurowadło u trzewika. Co złości przy tem, co narzekań i krzyków, — w końcu bierze się nożyczki i rozcina nowe sznurowadło. Kto tak postępuje w małych rzeczach, to gdy dorośnie, nie potrafi dokończyć dzieła zaczętego, ani też o własnych siłach wydobyć się z przykrego położenia. Spróbuj rozwiązać trzewik, nie tracąc humoru, śpiewaj przytem jaką ulubioną piosenkę, a gdy po kilku minutach rozwiążesz, to można ci szczerze powinszować. Bo to znaczy, że już posiadasz początki wielkiej potęgi, która cię uczyni panem twego losu.

Korzystaj z każdej drobnej sposobności dla ćwiczenia w sobie tej siły: kiedy nie możesz zapiąć odrazu kołnierzyka, czy to gdy włos osiądzie na stalówce, lub igły nie możesz nawlec odrazu, albo mucha brzęczy ci uparcie koło uszu. Są to wszystkie ćwiczenia w cierpliwości, tak jak są ćwiczenia muzyczne.

Za każde przezwyciężenie siebie czeka nas nagroda. Jaka? Ta, że doświadczenie następne łatwiej nam się uda. Pierwszy raz zawsze najtrudniej przemódz się, za to za następnym razem idzie daleko łatwiej.

Wstań rano, a znajdziesz nagrodę w tem, że wszelka praca pójdzie ci gładko i ochoczo, bo w godzinach rannych najlepiej się pracuje. Dla doświadczenia spróbuj odrazu zamknąć bardzo zajmującą książkę, a za innym razem potrafisz oderwać się od zabawy, gdy będzie czas zabrać się do lekcyi.

Zapamiętajcie więc, że największa nagroda za przezwyciężenie siebie polega na tem, że to daje nam siłę do spełnienia czegoś jeszcze trudniejszego i ważniejszego.

Tak więc ani jeden dowód cierpliwości, miłości, żadna ofiara nie pójdzie na marne, choćby nam odpłacono niewdzięcznością, gdyż największą nagrodą i zapłatą będzie siła zdobyta i zahartowana przy spełnianiu tych czynów.

ROZMAITOSCI.

Złodziej arystokrata.

Policya węgierska aresztowała w tych dniach Ernesta Vladara, członka jednej z rodzin arystokratycznych węgierskich, która wydała wielu dygnitarzy węgierskich.

Wuj aresztowanego był biskupem i wychowawcą arcyksiężniczki Maryi Waleryi. Ernest Vladar już w 17 roku życia został za kradzież popełnioną u jednego z krewnych wyłączony z rodziny i od tego czasu stał się złodziejem zawodowym.

Za liczne kradzieże z włamaniem przesiedział już kilka lat w więzieniu. Przed trzema laty odziedziczył po ojcu 130,000 koron i przez jakiś czas nie było nic o nim słychać. Ale po roztrwonieniu spadku, zabrał się znowu do rzemiosła złodziejskiego i został znowu aresztowany za włamanie się do cudzego mieszkania.

Tańcujące zapasy.

Przed kilku dniami, jak donoszą dzienniki francuskie zjawił się w jednej z paryskich restauracyi pewien Włoch, który złożył tysiąc franków nagrody dla tego mężczyzny, który najdłużej potrafi tańczyć bez przerwy. Zgłosiło się pięciu zawodników, wszyscy jednak musieli ustąpić miejsca owemu Włochowi. Tańczył on bez przerwy przez 12 godzin.

Piękne panie a bawole ogony.

Dziwne zestawienie, prawda? A jednak między paniami i nie tylko pięknemi, a ogonami bawolemi istnieje bardzo blizki związek.

Mianowicie; we wschodnich guberniach Rosyi i na Syberyi specyaliści skupują od hodowców ogony bawole, przeważnie białe, sortują je według gatunków włosa i wysyłają do Moskwy i Petersburga i dalej na zachód. Tam je czyszczą chemicznie, białe włosy farbują na rozmaite potrzebne kolory i robią z nich — postisze, loki, koki i inne, tak modne teraz, ozdoby i dodatki do fryzur damskich....

Gdyby tak niejeden zakochany, gdy mu się uda dotknąć ustami złotych, czy kruczych splotów główki ukochanej, pomyślał, czego ozdobą były dawniej te loki! A może i ta świadomość nie zraziłaby go!

Przeszłość i teraźniejszość.

Pisma francuskie donoszą, że policya paryska w tych dniach aresztowała obszarpaną żebraczkę, która natrętnie zaczepiała przechodnia, prosząc o parę "susów". W komisaryacie okazało się, że aresztowaną jest dawna piękność i sława Paryża, znana śpiewaczka liryczna, wicehrabina Franciszka d'Ambraisne, która niegdyś posiadała wielki majątek, lecz, grając na giełdzie, straciła wszystko.

Humbug amerykański.

W New Yorku aresztowano członków "Towarzystwa przemysłowego Burr Protos". Towarzystwo to trudniło się sprzedażą akcyi bezwartościowych i wyłudzaniem tym sposobem większych lub mniejszych kwot od łatwowiernej publiczności Ameryki i Europy.

Oszuści zdołali w ten sposób wyłudzić z górą 50 milionów dolarów. Ofiarami towarzystwa są po większej części drobni kupcy, ludzie średnio zamożni, których skusiły szumne reklamy, o różnego rodzaju bardzo zyskownych przedsiębiorstwach.

Śledztwo dotychczasowe wykazało, że wszystkie reklamowane przez "towarzystwo" przedsiębiorstwa, kopalnie nafty, cynku, złota, miedzi nigdy nie istniały.

Włosy Napoleona I.

Gazety nowojorskie donoszą, że między przedmiotami ze zbiorów Karola W. Carpentera, wystawionemi obecnie na sprzedaż, znajduje się pukiel włosów Napoleona I-go, oceniony na 45 dolarów.

Jako gwarancyę autentyczności dołączono list Tomasza Poppletona, kapitana 53 pułku angielskiej artyleryi pieszej. W liście tym, pisanym do pani De la Vaux, posyła kapitan ten pukiel włosów jako upominek.

Poppleton był stałym oficerem ordynansowym przy Napoleonie I. podczas wygnania cesarza Francuzów na wyspie św. Heleny i sam Napoleon podarował mu pukiel włosów na pamiątkę.

Kolonia polska w Paryżu.

Paryskie "Towarzystwo Pracujących Polaków" urządziło 26 z. m. przedstawienie kabaretowe t. zw. "Oberży pieśniarskiej" przy udziale Ostrowskiego, Ostoi i Wiewierowskiego. — Wypadki w Polsce, budzące echo za zagranicą, były tematem śpiewek i kupletów udatnych. Osobną grupę stanowiły piosnki zebrane w całości p. t. "Obrona Częstochowy" — nowa revue, które tak program zapowiadał: —

...Lalu co w murach Jasnej
Częstochowy
Stróżom miejsca świętego zawracałaś głowy,
Co uśmiechem rozkosznym figlarko malutka,
Tak zdołałaś usidlić "braciszka Lalutka".
Że by módz cię otoczyć dostatkiem i zbytki
W klasztorze się złodziejską dłonią włamał skrytki,
A w końcu biały mnisi krwią zbryzgał habit
Bo przez niego brat jego, a twój mąż był zabit.

NOWA JASKINIA GRY.

"N. Wr. Tagebl." donosi, że w miejscowości San Stefano pod Konstantynopolem, będzie założony dom gry przez kapitalistów belgijskich i francuskich. Kapitał zakładowy wynosi 12,000,000 fr. Koncesya sięga do roku 1935.

Sensacyjne aresztowanie.

Policya wiedeńska aresztowała pod zarzutem oszustwa męża znanej artystki wiedeńskiej p. Vallentin — hr. Metternicha.

Ponieważ hr. Meternich dopuścił się tego oszustwa podczas gry w karty na terytoryum niemieckiem, przeto zostanie wydany w ręce władz niemieckich.

Cała ta sprawa budzi w kołach artystycznych i towarzyskich Wiednia wielką sensacyę.

Adwokaci hr. Wolf-Metternicha poczynili już kroki prawne, które pozwalają wnioskować, że hrabia Wolf-Metternich zostanie wypuszczony na wolną stopę.

Oficer, który zrobił doniesienie przeciwko hr. Wolf-Metternichowi, nazywa się Backhaus. Doniesienie zrobione było w Londynie, stamtąd zaś odeszło do Berlina, ponieważ hr. Wolf-Metternich jest obywatelem niemieckim.

Gdyby nie uwzględniono rekursu hr. Wolf-Metternicha, będzie on wydany prawdopodobnie Anglii.

Słonia by ruszyło.

— Panie Walenty, panie Walenty, co się panu stało, jesteś pan taki wzburzony, taki zdenerwowany?...

— Ach, wyobraź pan sobie, ten szelma, Blagierowicz przysłał mi dziś list obelżywy, wiesz pan, w liście tym są wyrazy, któreby słonia nawet poruszyły i doprowadziły do wściekłości.

— A cóż on takiego napisał?

— A no, napisał naprzykład, żem osioł...

— Aha, rozumiem pana, tak, tak, toby i słonia poruszyło, gdyby mu kto powiedział, że jest osłem.

* * *

— Nauczyciel pyta się ucznia. Czy wiesz jakie zdanie do przymiotnika goły?

Uczeń odpowiada: Goły jak pan profesor.

Lament socyalistów.

Wielkie zmiany uskutecznione będą w Galicyi w dziedzinie szynkarskiej. Dotąd szynki w Galicyi według starych praw należały do właścicieli dóbr, a więc ogółem do szlachty. A ponieważ szlachta pewne zyski z tych szynków miała, przeto nie przeszkadzała w ich się rozmnażaniu. W ostatnim czasie naliczono ich około 30,000 szynków w Galicyi, co wpływało bardzo na rozpijanie się ludności i na jej ubożenie.

Sprawy te niebawem mają się zmienić. Z dniem 1 stycznia 1911 roku wchodzi w Galicyi w życie ustawa prawna, na mocy której szlachta przestaje być właścicielką szynków. Odtąd gminy same będą stanowić o szynkach, których liczba jest z góry ustawą prawną ograniczona. W miastach i miejscowościach targowych ma odtąd przypadać tylko jeden szynk na 500 mieszkańców, zaś w gminach wiejskich ma przypadać jeden szynk na 800 mieszkańców.

Jeżeli zaś która gmina zrzeknie się szynku i uchwali, że nikt nie śmie w jej obrębie szynku otwierać, to tak ma pozostać, jak ta gmina zechce.

Już nawet pewna wielka ilość gmin uchwaliła, że znosi u siebie wszelkie szynki.

Z tego wszystkiego pewnie bardzo się cieszyć, bo teraz lud sam rozstrzyga o szynkach i o swej trzeźwości, a przypuszczać można z całą pewnością, że lud wnet postępy wielkie zrobi na drodze wytrzeźwienia i dobrobytu. — Jednak socyaliści, którzy się mienią być opiekunami ludu, podnieśli wielki lament z powodu wielkiego zmniejszenia plagi szynków w Galicyi.

A dlaczego lamentują? — Oto dlatego, że cała kupa żydów-szynkarzy, którzy dotąd rozpijali i wyzyskiwali lud, nie będzie już mogła być pijawką chłopskiej kieszeni. Żydzi zaś są duszą socyalizmu, więc socyaliści czują się być dotknięci do żywego w samej duszy swej i lamentują i hałasują. O chłopów, o lud, o dobrobyt i rozwój tego ludu socyalistom wcale nie chodzi, ale chodzi im o żydów-szynkarzy, żeby ci żydzi mogli żyć i paść się kosztem biednego ludu. Dlatego lament i hałasy.

Jak piszemy wyżej jest obecnie w Galicyi około 30,000 szynków; wskutek nowej ustawy będzie skasowanych około 20,000 szynków, pozostanie około 10,000 szynków tylko. W tych ostatnich jeszcze nie zawsze się żydki utrzymają, bo przy rozdawaniu koncesyi wejdzie do zawodu szynkarskiego pewna ilość nowych ludzi. Można więc naogół sądzić, że około 23,000 dotychczasowych szynkarzy będzie się musiało pożegnać z szynkiem. A ponieważ to są niemal wszystko żydkowie, dusza socyalizmu, więc można sobie wyobrazić, jak to socyalistów ubodło!

Ale może socyaliści powiedzą nam, że owi szynkarze zostali pozbawieni chleba i to jest zło. — A pewnie, że jeśli kto utraci chleb, to to jest zło. Ale jeśli ojcowie rodzin u tych szynkarzy przepijali swe mienie a w rodzinie takich ojców nie było chleba, czy ci szynkarze pytali o to i czy ci socyaliści hałasowali o to, że w tylu rodzinach nie ma chleba. —

A gdy we Francyi i w Portugalii wypędzono zakonników i zakonnice tak, że utraciły chleb nietylko te osoby zakonne, ale jeszcze tysiące innych osób, utrzymywanych lub wspieranych przez zakony, czyż socyaliści lamentowali i hałasowali? Tak, hałasowali z radości, że się przytem żydkowie obłowić mogli mieniem kościelnem?

Przeto wzgląd, że pewna ilość osób utraci chleb, nie może wstrzymać w Galicyi naprawy nieznośnych od dawna stosunków; dopiero społeczeństwo stoi nad dobrem jednostek, osobliwie, jeśli te jednostki swój dobrobyt ciągnęły z klęski społeczeństwa.

Z całego lamentu i hałasu socyalistycznego wynika tylko jedno: żydzi są duszą socyalizmu, a dlatego też może być zrozumiała nienawiść socyalizmu do religii katolickiej i ujmowanie się socyalizmu wszędzie za żydami i obrabianie żydowskich interesów.

Nasi podróżujący agenci i kolektorzy.

Naszymi podróżującymi agentami, posiadającymi pełne nasze zaufanie i mającymi prawo kolektować za 'Gazetę Polską', "Tygodnik ilustrowany i książki, na co wydają kwity, są:

Ob. W. Michalski i pomocnicy jego z Filii Gazety Polskiej i Tygodnika Powieściowo-Naukowego 1180 Broadway Buffalo, N. Y. kolektują w Buffalo i okolicy, następnie Niagara Falls"; Medina; Albion; Utica; Amsterdam; Schenectady; Dunkirk; Perry i w okolicznych miastach w Stanie New York.

Ob. W. Radomski kolektuje w Winonie, Delano; Silver Lake; St. Paul, Minneapolis; Foley; Gilman i Braverville, Minn., a następnie w N. Dakota. Z powrotem zaś w całej Minnesocie i South Dakocie.

Ob. F. Pisarek i jego pomocnik Michał Kozaczek kolektuje w Stanach N. York, Connecticut i Pennsylvania.

Ob. Bronisław Florkowski, 1198 — 25th str. Detroit, Mich. kolektuje w mieście Detroit i okolicy.

Ob. Wł. Bankowski 3696 S. 65 Ave. Cleveland, Ohio, kolektuje w całym stanie Ohio.

Ob. F. Frączkowski, 268 Elm cor. 8th str. Wyandotte, Mich., kolektuje w Wyandotte i okolicy.

Ob. W. F. Krysiak, 156 Pleasant st. Northampton, Mass. kolektuje w Northampton i okolicy.

Ob. Adam Bohdanowicz ma prawo kolektować w Bostonie; w S Bostonie; w Brightonie i Chelsae, Mass.

Ob. Józef Chmieliński, 2658 Edgemont str., Philadelphia, Pa. i okolicy.

Ob. Klemens Mioduszewski, 1317 Division str., Erie, Pa. obecnie kolektuje w Erie, Pa.

Ob. Bol. Dzielak, P. O. Box N. 4 Hellmetta, N. J., kolektuje w Hellmetta; Spotswood; Sayreville; South River; Routh Hall i Jamesburg, New Jersey.

Ob. Ant. Szurek i jego pomocnik Jan Szurek kolektują w Amsterdam; Albany; Cohes; Schenectady; Troy; Utica; itd.

Ob. Franciszek Gierymski 125 Hawthorne ter. Torrington, Conn. kolektuje w Torrington i okolicy.

Ob. Suchcicki 142 South str. Newark, N. J., kolektuje w Newark, N. J. i okolicach.

Ob. A. Bratyński 67 Grand str. Trenton NJ. kolektuje w Trenton i okolicy.

Ob. J. Trojanowski, 40 Gold str. New Britain, Conn. kolektuje w New Britain i okolicy.

Ob. Józef Rudawski 515 Pine str. Philadelphia, Pa. i okolicy.

Ob. Józef Pilch Adams Mass. kolektuje w Adams i okolicy.

Ob. W. Dziaduś 33½ Lake str. Webster, Mass. kolektuje obecnie w Connecticut i Mass.

Ob. M. Litwinowicz dnia 16 bm. rozpoczął kolektę za Gazetę Polską i Tygodnik w Wilmington, Del. Camden NJ. i Manayunk, Pa.

Ob. Banaszewski Box 258 Hadley, Mass. kolektuje w Hadley i okolicy.

Ob. Józef Witkowski, 8345 Superior Ave. South Chicago, kolektuje w So. Chicago i okolicy

Ob. Jan Kałużniak 120 Belmont ave. Newark NJ., kolektuje w Newark i okolicy.

Ob. Józef Bąk, 288 Front strę Chicopee, Mass. kolektuje w Chicopee i okolicy.

Ob. S. Boryc 302 Bingaman str. Reading, Pa. kolektuje w Reading, Pa. i okolicy.

Ob. S. T. Wilk 18 Sheldon str. Hartford, Conn. kolektuje w w Hartford i okolicy.

Ob. J. Kwasnik 520 S. Broadway Baltimore, Md., kolektuje w Baltimore i okolicy.

Ob. Józef Trzepel 58 Walnut str. Chelsea, Mass. kolektuje w Chelsea, Mass i okolicy.

Ob. Felix Łubieński 262 str. Manistee, Mich. kolektuje w Manistee i okolicy.

Ob. A. S. Lubienski 1277 Dubois str. Detroit Mich. kolektuje w Detroit i okolicy.

Ob. Franciszek Slęczka 8522 Mackinaw ave. So. Chicago, Ill. kolektuje w So. Chicago i okolicy.

Ob. Ludwik Malinowski 8345 Superior ave. So. Chicago, Ill. kolektuje w So. Chicago i okolicy.

Ob. J. Tomaszewski, 1041 Liethgów str. Philadelphia, Pa. kolektuje w Philadelphia i okolicy.

Ob. Jan Osiński 144 Bowery str. Newark N. J. kolektuje w Newark i okolicy.

Ob. Aug. Klebek Box 688 Proctor Vt. kolektuje w Proctor i okolicy.

Ob. M. Kurbewicz 15 Neoga St. Depew kolektuje w Depew i okolicy.

Ob. W. Grabowski 1400 Broadway Buffalo NY., kolektuje w Buffalo NY.

Ob. Józef Mszastkiewicz, 511 East Central Ave. Minneapolis, Minn, kolektuje w Minneapolis i okolicy.

Na Brooklyn N. Y. zamianowany został agentem p. B. Ostrowski, 225 24th Street.

Ob. J. Andrzejewski, 1215 Kościuszko Ave., Bay City, Michigan, kolektuje w Bay City, Michigan i okolicy.

Ob. Jan Okrąglewski, 134 Washington ave. Torrington, Conn., kolektuje w Torrington i okolicy.

Ob. Frank Mazura Box 28, Westhampton, L. I. N. N. kolektuje w Westhampton i okolicy.

Ob. Aleksander Jankowski 86 Albany Ave, Hartford, Conn., kolektuje w Hartford i okolicy.

Ob. A. Wojenkiewicz Box 127 Shenandoah, Pa, kolektuje w Shenandoah i okolicy

Abonenci, którzy mają płacić prenumeratę za "Gazetę Polską" i "Tygodnik Ilustrowany", a idą do pracy, niechaj pozostawią w domu pieniądze i upoważnią swoje żony do zapłacenia abonamentu, a odbiorą zaraz swoje premie, jakie sobie obiorą, ponieważ wieczorem po szóstej godzinie wnet zmrok zapadnie, to mało objeść można a cały dzień się zmarnuje.

W. DYNIEWICZ PUBLISHING CO.



Automobil do przewożenia pienię dzy.

Mennica rządowa posługuj e się obecnie w celu przewożenia pieniędzy drukowanych i bitych z zakładów, w których się je wyrab ia do gmachu skarbu wozem automobilowym, którego podobiznę podajemy powyżej. Wóz jest oczy wiście zawsze dobrze strzeżony przez silnych i dobrze uzbrojonych ludzi.

Telegramy z Ameryki.

EKSPLOZYA KOTŁA.

16 trupów a 12 rannych. Polacy pomiędzy ofiarami.

PITTSFIELD, Mass. — Kocioł parowy, poruszający motory użyte do cięcia lodu na jeziorze Morewood, pękł we czwartek, skutkiem czego 16 robotników zginęło na miejscu, a 12 jest rannych.

Przedsiębiorstwem tem zajmowała się spółka Morewood Ice Co. Urzędnicy spółki opowiadają, że wysłano wczoraj 100 robotników, by przygotowali maszyny do cięcia lodu na jeziorze Morewood. Robotami kierował fachowiec, E. H. Leshure. Z rana, gdy robotnicy zgromadzili się około szopy, w której znajdował się kocioł, nastąpiła eksplozya. Siła wybuchu była olbrzymia.

Ściany z szopy rozleciały się w różne strony i pogrzebały gruzami robotników; 12 z nich zginęło na miejscu i jeden wyzionął ducha wkrótce potem na miejscu katastrofy, a trzech — zmarło w szpitalu. Zwłoki jednego z robotników, znaleziono wyrzucone na lód o 150 stóp od miejsca katastrofy. Pomiędzy zabitymi jest wielu Polaków. Zaraz po katastrofie mayor miasta zwołał nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej, na którem uchwalono zbierać składki dla wdów i sierót po zabitych. Składki dochodzą już do kilku tysięcy dolarów.

SKANDAL W OHIO.

Aresztowano przeszło tysiąc obywateli za sprzedawanie głosów.

WEST UNION, Ohio. — W powiecie Adams aresztowano ogółem przeszło tysiąc obywateli oskarżonych o sprzedawanie swych głosów politykierom za niskie łapówki. Jeden z aresztowanych młodych obywateli przyznał się, że sprzedał swój głos własnemu ojcu, który mu za to zapłacił $10.00. Jak stwierdzono to w całym powiecie Adams **ani jeden** obywatel nie jest wolny od zarzutu sprzedawania swych głosów. Ogółem dotąd aresztowano 1071 obywateli a 376 skazał już sędzia na kary pieniężne w wysokości pobranych łapówek oraz odebranie im prawa głosowania na przeciąg pięciu lat. Łamią sobie tem teraz głowę, kto będzie głosował na urzędników powiatowych i miejskich, skoro w całym powiecie wszystkim musi być głos odebrany, bo wszyscy są łapownikami. Nawet i kandydatów nie będzie z czego wybrać. Między innymi aresztowano 2-ch pastorów, którzy też sprzedali swoje głosy.

POMOC STAŁA DLA WDÓW I SIEROT PO ROBOTNIKACH.

PHILADELPHIA, Pa. — Rada tego miasta uchwaliła wyznaczać corocznie $100,000 na zapomogi dla wdów i sierot po robotnikach zatrudnionych przez miasto, a którzy skutkiem nieszczęśliwego wypadku zginą podczas pracy. — Obywatele zobowiązali się składać $50,000 na ten sam cel.

EMIGRACYA KANADY.

WINNIPEG. — Komisarz imigracyjny oblicza, że w ciągu dobiegającego do końca roku przyjęto do Kanady 350,000 przybyszów z zagranicy, w tem około 150 tysięcy ze Stanów Zjednoczonych.

OSZCZĘDNE RZĄDY.

NEW YORK, N. Y. — W jednym tylko departamencie wody i elektryczności zarząd miasta oszczędził w roku bieżącym trzy miliony dolarów. Mayor Gaynor, prowadzi tak oszczędną gospodarkę, jakiej nie prowadził żaden inny szef miasta przed nim. Napędził on całą gromadę darmozjadów i politykierów i obciął wydatki w każdym szczególe.

PLANY NA UFORTYFIKOWANIE KANAŁU.

WASHINGTON, D. C. — Departament wojny przez swoich inżynierów opracował już plany ufortyfikowania kanału panamskiego wedle najnowszego systemu i kosztem niemałym. Sekretarz wojny Dickinson twierdzi, że gdy kanał ten zostanie ufortyfikowany to się stanie dla Stanów Zjednoczonych tem, czem jest Gibraltar dla Anglii. Okręty obconarodowe floty handlowej, przepływające przez ten kanał będą musiały opłacać odpowiednie cło, lecz dla okrętów floty Stanów Zjedn. opłaty będą o wiele niższe. Rząd spodziewa się, że po kilkunastu latach koszta budowy kanału wrócą się Stanom z nasypką, a pozatem będą one miały ważny punkt strategiczny.

ŚMIAŁY AWIATOR.

LOS ANGELES, Cal. — Arch Hoxsey, który zdobył rekord światowy wzbiciem się w obłoki aeroplanem do wysokości 11,599 stóp— zdobył wczoraj nowy rekord, przelatując nad górami Hurdling. — Zdołał on przelecieć nad najwyższą górą Mount Wilson w wysokości 10,005 stóp i gdy się opuścił szczęśliwie na ziemię, oświadczył, że podróż była bardzo przyjemna i lekko mu poszła.

POZNAŁ SWOJEGO UWODZICIELA.

NEW YORK, N. Y. — Szesnastoletni Giuseppe di Stefano idąc z ojcem ulicą rozpoznał w młodym Sycylijczyku Giacomo Crimi tego, co go uprowadził od rodziców w celu okupu. Chłopczyna tuląc się do ojca zaczął krzyczeć, że to jest ten "niedobry człowiek", co go ukradł, a przechodzący mimo policyant, dowiedziawszy się o co idzie puścił się w pogoń za uciekającym, pochwycił go i uwięził. Chłopiec poznał Crima między tysiącami przechodniów.

ROOSEVELT GWIAZDOREM.

NEW YORK, N. Y. — Były prezydent Teodor Roosevelt z życzeniami szczęśliwego Nowego Roku przesłał 50 robotnikom w United Charities Building po $5.00 w złocie każdemu, czyli razem rozdał $250.

ARESZTOWANIE WRÓŻEK I ZNACHORÓW.

NEW YORK, N. Y. — Policya zrobiła najazd na nory różnych wróżek i znachorów, czarnoksiężników, magów, cudownych doktorów i innych szarlatanów, aresztując 54 z nich. Siedlisko swoje ta hołota miała przeważnie w Manhattan, Brooklynie i Bronx, gdzie skubała naiwnych, co szli po rady w miłości i interesie do tych oszustów. Sędzia każde z aresztowanych postawił pod $1000 kaucyi i, że przynajmniej przez jeden rok wstrzymają się od wróżenia ludziom przyszłości i skubania ich kieszeni...

ARESZTOWANIE CAŁEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO.

GARY, Ind. — Sąd przysięgłych w powiecie Lake wydał sekretny rozkaz aresztowania niemal całego zarządu miasteczka Gary, co też zostało dokonane przez kilku detektywów i konstablów. Aresztowani są: major miasta — Tomasz E. Knotts; Józef D. Martin, szef policyi miejscowej; Emanuel White, komisarz bezpieczeństwa publicznego; John Mulcahey kapitan policyi; Lewis Jenkins porucznik policyi; William Miller— sierżant, Patrick C. Finerty komisarz robót publicznych; Henry Price — adwokat i John Kertasz — policyant. Wszyscy z aresztowanych są oskarżeni o nadużycia popełnione podczas wyborów, o konspiracyę i spowodowanie śmierci obywatela Patricka C. Callery. Każdego z aresztowanych postawiono pod $2,000 kaucyi. Hala miejska faktycznie opustoszała, gdy niemal wszystkich urzędników aresztowano. Działy się tam skandaliczne morderstwa a nawet spełniono morderstwo podczas samych wyborów.

POCHODY PIJAKÓW.

Ciekawe "manewry" — "armii zbawienia" w Nowym Yorku.

NEW YORK. — Chcąc dokonać jednocześnie dwu rzeczy: nawrócić nałogowców do wstrzemięźliwości i zwrócić publiczną uwagę na rozmiary, jakie pijaństwo przybiera szczególnie w nocy w soboty, dni płacy — generalny sztab Armii w jednej tylko dzielnicy nowoyorskiej postanowił odbyć "nadzwyczajny atak na najsilniejsze twierdze djabła" — na karczmy i szynki. W tej myśli wyruszył zeszłej soboty około 10 wieczór na czele czterech kompanii "oblężniczych inżynierów" Armii, w większej części mężczyzn w mniejszej kobiet. W pośrodku tego korpusu szło 20 wozów, na których umieszczono ogromne kadzie, pełne wody, obstawione tęgimi pachołkami i muskularnemi dziewkami — z szeregów armii. Wojenne surmy na przedzie grały djabłu zażartą walkę. Armia wkroczyła do nieprzyjacielskiej dzielnicy — i rozpoczęła się bitwa.

Taktyka polegała na tem, że co najtęższi rycerze i najdzielniejsze amazony wpadali i wpadały do szynków, śpiewając, co starczyło gardła, zwycięską pobudkę: "Jesteśmy tu dla Jezusa!" I nie czekając rycerstwo chwytało zaskoczonych niespodziewano bibosów, wybierając jednak tylko takich, którzy już tylko resztkami mózgowej cieczy zdołali myśleć o obronie, a ciałem byli bezwładni. Ci żołnierze brali ich w pół na ramiona i plecy, lub za ręce i nogi — nie zważając na wiek i płeć — wynosili z szynku do wozów i tam... wrzucali w kadzie! Pachołkowie z dziewkami stojący na wozach, baczyli, aby jeniec miał każdy wody oczyszczającej pod dostatkiem, każdego też po stosownem umoczeniu, umocowali w kadzi tak, aby zbawiennego żywiołu miał po szyję.

W ten sposób kompanie, operując umiejętnie trzy godziny, nabrały jeńców. głów 1,326 — samych porządnie opiłych. Zaczem, sformowawszy się do tryumfalnego pochodu, wróciły wspanialszemi ulicami do koszar swej kwatery — podczas gdy wojenne surmy na przedzie grały Bogu wojenne hymny dziękczynienia. W koszarach, zbornem miejscu nabożeństwa wszystkich, dobyto z kadzi otrzeźwionych katechumenów, osuszono ich ,napojono gorącą herbatą — potem się wzięto do nawracania ich ognistemi słowy. Nawracanie trwało do białego dnia, prawie wszyscy jeńcy przeszli chętnie do szeregów Armii.

Takie wyprawy postanowione są na każdą sobotę — aż do skutku.

ZA MAŁO FUNDUSZÓW.

Socyalistyczni urzędnicy w Milwaukee nie mają z czego dać sobie podwyżki.

MILWAUKEE, Wis. — Kasa miasta Milwaukee jest o $389.000 "za krótko" i dochód nie pokrywa rozchodu. Administracya socyalistyczna jest teraz w kłopocie — jak wyrównać ten deficyt. Zaniechać oni muszą na razie podniesienia pensyi swoim urzędnikom, jak to poprzednio zamierzali, bo niema z czego czerpać, gdy kasa jest pusta.

Socyaliści twierdzą, że winę za deficyt ponosi dawna administracya, gdyż ściągała za niskie podatki z obywateli, wskutek czego dochody nie pokrywają rozchodów. Kto wie, czy teraz socyaliści nie podniosą podatków w Milwaukee.

NIEMCY A AMERYKA.

Ostatni dolar amerykański jest do dyspozycyi Anglii". Niemcy się gniewają.

WASHINGTON. — Prezydent Taft, jako naczelny dowódzca całej armii i marynarki wkrótce rozstrzygnie sprawę komandora Simsa, komendanta okrętu wojennego "Minnesota."

Wedle sprawozdań korespondentów dziennikarskich, podczas odwiedzin marynarzy amerykańskich w Londynie wygłosił mowę podczas bankietu, w której oświadczył, że do "dyspozycyi Anglii w razie wojny, stoi ostatni okręt, ostatni dolar, ostatni żołnierz — amerykański."

Mowa ta wywołała pewne zaniepokojenie w Niemczech.

Ambasador niemiecki w Washingtonie, poczynił pewne przedstawienia w Białym Domu i prezydent zarządził dochodzenia tej sprawy. Wczoraj właśnie nadesłał Sims, sekretarzowi marynarki Meyerowi, dokładny tekst swej mowy. Sekretarz wręczył go prezydentowi i od niego też zależy ostateczne załatwienie tej sprawy.

Niemcy domagają się satysfakcyi i podnoszą, że oficer marynarki, nie powinien wygłaszać takich zdań.

Niewiadomo, co Prezydent postanowi; w każdym razie wpływy Niemców są znaczne w tej rzeczypospolitej.

POLOWANIE Z AEROPLANU.

Hubert Latham robi zakłady o bicie zwierzyny z maszyny w locie.

NEW YORK, N. Y. — Znany lotnik francuski Hubert Latham założył się o $25,000 że potrafi strzelać podczas lotu w aeroplanie swego systemu Antoinette zwierzyne taka, jak jelenie, antylopy, niedźwiedzie i lwy. Latham jest myśliwym zawołanym i przebywał czas dłuższy w Afryce. Gdzie i kiedy ma być zakład rozegrany, tego depesze nie podają.

WALNY RAPORT.

Sekretarz handlu żąda zmiany praw imigracyjnych.

WASZYNGTON, D. C. — Sekretarz departamentu handlu i przemysłu H. Nagel w swoim rocznym raporcie do prezydenta Tafta radzi zaprowadzenie wielu zmian w różnych biurach i filiach. Wiele miejsca poświęcił p. Nagel w swoim raporcie sprawie emigracyi i naturalizowaniu obywateli. Jest on stanowczo przeciwny rozłączaniu rodzin w portach, gdzie obecnie nieraz wpuszcza się ojca, a wraca żonę i dzieci, lub nawet same dzieci pod błahymi pozorami odrywa się od rodziców i odsyła z powrotem, choć ojciec jest tu dawno osiadłym wychodźcą. Pan Nagel nazywa to barbarzyństwem. Dalej p. Nagel radzi karać surowo kompanie, które świadomie tu przywożą emigrantów chorych na umyśle, lub też cierpiących na zakaźne choroby byle zarobić na nich, a później ci biedacy są odsyłani z powrotem zrujnowani doszczętnie. Raport i polecenia sekretarza są opracowane sumiennie i sprawiedliwie, wykazując przytem nadużycia praktykowane w portach przy przyjmowaniu tu emigrantów.

SROGOŚĆ URZĘDNIKÓW EMIGRACYJNYCH.

NEW YORK, N. Y. — Do jakich absurdów i znęcenia się nad biednymi emigrantami dochodzą urzędnicy emigracyjni w tutejszych portach niech posłuży fakt, że postanowiono deportować z powrotem do Europy panią Annę Pele — Łotyszkę, przybyłą tu do męża z czworgiem dzieci. Przyczyną deportacyi ma być, że jedno z dzieci pani Pele zachorowało po tej stronie oceanu. Matka i dzieci były zdrowe po przybyciu tutaj, a i lekarze wydali im karty zdrowia. Zatrzymano ich jednak aż mąż i ojciec, maszynista pracujący w Chicago nadesłał im pieniędzy na dalszą podróż i żywność. W tym czasie dziecko zachorowało i to jest pretekstem, żeby wrócić nieszczęśliwą rodzinę, oddzielić ją od męża i ojca, którego były tak blisko. Tyle straty pieniędzy dla biedaków i przytem rozpacz niezmierna.

CZŁOWIEK MAGNESOWY.

OXFORD, Ind. — Mieszka w pobliżu tego miasteczka farmer Thomas Carr, który ma tę właściwość, że wstrzmuje zegarki kieszonkowe od chodzenia elektrycznością, jaką wydaje ze swego ciała. Jest to silnie zbudowany mężczyzna, pełen energii, o kędzierzawych włosach, lecz gdy zegarek weźmie do kieszeni, to mu przestaje chodzić. Próbował on już z 50 zegarków z jednakowym rezultatem, a tylko jeden chodził mu cały tydzień, poczem też odmówił mu swego posłuszeństwa. Lekarze sądzą, że Carr ma w sobie zbyt wiele elektryczności i ta wstrzymuje zegarki.

Przyszłość Amerykanek.

W jednym ze swoich odczytów o kobiecie współczesnej profesor uniwersytetu w Harvard [w St. Zj.] oświadczył, że kobiety amerykańskie zupełnie 'zmężczyźnieją', jeżeli nie zmienią trybu życia. Według dra Sargenta rozwój cielesny kobiet amerykańskich w ciągu ostatnich 20 lat stał się zupełnie normalny, jak to stwierdzają pomiary 10 tysięcy kobiet.

Dłonie i stopy zwiększyły się znacznie, biodra zwęziły się, natomiast barki rozszerzyły się, a kark stał się grubszy.

Dr. Sargent przypisuje te objawy przesadnemu uprawianiu sportu przez kobiety. Dyrektor narodowej Akademii sztuk pięknych znany malarz portrecista John W. Aleksander potwierdza te wywody na podstawie własnych spostrzeżeń.

Amerykanki uprawiają tak zapalczywie sporty, że tracą cechy kobiece. Mają płaskie piersi, silny i sztywny tułów, atletyczne ramiona i kark, wązkie biodra, duże ręce i stopy.

Esteci twierdzą, że Amerykanki w przyszłości jeżeli nie zaprzestaną uprawiać w taki sposób sportu, będą śmiesznie wyglądały w sukniach kobiecych.

GAZETA POLSKA W CHICAGO

Oldest Polish Newspaper in America

APPEARING EVERY THURSDAY

ESTABLISHED 1873 by W. Dyniewicz.

Represents the interests of over 3,000,000 Poles residing throughout the United States & Canada

Subscription Two Dollars per Year.

Rates of advertising on application.

Gazeta Polska w Chicago, read in all the States and Territories of the Union, in Canada, Mexico Central America, South America, in Great Britain, Ireland, France, Germany, Austria, Servia, Switzerland, Turkey in Asia, Africa, Australia, and in all the provinces of ancient Poland, is really a *First Class Advertising Medium.*

All communications ought to be addressed:
W. DYNIEWICZ PUBLISHING CO.
Publisher "Gazeta Polska",
1113 Noble str., Chicago, Ill.

We have over 1000 works of our own Publication and Edition, and Imported Books.

GAZETA POLSKA W CHICAGO.

Najstarsze czasopismo polskie w Ameryce.

Wychodzi co czwartek każdego tygodnia

PRENUMERATA ROCZNA:
W Stanach Zjednoczonych $2.00
W Europie, Ameryce Środkowej i Południowej, Azyi, Afryce, Australii i Kanadzie $3.00

POSZUKIWANIA krewnych i znajomych nie wynoszące jednego cala druku na jeden raz 50 centów, następnie połowę ceny.
POSZUKIWANIA na jeden raz jak i ogłoszenia o założeniu jakiegoś przedsiębiorstwa dla abonentów naprzód płatnych, bezpłatnie.
PIENIĄDZE należy przesyłać przez Money Order, Express lub w liście registrowanym. Kwoty niższe od dolara można przesyłać w znaczkach pocztowych.

Rękopisów nie zwracamy.

Wszelkie listy i pieniądze adresować należy:
W. DYNIEWICZ PUBLISHING CO.
1113 Noble str., Chicago, Ill.

TELEFON: MONROE 1256.

Kalendarzyk Tygodniowy.

STYCZEN.

6 P TRZECH KR.
7 S Juliana m.
8 N Seweryna.
9 P Łucyana;
10 W Wilhelma;
11 S Zdzisława;
12 C Ernesta.

Chicago, Ill., dn. 5 stycznia, 1911.

UWAGI REDAKCYI.

Puszczamy w świat pierwszy w tym roku numer. Nowy rok pracy przed nami!... Daj Boże, aby owocniejszą była od lat poprzednich!

• • •

W roku 1911 Gazeta Polska najpilniejszą uwagę będzie zwracać na pracę organizacyjną dążącą do lepszego i silniejszego wiązania się rozmaitymi nićmi wspólnych interesów wszystkich naszych Kolonii. Będziemy dążyć do tego, aby coraz więcej przybywało nam ludzi rozumiejących, że wszystkie towarzystwa w danej Kolonii istniejące, powinny dążyć do tego, aby w ich kolonii była taka łączność, jaka istnieje np. we wsiach i miasteczkach w starym kraju, aby w nich wybierano sobie jeden wspólny zarząd, któryby czuwał nad interesami ogółu i aby pilnował wszystkich czy dobrze swoje obowiązki spełniają.

• • •

Kolonii polskich dobrze zorganizowanych, wspólność interesów odczuwających, jest już w Ameryce sporo. Brak im tylko formalnej organizacyi, której przeprowadzenie nie będzie zbyt trudnem. Te przedewszystkiem, dla przykładu innym powinny zorganizować się w gminy, co jedynie może w Ameryce przyspieszyć chwilę powstania Związku Jedności.

• • •

W dzisiejszym numerze podajemy początek prześlicznej, interesującej i sensacyjnej a długiej powieści p. t. "Leśna Różyczka". Zainteresować ona może i rozciekawić każdego. Dalszy ciąg tej powieści pomieszczany będzie w naszym "Ilustrowanym Tygodniku Powieściowo-Naukowym" — który stanowczo zasługuje na to, aby się znajdował w każdym domu polskim w Ameryce. Obok wielkiej powieści, której w każdym numerze co tydzień dajemy tyle właśnie ile jest dzisiaj w "Gazecie Polskiej," nasz "Ilustrowany Tygodnik Powieściowo-Naukowy" zawiera artykuły popularno naukowe, nowelki, opowiadania, baśnie, sztuki teatralne i nuty muzyczne. Oprócz tego niebawem rozpoczniemy w nim druk oryginalnej pracy naszego redaktora Stanisława Osady, drugą część "Literatury polskiej i polsko-amerykańskiej." Druk pierwszej części, obejmującej Literaturę Polską ogólną, ukończyliśmy w roku zeszłym. Niebawem wyjdzie w odbitce książkowej bogato ilustrowana, obejmując przeszło 300 stron druku i będzie do nabycia w naszej księgarni. Część druga tego dzieła obejmie literaturę polską w Ameryce, w której w streszczeniu lub opisie podane będą wszystkie książki przez polskich pisarzy w Ameryce napisane i o naszem życiu w tym kraju traktujące. Oprócz tego znajdzie się tam historya rozwoju naszej prasy, od lat najdawniejszych, aż do dnia dzisiejszego. Będzie to dzieło nietylko interesujące dla wszystkich, ale posiadające trwałą wartość historyczną. Bardzo bylibyśmy radzi, aby wszyscy czytelnicy "Gazety Polskiej" zapisali sobie także nasz "Ilustrowany Tygodnik powieściowo-naukowy", który za jednego dolara rocznie da wam przy końcu roku grubą księgę zawierającą kilka wspaniałych dzieł literackich i historycznej wartości, i niezmiernie ciekawych powieści.

• • •

Mamy pod ręką studyum o słowianach, "Our slave fellow citizens" [nasi współobywatele słowiańscy"] pióra p. Emilii Green Balch, profesorki uniwersytetu we Filadelfii, które niedawno opuściło prasę.

Autorka tego studyum pojechała do Europy specyalnie w celu poznania Słowian. Spędziła czas dłuższy w południowej Słowiańszczyźnie, była też w Galicyi wschodniej, i przeprowadziwszy gruntowne studya, przedstawiła w swem dziele życie poszczególnych grup słowiańskich z Austro-Węgrzech, przeprowadzając porównanie z warunkami życiowymi tychże grup w Ameryce.

Pani Belch żywi wielką sympatyę dla wszystkiego, co słowiańskie i sympatya ta tchnie z jej książki. Przedstawiając imigrantów słowiańskich w Ameryce, wykazuje, że spełniają zazwyczaj najcięższe prace i że są nadzwyczaj sumienni i uczciwi.

Celem pani Balch było przedstawienie imigracyi słowiańskiej a nie specyalnie polskiej. Wiadomości swe czerpała zatem z przeróżnych dzieł słowiańskich tłómaczonych na język angielski lub niemiecki, zasięgała, jak sama przyznaje, ustnych informacyi u przedstawicieli wszystkich narodowości słowiańskich zamieszkujących Austryę, najobszerniejsze rozdziały swej książki poświęciła stosunkom w Czechach i w południowej Słowiańszczyźnie. Jest to nawet trochę dziwne w obec faktu, że nasza polska imigracya jest przecież ze słowiańskich najstarszą, najliczniejszą i stanowi jej odłam bodaj że najkulturalniejszy. Z żalem wielkim stwierdzić wypada, że autorka posługująca się wiadomościami z "Ruthenishe Revue" lub z "Ruthenishe Halbmonatsschift", oczytana przytem dokładnie w literaturze czeskiej co do spraw polskich w Galicyi, zna oprócz Sienkiewicza, tylko kilka wydanych po niemiecku broszur.

Pani Balch była wprawdzie w Krakowie, nie znalazł się tam jednak jak widać nikt, ktoby osobie nieznanej przedstawił dokładnie ekonomiczne i narodowe stosunki Galicyi... Prof. Dorsey, korespondent chicagoskiego dziennika "Tribune" miał już więcej szczęścia. Opadli natomiast amerykańską autorkę, o ile sądzić można z jej książki, ze wszystkich stron Rusini, i potrafili wszczepić w jej serce przekonanie, o krzywdach popełnianych rzekomo przez szlachtę polską na narodzie ruskim, umieli wyzyskać dla siebie jej nieznajomości języka i stosunków. Mapka rozpowszechnienia w Galicyi języka polskiego, którą pani Balch podaje, jest wymownym tego dowodem. Według tej mapki mówi się po polsku w Galicyi zachodniej po San, reszta zaś kraju jest wyłącznie ruska. Miasto Lwów jest tylko jedyną polską wyspą wśród tego ruskiego morza...

Na to studium zwracamy uwagę Biura Informacyjno-Prasowego przy Z. N. P. Wartoby autorce zwrócić uwagę na te wszystkie rażące błędy.



Baronowa Hengelmuller von Hengervar.

Jest małżonką ambasadora austryackiego w Washingtonie i właśnie została odznaczoną przez monarchę austryackiego, cesarza Franciszka Józefa mianem "damy dworu cesarsko-królewskiego pałacu." Amerykankom ogromnie ten tytuł imponuje. Prasa tutejsza stwierdza, że może go dostąpić tylko dama w której rodzinie tak po stronie matki jak i ojca 16 pokoleń należało do dobrych rodów szlacheckich.

Co inni piszą.

Żyjemy w czasach "rozpętanego nacyonalizmu" tak w Europie jak w Ameryce, chociaż ofiary tego rozpętania w obu częściach świata są różne. W Europie widzimy jak w imię nacyonalizmu właśnie budzą się do samoistego życia już nietylko najdrobniejsze, dawno za wygasłe uznane narody, ale nawet pojedyncze kolonie i rodziny po za ich ogniska narodowe między obcych wyrzucone, rozpoczynając wszędzie walkę przeciwko asymilacyi przy czem nie brak takich nawet wypadków, że dzieci już przyasymilowanych rodziców otwarcie przyznają się do narodowości swoich dziadów.

W Ameryce — natomiast i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i w Kanadzie, nacyonaliści tutejsi w przewidywaniu, że i tu do podobnych protestów przeciwko asymilacyi ze strony ludności napływowej dojść może, starają się przeciwko nim zabezpieczyć zamknięciem granic dla emigracyi aby kultura amerykańska bez przeszkody strawić mogła tych którzy dotąd się tu osiedlili.

Nie ekonomiczne racye grają rolę w tej agitacyi, a tylko i wyłącznie ów apetyt nacyonalistyczny, na owe miliony dusz ras rozmaitych by je raz pochłonąwszy, strawić na rzecz nowo stającej się narodowości amerykańskiej.

Kanada w tej mierze jeszcze dalej idzie, głębiej sięga niż Stany Zjednoczone. Do rozporządzeń przy parcelacyi gruntów, **które wykluczają możność osiedlania** się w zbitej masie, kolonistom jednej i tej samej n a r o d o w o ś c i, p r z y p a d a n o w y niezmiernie ciekawy plan o którym pisał niedawno Wojciech Szukiewicz w "Kuryerze Warszawskim". Plan ten wydał się warszawskiemu publicyście bardzo niewinnym, ale my tu z bliska patrzący na to co się dzieje, inaczej o tem sądzić musimy.

Oto co pisze p. Szukiewicz:

"W tych właśnie czasach miałem sposobność poznać ciekawego gościa i to ciekawego z kilku powodów: przedewszystkiem osobliwe wrażenie sprawia na nas człowiek, który nazywając się Edmund Chambers i będąc mieszkańcem miasta Winnipeg, w kanadyjskiej prowincyi Manitoba, odzywa się, po niespełna roku pobytu w Polsce, wcale niezłą polszczyzną, wymawiając dość poprawnie tak trudną dla cudzoziemców literę ł. Ale p. Chambers przyjechał do nas specyalnie po to, aby wyuczyć się naszego tak mało cudzoziemcom potrzebnego języka i w tym celu bawi w Krakowie, gdzie uczęszcza na uniwersytet, oddając się studyom nietylko języka, ale i literatury narodu, którego zarówno dzieje, jak i stan obecny z różnych powodów głębiej go interesują.

W Warszawie spędził zaledwie kilka tygodni, bo jakkolwiek miasto uczyniło na niego zupełnie korzystne wrażenie i byłby się chętnie czas dłuższy zatrzymał, to jednak brak wyższej polskiej uczelni zmusił go do rychłego powrotu tam, gdzie cel swój prędzej i lepiej osiągnąć może.

P. Chamberg nie po to przyjechał uczyć się naszego języka, aby, przypuśćmy zarabiać jak tłómacz polskich powieści, lub prowadzić z Polską handel, lecz dlatego, aby, wróciwszy po dwu latach pobytu w naszym kraju do swojej ojczyzny poświęcić się wyłącznie pracy nad umysłowem i moralnem podniesieniem polskich wychodźców w Kanadzie, pracy ich uobywatelnienia i uczłowieczenia w najszerszem tego słowa znaczeniu. P. Chambers nie czyni zaś tego z własnego wyłącznie natchnienia, a przedewszystkiem nie z własnych funduszów; lecz jako wysłannik grona ludzi prywatnych i dobremi chęciami przejętych których polscy przychodźcy interesują, nie jako dobre siły wytwórcze w rolnictwie, lecz jako jednostki ludzkie zaniedbane a zasługujące na lepszy los, niżeli to jest ich udziałem.

Grono tych ludzi wyznaje zasady metodystów i pragnie prowadzić pracę w duchu religijnym nie narzucając wprawdzie katolikom swego wyznania i nie kradnąc dusz ludzkich, lecz pozyskując dla uznawanych przez siebie prawd tych wszystkich, którzy opuścili ojczyznę zobojętniali dla wiary i dadzą się dla nowego Kościoła zjednać"

Wszakże nawracanie nie jest wcale ani jedynym, ani nawet głównym celem tej, swego rodzaju misyi, która będzie przeciwnie zdążać przedewszystkiem do czynienia z pol. przychodźców dobrych obywateli kanadyjskich bez ich wynaradawiania i pozbawiania miłości do starego kraju. Sam p. Chambers jest przybyszem angielskim, a jakkolwiek zachował uczucie synowskie dla Anglii, to jednak czuje się lojalnym obywatelem Kanady i pragnie to samo wpoić w Polaków, bez odbierania im ich przywiązania do dawnej kultury i miłości do ojczyzny. to jest powodem, dla którego p. Chambers zadaje sobie wele trudu, w celu wyuczenia się języka polskiego, poznania naszych dziejów, naszej literatury, zwyczajów i obyczajów, aby nietylko ich nie wykorzeniać, ale nawet w nowej ojczynie rozwijać o ile możności utrwalać."

Co do nas, nie wierzymy, ani trochę, co pan Chambers powiada o zamiarach owego "grona ludzi" które go na studya do Warszawy wysłało, tembardziej, jeżeli to są metodyści. My tu w Stanach znamy takich 'przyjaciół' bardzo dobrze i wiemy jak wygląda ich tolerancya do "naszego przywiązania do dawnej kultury". Najzaciekłejszy natywista amerykański nie rzuca się na takie rzeczy u przychodźców, ale wytęża wszystkie siły przez szkołę publiczną i cały szereg instytucyi takich jak Y. M. C. A., jak organizacye Woodmanów, Foresterów, Masonów rozmaitych itp., aby **przyszłe pokolenie** kpiło sobie z kultury swoich rodziców, albo — aby się przynajmniej z nią nie zapoznało.

Dlatego nie rozczula nas bynajmniej misya p. Chambersa z Kanady, owszem z tego co p. Szukiewiczowi powiedział widzimy, że — nic tam dla nas dobrego się nie wykuje, owszem nie tylko na narodowość, ale i na religię naszą czychają tamtejsi metodyści.

• • •

A gdy ze wszech stron czychają na naszą religię i zagładę nacyonalistyczne prądy tutejszych amerykanizatorów, trzeba nam koniecznie myśleć o samoobronie i dla tego hasło "precz z amerykanizacyą" ma racyę bytu. Nie dawno pod tym tytułem pisał "Orzeł Polski" z Syracuse co następuje:

"Dużo mówi się i pisze o amerykanizowaniu się naszej młodzieży, niema prawie obchodu, ażeby różnonarodowi mówcy nie ubolewali właśnie nad młodzieżą, która zapomina swego języka ojczystego, która się wstydzi pochodzenia polskiego.

I faktem jest, że ubolewania te są prawdziwemi, że młodzież nasza nie jest wcale lepsza, aniżeli przedstawia się ją, prawdą jest to, że jeżeli tak dalej będzie, to za jakie ćwierć wieku, nasza narodowość w tym kraju, której ilością szczycą się dziś wszyscy — przy każdej sposobności, a zwłaszcza mający w tem interes, zmaleje do połowy lub jeszcze więcej.

Dość bowiem pójść i popatrzeć na życie Polaków tu wychowanych i z małymi tylko wyjątkami poznać można, że nasze młode pokolenie jest na kompletnej drodze do wynarodowienia. W każdym niemal domu takim, języka polskiego nie usłyszy się wcale, albo jeżeli go się usłyszy, to w taki sposób, że po prostu uszy bolą słuchać. Osobnik taki nietylko, że po polsku rozmawiać nie chce wcale, ale także wstydzi się swego polskiego nazwiska, nazwiska tego, które mu ojciec w spuściźnie zostawił, a przybiera sobie amerykańskie: Smitha, Browna, Jonesa lub Millera..

A że powyższe słowa są prawdziwe, o tem chyba nikt nie wątpi i sam nawet raz widziałem na własne oczy, jak taki wielki Amerykanin, który prawie że nie potrafi dwóch zdań po angielsku poprawnie powiedzieć, idąc z rodzicem swoim do miasta, nie chciał z nim iść inaczej, tylko oddzielnie, po drugiej stronie ulicy. A takich przykładów, gdzie córka wstydzi się matki, li tylko dla przypodobania się jakiemuś subjektowi i nie odpowiada w języku polskim; są setki. I położenie takie wzrasta z każdym dniem, a nikt temu nie przeciwdziała.

Odpowie mi niejeden, że przecież są szkoły polskie, są towarzystwa polskie, są kościoły polskie, których właśnie obowiązkiem jest czuwanie nad tem, ażeby młodzież nasza nie amerykanizowała się, lecz ćwiczyła w języku swoim ojczystym. Prawda jest, że rodzice łożą na utrzymanie powyższych właśnie w tej myśli, że one to zrobią z ich dzieci dobrych i prawdziwych Polaków, lecz dopiero, gdy dzieci te dojdą do pełnoletności i gdy rozpoczną życie na swoją rękę, bez ich opieki, rodzice przekonują się, iż był to grosz wydany na próżno, albowiem, cel, dla którego odejmowano sobie od ust, a dawano na kształcenie się w polskim języku, chybił zupełnie.

Przedewszystkiem, nawet mówić po polsku dziecko takie, nie potrafi inaczej, jak tylko robiąc w każdem zdaniu tyle błędów, ile jest słów, nie mówiąc wcale już o nauce historyi polskiej i innych naukach.

Ale tu właśnie winy całej kłaść na same szkoły nie można albowiem największą szkołą języka ojczystego jest właśnie dom, najlepszą nauczycielką matka Polka, czego dowodem może być zabór pruski, gdzie pomimo że Polakom nie wolno uczyć się po polsku, każdy po polsku mówi i po polsku czuje. A tu właśnie, gdzie mamy swobodę języka, ojciec lub matka uważa się bardzo szczęśliwą, jeżeli może powiedzieć swemu synowi: "Dziek go tu buczer and giw mi funt kiełbasa", nie mówiąc już o "meckach" o "pajpie", o "barnie, kornie, strycie, kieksach, hauzie," i innych podobnych kwiatkach.

Jakże taka matka może spodziewać się, że jej syn ją kiedyś uszanuje, że odpowiadać jej będzie językiem tym, który ona otrzymała w spuściźnie po swoich rodzicach. Kto jej da gwarancyę, że po takich początkach syn jej, nie wyprze się jej i na starość nie da jej przytułku u siebie, bojąc się, ażeby czasem nie zaraziła polskością jego domu".

• • •

W powiecie Luzerne, w Pennsylvanii, gdzie tygodniowe pismo "Górnik" bardzo dobrze w ostatnich czasach redagowane usiłował skupić Polaków i wszystkie polskie Towarzystwa w jednej organizacyi, zwyciężyli, jak się "Górnik" wyraża "szermierze patryotycznej blagi", "bohaterowie okolicznościowych obchodów"' i — 'jednodniowi bosowie wyborczy'. Z goryczą pisze o tem wspomniana gazeta i tak mówi:

"Naszym powiatowym wielkościom pospieszamy ofiarować radosną wiadomość, że groźna dla nich mara polskiej organizacyi politycznej na powiat Luzerne — pozostała jeszcze nadal marą, gdyż na niedzielnym wiecu projekt nie mógł być dyskutowanym z powodu braku obywateli z kilku miejscowości.

Jawiło się na sali 31 mężów zaufania, na kilkadziesiąt tutejszych Polaków stanowczo za mało. Reprezentowane były miasta Wilkes Barre, Kingston Edwardsville, Nanticoke, Plymouth i Duryea, z innych osad nikt się nie jawił i na razie sprawa pozostała w fazie projektu.

Taki rezultat nie był niespodzianką dla nikogo, kto zna względy i względziki nurtujące wśród naszej emigracyi, nie był on niespodzianką dla nas, którzy patrzymy na tutejsze życie i którzyśmy wiedzieli, że przeciw takiemu projektowi wystąpi solidarnie wszystko, co jest między nami samolubstwa, indolencyi i dobrze zrozumianej obrony długoletniej hegemonii na tutejszem polu pracy narodowej. Podali sobie zgodne dłonie do "ostrzeżenia" narodu przed nową drogą doświadczeni jego przodownicy, szermierze patryotycznej blagi bohateroiwe okolicznościowych obchodów, jednodniowi bosowie wyborczy, oświali w kilkunastoletniej "służbie" publicznej mężowie opatrznościowi, słowem wszystkie nasze wielkości, których powaga zbudowana na biernej apatyi narodu słusznie się boi bankructwa z chwilą uświadomienia ludu o nowych drogach i nowych celach.

Na wieść o projekcie zorganizowania powiatu zaroiło się to wszystko, a gdy dowcipna agitacya znalazła jeszcze sprzymierzeńca w naturalnej ospałości naszego ludu, gdy chodzi o rzecz ogólną, nic dziwnego, że nowa myśl kilku ludzi musiała się na razie cofnąć od ucieleśnienia — w zakres dalszych prac przygotowawczych.

Lecz chwilowy tryumf dyplomowanych "latami służby" gasicieli ducha, niechże nie daje im pewności, że nowy wolny głos, wzywający lud do czynu i do zerwania z senną rzeczywistością, zamarł już bez echa.

Wielkościom naszym na gwiazdkę musimy przypomnieć że nie darmo pismo nasze nosi nazwę "Górnik" Nie łatwo nam wytrącić broń z ręki, tę broń górniczą, kilof, służący do rozbijania opoki i torowania nowych dróg.

Jużeśmy raz weszli na twarde tory, jużeśmy bezpowrotnie zerwali z waszą tradycyjną "pracą", więc w trudzie nie ustajemy. Kilofem, po górnicku zabierzemy się do skały samolubstwa, pyszałkostwa i opalstwa, krzepko uderzymy w martwe bryły apatyi, skruszymy ów tradycyjny mur małostkowości i dzielnicowego patryotyzmu, którym od lat tylu odgrodzono lud nasz od prawdziwej narodowej pracy.

Po górnicku, wytrwale, zwolna, ale ciągle kroczyć będziemy ciemnotę i ospałość ogółu, oraz egoizm i złą wolę jednostek. I wykujemy w tej nieczułej, niewdzięcznej, zimnej skale — pomimo opozycyi i agitacyi naszych "wielkich" wykujemy kiedyś drogę nową, do światła i przyszłości".

"Górnikowi" z całego serca życzymy ażeby wytrwał istotnie, a takich jak on będzie z każdym rokiem, miesiącem i dniem coraz więcej i więcej, aż droga nowa zajaśnieje światłem wielkiem, która wszystkie mroki rozpruszy.

POLONIA PARAŃSKA.

Ze zdumieniem przyjęła kolonia parańska wieści zamieszczone w gazetach galicyjskich, poznańskich i Królestwa Polskiego o "polskim stanie" Missoes w Brazylii. Kiedy jednak wieść, zamiast zniknąć bez śladu, zaczęła potężnieć, urastać do rozmiarów olbrzymich, kiedy "polski stan" zamienił się w "polską republikę" z mitycznym panem Stamborskim, jako prezydentowi na czele, pierwotne zdumienie ustąpiło rozgoryczeniu. Tu w Paranie nie ma komu, zająć się oświatą, handlem, przemysłem, a tam w Polsce może przygotowują się do wysłania kandydatów na pp. ministrów, radców i innych mężów stanu.

Cała zaś sprawa miała się tak: Między dwoma sąsiednimi stanami, Paraną i Santa-Kataryną istnieje już od dawna spór o terytoryum wielkości 60 tys. klm. kw. Terytoryum to zawsze należało do Parany i bezwarunkowo słuszność jest po jej stronie. Lecz Santa-Kataryna prowadzi więcej energiczną akcyę w sądach federalnych i wskutek tego sądy te stale wydają wyroki na korzyść Santa-Kataryny. Po ogłoszeniu jednego z takich wyroków w grudniu roku zeszłego mieszkańcy spornego terytoryum postanowili stworzyć odrębny stan "Missoes". Wszystko skończyło się na postanowieniu, gdyż rząd federalny nie zatwierdził nowego stanu, a mieszkańcy "Missoes" nawet palcem nie kiwnęli dla urzeczywistnienia swych postanowień drogą rewolucyi, jak to zrobiło terytoryum Acre.

Pomijając już faktyczny przebieg ogłoszenia "stanu Missoes", nie ma żadnych danych dla twierdzeń o polskim charakterze spornego terytoryum. Ludność ogólna stanu "Missoes" wynosi około 100 tysięcy, z czego na ludność polską i rusińską razem przypada 10, a najwyżej 12 tysięcy.

Do polskiego stanu daleko, nieprawdaż? Rezultatem zaś tych baji były artykuły w prasie brazylijskiej, wskazujące na niebezpieczeństwo polskie i cele Polaków w Brazylii.

Cała ta historya z "polskim stanem" najlepiej określa stosunek społeczeństwa polskiego do wychodźtwa w Brazylii, stosunek polegający na absolutnej nieznajomości warunków życia wychodźtwa.

Raz się pisze o "polskiem państwie" i znajduje się same światłe strony w życiu Polonii parańskiej, innym razem wraz z okólnikiem ministeryum austryackiego spraw wewnętrznych przedstawia się już wszystko w barwach możliwie czarnych. Naturalnie z jednakową prawdą, jak za pierwszym, tak i za drugim razem.

"Po przyjeździe do Brazylii są jednak emigranci w wielu wypadkach narażeni na największą nędzę i tylko **rzadko znajdą lichy byt** głosi okólnik austryackiego ministerstwa spraw wewnętrznych, jakoby w całej Brazylii istniały jednakowe warunki bytu.

Brazylia posiada 8,337,218 kilometrów kwadratowych przestrzeni, tj. prawie tyle, co Europa. I jak błędnem byłoby według Archangielska przy morzu Białem lub Gibraltaru sądzić o całej Europie, tak również błędnem jest wydawać sąd o całej Brazylii na podstawie znajomości jednego miasta lub stanu.

Przedewszystkiem Brazylia pod względem klimatycznym, jak również pod względem bytu materyalnego i poszanowania praw, da się podzielić na dwie części północną i południową.

Północna Brazylia położona po obu stronach równika w basenie największej rzeki świata Amazonki posiada klimat bardzo gorący, często niezdrowy i prawie zawsze niemożliwy dla Europejczyka. Południowa zaś część Brazylii ma klimat umiarkowany, zbliżony do klimatu południowej Europy.

W południowej też Brazylii znajduje się jeden z dwudziestu 'Zjednoczonych Stanów Brazylii" Parana, który nas najwięcej interesuje ze względu na znaczne skupienie tamże ludności polskiej. Parana posiada obszaru 227 tysięcy kilometrów kwadratowych i 360 tysięcy mieszkańców. Z tego na Polaków wypada 80-90 tysięcy tj. około 25 procent.

Nawet stan Parana, nie mówiąc już o Brazylii, pod względem zdrowotnym dzieli się na dwie części, na wązki pas nadbrzeżny, niziny i niezdrowy, stanowiący jaką 10 część Parany i płaskowzgórze parańskie wysokości 1.000 metrów po nad poziom morza z klimatem bardzo zdrowym i z powietrzem, zawierającym dużo ozotu. Śmiertelność w Paranie minimalna. Rodziny z 12 dzieci na porządku dziennym.

Fizycznie też ludność polska w Paranie jest tęższa od ludności galicyjskiej lub Królestwa.

Na to wpływa oprócz klimatu także dobry stan materyalny kolonistów polskich. I tutaj okólnik austryackiego ministeryum, mówiąc o nędznym bycie kolonistów, mija się z prawdą. W całej Paranie nie znajdziemy zupełnie bezrolnych. Przeciętna wielkość gospodarstwa wynosi 50 morgów polskich. Często też można spotkać gospodarstwo o 200, 300 i 400 morgach. Mający po 15 lub 20 morgów, są powszechnie uważani za biednych.

Wszyscy ci koloniści dorobili się majątku li tylko pracą na roli. Do Parany zaś przyjechali z niczem, mając zaledwie dwoje rąk do pracy i nic więcej. Proszę wskazać coś podobnego tutaj. Śmiało można powiedzieć że kolonista polski Paranę stworzył. Do jego przyjścia, był to kraj pokryty dziewiczemi li tylko lasami lub stepami, w których gdzieniegdzie siedział dziki "Kaboklo" [potomek dawniejszych portugalczyków zmieszanych z murzynami.] Kabokło często mając olbrzymie obszary zie-

[Dokończenie na następnej stronie.]

[Dokończenie z poprzedniej stronicy.]

mi, przymierał głodem, gdyż nie miał pojęcia o pracy twórczej, nie miał pojęcia o takich elementarnych rzeczach, jak pieczenie chleba, używanie wozu itd.

Z przyjściem chłopa polskiego w większości wypadków parobka z okolic Jasła i Gorlic, nie umiejącego ani pisać, ani czytać, lub Górnoślązaka, nie wiedzącego o swem polskiem pochodzeniu, obraz zupełnie się zmienia. Na miejscu pustyń i puszcz dziewiczych zjawiają się pola uprawne. Tam, gdzie dawniej było słychać tylko ryk jaguara lub pumy, dzisiaj rozlega się skrzyp wozów. Kaboklo sprzedaje powoli swe ziemie kolonistom polskim i przestaje przymierać głodem. Kurytyba, z nędznej dziury, o jakim tysiącu mieszkańców, chodzących boso lub w specyalnego rodzaju pantoflach skórzanych, staje się miastem, liczącem 40 tysięcy mieszkańców z milionowemi firmami, prowadzącemi handel z Europą.

Obecnie Kurytyba urządza tramwaje elektryczne, a mieszkańcy jej pod względem ubioru nie ustępują w niczem naszym elegantom, paradującym po ulicy Karola Ludwika we Lwowie.

Nie mówię tu już o oświetleniu elektrycznem i telefonach, bo takowe posiada nawet miasteczko Araukarja, liczące paręset mieszkańców.

Praca więc naszego kolonisty wydała hojne rezultaty, musiała wydać, ponieważ Parana posiada glebę bogatą i niewyjałowioną, a przeważnie glinkowatą i czarnoziem.

Przytem klimat ciepły i znaczna ilość opadów atmosferycznych robią Paranę krajem błogosławionym dla rolnictwa. Przy tych warunkach rośnie wszystko: żyto, owies, jęczmień, pszenica, groch itd., niektóre rośliny dają kilka zbiorów do roku, np. tatarka, kartofle 2, a kapustę można sadzić cały okrągły rok.

Ponadto w Paranie wspaniale udają się pomarańcze, brzoskwinie, winogrona i inne rośliny, odpowiadające ciepłemu klimatowi.

Ze zbóż miejscowych najwięcej sieją kukurydzy, która daje 200 ziarn i wogóle najlepiej się opłaca, czarną fasolę, pożywniejszą i smaczniejszą od białej. Posiada Parana także swoją odmianę kartofli, mianowicie bataty słodkie, dające olbrzymie plony i zwłaszcza dobre na wypas dla świń.

Słynie też Parana ze swej herbaty, zwanej herwa-mate, której dostarcza rocznie na kilkanaście milionów.

Zmianie w położeniu materyalnem byłego parobka prawie zawsze towarzyszy zmiana niemniej doniosła w psychice. Taki nieświadomy pionier kultury polskiej w dziewiczych lasach Parany widzi, jak ten cudnie piękny kraj, dziki kraj zmienia się pod jego twórczą dłonią, widzi, że tubylec, siedząc wieki na tej ziemi nic nie zrobił, a on w ciągu 4 dziesiątków lat kulturę stworzył, zmógł lasy dziewicze, zwierzęta dzikie i brak środków komunikacyjnych.

Pierwsza polska kolonia Pilarzinja została założona 1870 roku.

Nabiera on wobec tego więcej poczucia, godności i dumy, poczucia zwycięzcy. Nieraz w Araukaryjskiem [w Paranie] na zebraniach towarzystw, które są w każdej kolonii, słyszałem wygłaszane przez kolonistów zdania, porównywujące swoje czyny z czynami swoich przodków za czasów Piasta.

Dzisiejszy kolonista, przychodząc do Parany, korzysta z wielu udogodnień, o jakich dawniejszy nie miał pojęcia. Np. dzisiaj są do rozporządzenie drogi żelazne i kołowe, lecz o tem, jak również o warunkach politycznych i oświatowych wśród wychodźtwa polskiego w Paranie innym razem.

Michał Pankiewicz.

ŚWIAT ZAGADEK.

Istnieje świat zjawisk dziwnych niepojętych z dziedziny telepatyi, z któremi rzecz się ma dość osobliwie.

Znaczna większość oświeconego ogółu nie wierzy w te brednie, uważając, że wszelkie badania naukowe nie byłyby na miejscu w danym razie, inni znów wierząc bezkrytycznie w te dziwy, kontentują się wiarą. I tylko tu i ówdzie od czasu do czasu, jakby wstydliwie budzi się żywsze zainteresowanie wśród ludzi wiedzy, kiedy rozgłośne medium rzuci garść zagadek do rozwiązania, wyjaśnienia. Często nauka dość często załatwia się z tą sprawą, stwierdzając po prostu, że medium oszukuje—w złej lub dobrej wierze, że bałamuci ogół i że objawy przeważnie wkraczają w dziedzinę białej i czarnej czy też innego koloru magii.

Czasami jednak fakty tak oczywiście, tak jaskrawo napraszają się o naukowe ich badanie, w tych wypadkach, gdzie kuglarstwo lub oszustwo zdaje się być wykluczonem.

Kilka takich faktów może każdy sceptyk teraz zebrać nie na specyelnem zebraniu o nastroju pełnym skupienia i mistycyzmu, ale w berlińskim teatrze Apollo, gdzie obecnie produkuje się Bellini, budząc zdumienie swoją umiejętnością odczytywania myśli.

Kilka przykładów.

Pewien pan pomyślał, aby Bellini wyjął jego sąsiadowi z portmonetki 20 markową monetę, zmienił ją w bufecie i dwom damom wręczył po 10 marek.

Zadanie to w celu kontroli opowiedział kilku osobom. Bellini bierze daną osobę za rękę i trzymając silnie dłoń w dłoni, lewą ręką uderza się dość energicznie w czoło; w jednej chwili przeistacza się; oczy nabierają wyrazu błędnego, i zdaje się, że nic nie widzą, oddech i tętno przyśpieszone.

O ile dany osobnik potrafi swe myśli skoncentrować i zadanie swe w myśli rozłoży na cały szereg pojedyńczych, poszczególnych funkcyi, doświadczenie zawsze udaje się.

Z chwilą, kiedy myśli danej osoby plączą się, Bellini budzi się, jak gdyby chaos myślowy wytrącał go z równowagi.

Doświadczenie powyższe udało się w zupełności.

Każdy chciałby osobiście przekonać się, czy aby nie ma w tem współpracownictwa zamaskowanego.

I ja należałem do rzędu sceptyków — pisze korep. "Nowej Gazety".

Postawiłem więc w myśli zadanie następujące: Bellini winien 3 przeze mnie upatrzone osoby wprowadzić na podjum, jednemu panu wyjąć zegarek i nastawić na odpowiednią godzinę.

Zadanie wykonał z zadziwiającą dokładnością, nie omyliwszy się więcej, niż o pół minuty.

Wprawdzie "obudził się" w pewnej chwili, mianowicie, kiedy myślałem o tem, aby przesunął wskazówki na godzinę pierwszą — zamiast myśleć podług następujących kolejno funkcyi: przesuwać naprzód i w danej chwili pomyśleć "stój". Po wyjaśnieniu tego błędu, eksperyment się udał.

Zaznaczyć muszę, że podczas nastawiania zegarka Bellini puścił moją rękę tak, że o żadnem fizycznem, bezpośredniem odczuwaniu drgnień — mowy niema.

Mógłbym przytoczyć jeszcze cały szereg doświadczeń, jak np. odnalezienie na pomyślanej stronnicy pewnego słowa i wybranie poszczególnych liter itp., ale i tych przykładów starczy, aby przekonać się, że można bezpośrednio odczytywać myśli innej osoby, o ile myśli te tyczą się wykonania pewnych funkcyi z osobą, lub osobami trzecimi.

Bellini ze swą osobą, lub z osobą stawiającego zadanie nie wykonywa żadnych doświadczeń; a więc skoro postawiłem zadanie, aby przyprowadzić pewną osobę i aby ręką tej osoby wyjął mój notes z kieszeni — obudził się, twierdząc, że moja i jego osoba winny być wykluczone.

Zanim nauka zechce poważnie zająć się temi dziwnemi zjawiskami, które zdają się wykraczać ponad wszelki rozum, należy zebrać jak największą ilość faktów.

W wieku lat elektrycznych, kiedy z odległości tysięcy kilometrów ludzie swobodnie mogą rozmawiać ze sobą, fakt odczytywania bezpośredniego myśli osoby, stojącej w pobliżu, może wydać się jeszcze niepojętym, ale nie możemy faktu tego negować i nie możemy się... nie dziwić, że ludzie wiedzy tak niechętnie tę dziedzinę zjawisk traktują. Dla psychologa, neurologa, a może i może i dla fizyka dziedzina ta niezawodnie da obszerne pole do badań.

ZŁOTE WESELE.

Zamieszkali przed sześciu czy siedmiu laty na ulicy Lafantaine w Paryżu. Nikt nie wiedział, ani skąd przybyli, ani jakiej są narodowości. Nazwisko ich, Walter, miało charakter kosmopolityczny i nie zdradzało pochodzenia małżonków. Ciekawi mieszkańcy spokojnej dzielnicy Lafantaine, gdzie podobnie jak na prowincyi, trochę plotkowano, zajmowali się nimi bardzo.

Dwa razy na dzień o jedenastej rano i szóstej wieczorem widziano p. Waltera, wychodzącego i wracającego z hygienicznej przechadzki krokiem lekkim pomimo siedemdziesięciu pięciu lat, prostego jak struna, o twarzy świeżej — sztuczna świeżość zakonserwowanego jabłka. Ubrany zawsze starannie, piersi ozdobione jakimś cudzoziemskim orderem. W dni dżdżyste skracał spacer; wchodził do kawiarni, przeglądał dzienniki i zamieniał słów kilka z innymi gośćmi. Ton głosu miał p. Walter stanowczy, a akcent równie dyskretny, jak nazwisko, o niedostrzegalnych niemal niemieckich dźwiękach gardłowych, o twardych spółgłoskach angielskich, o lekkiej śpiewności rosyjskiej.

— Skąd on u dyabła pochodzi? — zapytywano się dokoła.

I powstały przeróżne przypuszczenia: napewno był to Niemiec, ukrywający swą narodowość... a może Anglik, który nie zdradzał się ze swoją, "bo nikomu nic do tego"... albo Rosyanin, otaczający się tajemnicą, przez wrodzone zamiłowanie do tajemnic...

Pani Walter wychodziła jedynie po sprawunki i nigdy nie gawędziła z kupcami. O kilka lat młodsza od męża, była bardziej niż on złamana wiekiem. Włosy miała zupełnie siwe, twarz pomarszczoną, postać przygarbioną, oczy napół zgasłe, a w ruchach i w wyrazie twarzy coś bolesnego, coś, co mają tylko kobiety zestarzałe w cierpieniach.

W gospodarstwie pomagała jej jedynie przychodnia służąca, Maryanna, i która zajmowała się tylko pokojami i grubszą robotą, bo pani Walter sama gotowała. Była to kuchnia mieszczańska, bardzo staranna, gdzie mieszały się potrawy przeróżnych krajów: risotto medyolańskie, kogucie grzebienie z truflami, carry angielskie kawałki baraniny, jak je jedzą w Konstantynopolu pod nazwą cheps-kebas, ser biały, sycylijski, jednem słowem kosmopolityczne potrawy, które znów nie zdradzały pochodzenia małżonków.

Z życia swych państwa i Maryanna nie wiele mogła wywnioskować. Razu jednego, wróciwszy po jakiś zapomniany przedmiot, usłyszała zirytowany głos pana Waltera, dochodzący z sali jadalnej. W kilka dni potem ponowiła próbę udanego wyjścia i powrotu pod jakimś pozorem i teraz znowu usłyszała gderliwy głos p. domu. Ale pani oznajmiła jej, że jeżeli jeszcze kiedy wróci do mieszkania poza swemi godzinami, utraci służbę.

Maryanna powstrzymała więc ciekawość. To jednak, na co codziennie patrzyła, utwierdzało ją w przekonaniu, że p. Walter był łakomy i wymagający i że żona jego skazywała się na wieczną samotność, aby ukryć przed obcymi ich domowe kłótnie.

To też Maryanna była bardzo zdziwiona, gdy dnia pewnego pani Walter rzekła do niej:

— Czy będziesz mogła pozostać jutro przez cały dzień, Maryanno? Muszę przygotować suty obiad i będę cię potrzebowała.

Maryanna, jakkolwiek wiedziała, że wszystkie jej pytania pozostaną bez odpowiedzi, uniesiona ciekawością zagadnęła:

— Pani będzie miała jutro gości?

Zamiast zgromić ją wzrokiem, nakazującym milczenie, pani Walter odrzekła spokojnie:

— Nie, ale obchodzimy jutro nasze złote wesele i urządzamy sobie małą ucztę... Tego dnia nie chciałabym wstawać od stołu podczas obiadu... Rozumiesz?...

Marianna zrozumiała. Jej prosty spryt wiejskiej dziewczyny, odgadł odrazu że musi w tem być jakaś tajemnica i że to złote wesele będzie oryginalnem.

* * *

Myśl złotego wesela wyszła naturalnie od p. Waltera. Dnia pewnego, po przykrych uwagach nad jakimś gulaszem, który nie był dosyć ostry, rzekł do żony:

— A propos, czy wiesz, że to niedługo 14-ty października?

Oddawna nie obchodziła żadnych rocznic; zaledwie wielkie święta: Wielkanoc, Boże Narodzenie i Nowy Rok zmieniały trochę jednostajność jej życia.

— A więc! — zapytała, nie rozumiejąc męża.

— Jakto, a więc?... Czyż ta data nic ci nie mówi?... Poznaję cię po tem: zarówno mało serca, jak rozumu... 14-ty października to rocznica naszego ślubu... Pięćdziesięcioletnia rocznica, moja droga... Złote wesele... Trzeba je dobrze uczcić, co?... Porządny obiadek, jak to tyś umiała robić za dobrych czasów z butelką szampana na deser... He, he!... To nas odmłodzi!...

Dobry obiadek z szampanem na deser, oto wszystko, co p. Walter widział w tej dacie, którą łakomstwo nagle mu przypomniało. Ponieważ nigdy nie zwracał uwagi na żonę, nie zauważył, że przybladła i nic już więcej nie jadła. Ze spokojem czekał 'wielkiego dnia'.

A pani Walter była wzburzona. Pięćdziesiąt lat. Boże, czy to możliwe? Przez lat pięćdziesiąt, przeciąg dwóch pokoleń, spełniała powolną ofiarę swego życia. Pięćdziesiąt lat starzała się, czekając codziennie jednego promyczka szczęścia lub serdeczności, i promyk ten nigdy nie zabłysnął. Przez lat pięćdziesiąt kiełkowały ciche buntownicze myśli i ginęły na dnie jej duszy.

Pięćdziesiąt lat temu, młoda, jasnowłosa, ładna, z rozwiniętą inteligencyą i sercem, kładła swe rękę w rękę tego człowieka... Stało się to daleko, gdzieś w południowej krainie, w dzień słoneczny, upalny, wśród śpiewu, śmiechu, wesela i tańca... Był młody, kochała go. Wierzyła mu. Przed nim piękna i łatwa przyszłość rozwierała błękitne horyzonty...

A rozczarowanie przyszło nazajutrz po ślubie, gdy w sercu tego, człowieka, które przybierała w najpiękniejsze cnoty, ujrzała wszechwładnie panujący potworny egoizm. Rozczarowanie rosło z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, po przez ruiny, w które wtrąciła ją przynależność do człowieka, wierzącego tylko w siebie; podczas podróży, gdy ją ciągnął z jednego końca świata w drugi, w niejednej ciężkiej żałobie, której on z nią nie dzielił, zręcznie odsuwając z drogi wszystkie przeszkody dla swych wygód.

A jednak mimo cierpień, przedłużających godziny, mimo to powolnie płynących, czas szedł ciągle tak, że życie niemal ukończone, nie zachowało już nic uroku w tej drobinie nieznanej przyszłości, którą miało odkryć; jedyną nadzieją była chyba tajemnica za grobem... Ale czyż i tej największej nadziei nie zniszczył jak wszystko inne, suchy egoizm tego człowieka? Czy nie zbrukał wiary temi samemi drwinami, któremi wyszydzał jej dziewczęce marzenia?...

A teraz, na tych ranach, nie szukając nawet jednego dobrego wspomnienia między umarłemi latami, odwracając oczy od tych, które mu zostały do przeżycia, jak na groźby przyszłości, zarządził dobry obiad z szampanem na deser...

Ach, ten obiad! Gdyby mógł być zemstą!... Gdybyż biedna kobieta mogła weń włożyć całą gorycz, całą truciznę, wypitą kropla po kropli!...

Gdybyż ten obiad mógł być ostatnim w ich wspólnem życiu!... Gdybyż nareszcie mogła znaleźć dosyć odwagi, dla ziszczenia projektu, tyle razy powziętego: zrzucić kajdany, odjechać, zostawić go samego... Gdyby chociaż ostatnie dni życia spędzić zdala od niego.

* * *

Czekając dobrego obiadku "jak to jego żona umiała robić" i jakie on lubiał, pan Walter był w dobrym humorze przez cały dzień swego złotego wesela. Co prawda jego dobry humor nie był więcej wart od złego, objawiał się żartami w złym smaku, kwaśnemi, gderliwemi, które podkreślał śmiech zgrzytający, jak zardzewiałe żelazo.

Trzy czy cztery razy podczas dnia powtarzał żonie w słowach, które uważał za dowcipne, że jej nigdy nie kochał, że dobrą było tylko do pilnowania garnków — i inne uprzejme rzeczy, które smagały jak brutalne obelgi. Jak zwykle odpowiadała mu tylko smutnem spojrzeniem, którego bolesnego wyrzutu nigdy nie rozumiał.

Nareszcie stary, ampirowy zegar, nie rozstający się z nimi nigdy nawet w podróżach i wybijający im smutne godziny życia, wydzwonił teraz szóstą. W tej chwili p. Walter wracając z hygienicznego spaceru z regularnością smakosza, czekającego na obiad, otworzył drzwi jadalni.

Stół nie był jeszcze nakryty!...

Na ten widok, grożący długiem opóźnieniem, p. Walter w jednej chwili zapłonął gniewem. Podniecony, z twarzą krwią nabiegłą gotów do wymyślania, popędził do kuchni. Stanął zdumiony, zastawszy tam Maryannę i w dodatku samą.

— A pani?

— Pani wyszła.

— Jakto wyszła?... Gdzie?... Co mówiła?...

— Pani mówiła, że dziś obiad będzie dopiero o siódmej...

— O siódmej!... Czekać godzinę!... Wyszła!... Dlaczego?...

Godzina ciągnęła się niewypowiedzianie długo. Pan Walter nigdy dotąd nie doznał takiej przeciwności. Przebiegał gabinet we wszystkich kierunkach, pracując nad tą nieprzeniknioną zagadką, dręczącą jego umysł: dla czego żona wyszła właśnie tego dnia, zmieniając obiadową porę.

Zagadka wciąż rosła. W końcu on, najmniej imaginacyjny z ludzi, zaczął obawiać się najnieprawdopodobniejszych rzeczy przyszło mu na myśl, że może żona dostała pomieszania zmysłów, i rozmyślał nad kłopotliwemi skutkami takiego wypadku.

Gdy zegar wybił siódmą, a wskazówka przesunęła się dalej, gabinet wydał się p. Walterowi za ciasny. Przebiegał wszystkie pokoje, otwierał i zamykał drzwi, liczył kroki, aby się trochę rozerwać i w końcu wszedł znowu do kuchni. Liczył na to, że Maryanna coś mu powie. Ale służąca milczała, patrząc na niego drwiąco, czego na szczęście nie zauważył. W końcu sam ją zagadnął:

— A więc pani już nie wróci?...

— Ach, zapomniałam panu powiedzieć... Pani kazała pana prosić, aby się nie niepokoił, jeżeli pani trochę się spóźni...

— T—rochę się spóźni!... Obiad będzie o godzinę później niż zwykle i oprócz tego jeszcze dwadzieścia minut po naznaczonej godzinie!... I ten obiad, weselny obiad, powierzyła służącej, której sposobu gotowania dotychczas nie znali!

— Co jest na obiad? — zapytał gniewnie.

— Pani nie kazała nic panu mówić, bo to niespodzianka... — odparła Maryanna ze złośliwym uśmiechem.

— Niespodzianka... To słowo wszystko wyświetliło: bezwątpienia żona poszła po coś doskonałego, rzadkiego, które przychodzi z daleka i dopiero południowym pociągiem, a więc nie mogła wcześniej sprowadzić... Dobra to jednak kobieta! I gniew jego utonął w tem chwilowem rozrzewnieniu, powiększającem jeszcze apetyt.

* * *

Nareszcie otworzyły się drzwi.

Weszła pani Walter, trochę blada, zdyszana, widocznie prędko wbiegła na czwarte piętro. Ale ręce puste niema niespodzianki!...

— Ach! Jesteś nareszcie! Już blisko ósma... Co to znaczy?

— Nic... wolałam dziś później jeść obiad... Możesz podawać Maryanno.

Przybrała wspaniałą minę zagniewanego despoty, ale niezwykły spokój odpowiedzi trochę go zmieszał.

Usiedli do stołu w milczeniu.

Maryanna przyniosła dymiącą wazę.

— Zupa z dyni!... Z dyni!... I ty wiesz, że ja jej nie cierpię!...

— Ja lubię ją bardzo, a nie jadłam przeszło od lat trzydziestu...

Powiedziała to tonem spokojnym, stanowczym, nie pozwalającym na przeczenie.

Zdumiony p. Walter patrzył na żonę, nie umiejąc znaleźć słowa odpowiedzi, podczas, gdy ona jadła powoli, z trudem przełykając kilka łyżeczek zupy.

— A teraz ryba!...

— Cóż to, ty drwisz sobie ze mnie!... Szczupak i jeszcze z holenderskim sosem!... Jakbyś nie wiedziała, że ja lubię tylko ryby morskie!...

— Ja lubię tylko ryby wód słodkich.

A jednak nie tknęła porcyi, nałożonej sobie na talerz. Zamyślonemi oczyma patrzała w próżnię, w tę wielką próżnię, która pochłonęła jej miłość i młodość, piękność i jej inteligencyę i siły, w próżnię tych pięćdziesięciu lat niewoli, która była całem jej życiem. Serce ma pełne nienawiści i gdy jej wzrok pada na męża oszołomionego, upokorzonego i zdjętego jakąś niejasną obawą, cieszy się tym dziecinnym figlem, który jest jedynym jej buntem i zemstą.

Maryanna przyniosła zajęczy comber.

Teraz p. Walter wybuchnął.

— Ależ to kpiny!... Wyszukałaś wszystkie potrawy, których ja nieznoszę!...

— Wszystkie, które ja lubię...

— Możnaby pomyśleć, że zrobiłaś to umyślnie...

— Nareszcie to spostrzegłeś?... Tak, zrobiłam to umyślnie...

P. Walter staje z twarzą skurczoną gniewem. Z podniesioną pięścią. A ona powtarza bezdźwięcznym głosem:

— Tak, zrobiłam to umyślnie...

Bunt ten i spokoj wydają mu się czemś tak nadzwyczajnem, że siada, pokonany, przerażony.

— No, wytłomacz mi, ja nic nie rozumiem — mówi. — Czyś ty zwaryowała?... Czy wiesz co mówisz?... Przecież to moje złote wesele!...

— Moje także niestety! Nie zwaryowałam, o nie... A jeżeli chcesz wiedzieć, co sobie myślałam, to ci powiem... Przez lat pięćdziesiąt giąłeś mnie przed każdym swym kaprysem, narzucałeś mi swą wolę, nigdy nie przypuszczając, że ja mogę mieć własne myśli, własne uczucia, które ty ranisz... Przez lat pięćdziesiąt byłam twoją niewolnicą... A więc chciałam, abyś ty był moim niewolnikiem przez godzinę i tylko w najmniejszych drobiazgach życia... Potem odzyskasz wolność, a ja nałożę znowu kajdany... Chciałam je zrzucić zupełnie, zostawić cię samego... Nie mogłam, jestem za starą, bałabym się... Rozumiesz teraz?...

Drżała całym ciałem i wzrokiem błagała już łaski, za swe zuchwalstwo. Twarz p. Waltera rozjaśniała się: a więc to tylko to!... Przemijający kryzys, który nie potrwa długo, a nawet odczuwał, że już przeminął, że może się gniewać, gderać, krzyczeć i żona będzie go przepraszała. I po raz pierwszy w życiu, zapewne z powodu zmęczenia nerwów, napiętych przed chwilą niejasną obawą okazał się wspaniałomyślnym. Uśmiechnął się niemal z dobrocią i mruknął, wzruszając ramionami:

— Kobiety są zawsze kobietami!

Kilka łez potoczyło się z oczu pani Walter na pusty talerz. Otarła oczy i patrzała spokojnie.

— Czy podać dalsze potrawy?... Jest coś, co cię nie rozgniewa... Pasztet z kaczki...

Oczy pana Waltera rozweseliły się zupełnie.

— Kaczki z Amiens?... — zapytał.

A otrzymawszy znak twierdzący dodał:

— Odebrałaś mi apetyt... ale to wróci... myślę... A o szampanie nie zapomniałaś?...

— Nie, jest tu zamrożony...

Oblicze starego łakomcy rozjaśnia się zupełnie.

— Mrożony! — zawołał radośnie. — Teraz cię poznaję!... Nie mam już pretensyi i przebaczam ci wszystko!...

Edward Rod.

Zadanie Józia.

Na zadany w szkole temat: "Opisać woła i krowę" przyniósł mały Józio następujące wypracowanie domowe.

"Wół należy do zwierząt domowych, jak gęś, kura, kucharka, gołąb, pies i stróż. Wół rozpada się na trzy główne części, a mianowicie: głowa, tułów i ogon, który jest zakończeniem woła. Między głową, a ogonem mieści się właściwy wół, który nietylko tak się nazywa, ale jest rzeczywistym wołem i jest bardzo ceniony w najlepszych kołach. Także jest wół przedmiotem rozmów, a nawet debat politycznych w parlamencie, ponieważ wół staje się coraz droższy. Wogóle o wołach mówi się wszędzie, że woły odgrywają wielką rolę w naszem życiu codziennem i politycznem. Jak każde stworzenie i jak człowiek, ma wół głowę i rogi, które mu wyrastają dopiero wtedy, gdy jest starszy. Wół ma cztery nogi, które są przyczepione do wszystkich czterech końców woła z wyjątkiem piątego końca, do którego przymocowany jest ogon.

Jak długo wół jest dzieckiem i nie ma jeszcze rozumu, nazywa się cielęciem. Potem staje się powoli wołem, ale mimo to nie ma rozumu dlatego, że jest wołem. Ale wół jest mądrem stworzeniem, bo się nigdy nie żeni. Jak długo wół jest dziecinny, mięso jego jest jeszcze droższe, tak samo, jak u ludzi, i nazywa się cielęcina, która jest bardzo zdrowa, jeżeli jest świeża.

Gdy cielę jest rodzaju żeńskiego nazywa się jałówką i wychowuje się na krowę. Ponieważ wół nie daje mleka, więc musi być krowa, która daje mleko, chyba, że dużo ryczy. Zresztą krowa nie różni się niczem od woła, chyba wyglądem. Krowa rozpada się na te same części, co wół, i także sprzedaje drogie mięso, bo jest równouprawniona. Krowa jest stworzeniem bardzo użytecznem, jeżeli daje dużo mleka dobrego. Ale czasem krowa daje mleko tak rozwodnione, jakby ją wydojono przez pomyłkę z odwrotnej strony, tj. z gęby.

Krowa oprócz mleka daje nam masło, ser, ser szwajcarski, rokfordzki, ementalski i śmietanę, czego o wołę nie można powiedzieć. Dlatego krowa jest jeszcze pożyteczniejszą, niż wół i cielę, i zawdzięczamy jej wiele zdrowia, ponieważ wszystko bez wyjątku, co krowa ze siebie daje, jest smaczne i zdrowe. Jeżeli krowa nie jest uczciwą, to zamiast masła daje margarynę albo kunerol.

Z tego wszystkiego widać, że wół i krowa należą do najpożyteczniejszych zwierząt domowych i można z nich ciągnąć wiele korzyści, jeżeli się je ma."

Przeciw nadużyciom kobiet.

Znany psycholog amerykański, dr. Maks Baff, profesor Clark University, ogłosił w "American Magazine" ostrą krytykę kobiet, która w prasie amerykańskiej stała się przedmiotem licznych komentarzy.

"Jak nazwalibyśmy mężczyznę — pisze profesor Baff — któryby zdobić się począł piórami, twarz swą pokrywał pudrem i farbami, obwieszał się świecącemi kamyczkami, a na ubranie dobierał materyi o wszystkich barwach tęczy? Cóżbyśmy powiedzieli o takim mężczyźnie, gdyby ukazał się nagle na ulicach którego z wielkich miast? Czy przyszłoby nam do głowy wziąć go za człowieka kulturalnego o równym nam poziomie umysłowym, czy też raczej nie poczytywalibyśmy go za znacznie od nas niżej stojącego, obcego cywilizacyi, barbarzyńcę?"

"Amerykańska i Angielska, Paryżanka i Włoszka, Szwedka i Niemka — słowem wszystkie kobiety objawiają charakterystyczne znamiona pierwotności naszych przodków z okresu przedcywilizacyjnego. W Paryżu modne damy noszą obecnie słowiki i skowronki na kapeluszach, a ubrania a la Chantecler kobiety światowej rażąco przypomina pomysły dekoracyjne czerwonoskórego wojownika indyjskiego. Pióra i barwy, malowanie twarzy samo przez się wystarczyłoby już objektywnemu historykowi; dodajmy do tego popęd do zdobienia się kamieniami i przyborami ze świecących metali, które dziś stanowią nieodzowne dopełnienie kobiecego kostjumu. Wszystko to jest objawem stałego skupienia władz umysłowych tylko na strojność zewnętrzną, co niewątpliwie wpłynęło na powstrzymanie rozwoju umysłowego i kulturalnego kobiet. Dziki człowiek chętnie odda dobrego konia za kawałek sumy za stroje jaskrawe, niedorzeczne i nieestetyczne. Co niegdyś było przedmiotem ubóstwienia zabobonnych szczepów: węże i płazy, dziś jest ozdobą kostjumu współczesnej damy, która sądzi, że będzie miała więcej wdzięku, gdy się przystroi podobiznami tych zwierząt.

W dalszym ciągu profesor Baff wywodzi, że spostrzeżenia jego odnoszą się nietylko do zewnętrznych zjawisk, ale ogarniają także stronę duchową. "Psychologiczne cechy kobiety — pisze — jeszcze bardziej stanowczo stwierdzają jej niesamodzielność. Liczne badania wykazały, że w kobiecie pierwotne instynkty rasowe dłużej i silniej trwają, niż w mężczyźnie, i większą okazują odporność wobec czynników cywilizacyjnych. W życiu uczuciowem kobieta najczęściej nie wznosi się po nad sposób odczuwania człowieka pierwotnego albo dziecka; pożąda czegoś nie dlatego, by oceniała wartość rzeczy, ale dla tego, że kaprys jej tego wymaga. Przystępniejszą jest także niż mężczyzna na działanie suggestyi pod wszelką formą". Masowej suggestyi przypisuje nap. prof. Baff ruch sufrażystek, który w ostatnich czasach tak szerokie przybrał rozmiary. Histeryczna ta epidemia zniknie po kilku latach, gdyby jednak w ciągu tego czasu dano kobietom prawo wyborcze, większość po roku jużby przestała z niego korzystać. Zadość uczynić żądaniom sufrażystek byłoby najlepszem lekarstwem na tę epidemię.

Rozprawę swą prof. Baff kończy twierdzeniem, że nie należy z przytoczonych przez niego argumentów wyciągać wniosków, jakoby był zwolennikiem upośledzenia kobiety w życiu społecznem lub wyznawcą zasady, że jest ona mniej uzdolnioną do życia od mężczyzny. "Niedorzecznością byłoby twierdzić — nadmienia — jakoby jedna płeć stała wyżej d drugiej. Uzupełniają się one raczej i dopełniają wzajem. Wszystko, co przeciw kobietom pisałem, zwraca się tylko przeciw nadużyciom, jakie popełniają, nie przeciw nim samym."

Księżniczka socyalistką.

We Wrocławiu umarł niedawno znany lekarz tamtejszy, radca sanitarny dr. Willim. O pozostałą po nim wdowę, to jest o jej polityczne stanowisko, toczy się obecnie polemika w prasie niemieckiej. Willimowa jest z domu księżniczką wirtemberską. Poznała ona zmarłego męża swego przy łożu chorej swej matki na zamku Karlsruhe na Śląsku, dokąd przybył jako asystent prof. Birmera. Wkrótce też między nią, a młodym lekarzem wywiązał się stosunek miłosny, który zakończył się związkiem małżeńskim, zawartym wbrew opozycyi królewskiej rodziny wirtemberskiej. Księżniczka była wzorową małżonką i towarzyszką życia, a nadto zajmowała się żywo sprawami politycznemi i społecznemi, przyczem skłaniała się ku zasadom socyalno-demokratycznym. Pisma socyalistyczne twierdzą obecnie, że Willimowa jest rzeczywiście członkiem socyalistycznej organizacyi, czemu pisma konserwatywne przeczą. Faktem jest, że uczestniczyła ona, ubrana w czerwoną bluzkę, w ostatnim kongresie socyalistycznym we Wrocławiu i brała nawet udział w dyskusyi.

Klub samobójców.

W Moskwie wykryto klub samobójców. W niedzielę nieoczekiwanie pozbawił się życia znany w świecie handlowym pracownik Sokolow; w godzinę potem dokonała samobójstwa zamożna pani Gribowowa, a znów po godzinie milioner Tarasów. — Wszyscy troje byli członkami "klubu samobójców". Mówią o długim szeregu są spodziewane na dni następne. Członkami klubu jest wiele osób znanych w świecie zamożnym.



Przygotowania do koronacyi króla Jerzego.

Cały naród angielski przygotowuje się obecnie do uroczystości koronacyjnych króla Jerzego, które się odbyć mają za kilka miesięcy. Udział bezpośredni we zmą w uroczystości panowie Anglii i ich małżonki, występując w strojach starożytnych, obecnie odświeżanych. Na rycinie widzimy modystki zajęte odświeżaniem koron parowskich dla parów |większe| i dla ich małżonek |mniejsze|.

Telegramy Zagraniczne.

NIE BYŁO INSTRUKCYI...

Japończycy na Filipinach gniewają się.

MANILA. — Stosując się do tajnej instrukcyi, major generał Duvall, głównodowodzący armią Stan. Zjednoczonych na Filipinach, który się obecnie usuwa ze służby czynnej, nakazał agentom wojskowym wespół z policyą zrewidować sklepy i domy zamieszkałych tu Japończyków i szukać broni, amunicyi i materyałów wybuchowych.

Rewizya nie dała żadnego rezultatu ale wywołała oburzenie wśród miejscowych Japończyków.

WASZYNGTON, D. C., 28 grudnia. — Rząd zaprzecza, jakoby dawał jakiekolwiek instrukcye co do rewizyi gen. Duvallowi.

Rzecz też będzie załatwiona polubownie.

O MAŁY WŁOS...

Król Jerzy o mało co nie zastrzelony na polowaniu.

LONDYN. — W Windsone, podczas ostatniego polowania na bażanty król Jerzy V omal że nie został zastrzelony.

Polowano w pobliżu fermy Flemish, zapadał już zmierzch, gdy jeden z uczestników polowania dał jeszcze jeden strzał. Nabój przeleciał tak blisko głowy stojącego opodal króla, że kilka śrócin musnęło włosy Jerzego V. Ów strzał, który omal nie pozbawił życia króla, był ostatnim i polowanie przerwano. Król narazie, ażeby nie wzniecać niepotrzebnego popłochu, nic nie mówił o wypadku. Nieuważny strzelec jest dobrze znany królowi.

OLBRZYMI STRAJK.

90,000 kolejarzy włoskich ma rzucić pracę.

RZYM. — Przeszło 90,000 kolejarzy ukończyło już głosowanie nad kwestyą, co mają uczynić dla polepszenia swego położenia. Ogromną większością oświadczono się za tem, aby w tym celu zastrajkować i posługiwać się "sabotażem" we Francyi. Wyrażenie "Sabotage" służy do określenia zorganizowanych czynów gwałtu, jak naprzykład niszczenie nasypu albo innej własności pracodawcy, aby wszystko do stanu spoczynku doprowadzić. We Włoszech wyrażenie to będzie miało to znaczenie, że strajkierzy będą stawiali władzom trudności, przerywali komunikacyę kolejową z tą linią, na której strajk panuje.

Rząd dokłada starań, aby strajk zażegnać. Kolejarze żądają podwyżki w ogólnej sumie $8,000,000, a rząd im daje cztery miliony dolarów.

Cztery piąte kolei włoskich należy do rządu, jeśli więc zastrajkuje na nich 90 tysięcy funkcyonaryuszy, to cały kraj pogrążony zostanie w zastoju, który bardzo prędko stanie się ekonomiczną klęską, trudną do powetowania. Kolejarze są zorganizowani i gotowi, zapowiadają, że będą oni takie czynić trudności rządowi, iż ten nie znajdzie łamistrajków tak łatwo; gotowi oni będą nawet do walki...

"PRZEZ POMYŁKĘ."

Wicekonsul amerykański w Japonii pobity "przez pomyłkę".

TOKIO, Japonia. — Amerykański wicekonsul w Dorien |dawniej Dalny| p. Adolf A. Williamson został napadnięty przez dwóch Japończyków i jednego Chińczyka, obity trzcinami bambusowemi oraz skaleczony kawałem lodu w głowę. Pono napastnicy wzięli go za Moskala i kazali mu się wynosić z rynku, gdzie sprzedawano ryby. Gdy wicekonsul zaczął się im tłómaczyć, napadli go i wygrzmocili. Policyanci aresztowali dwóch napastników, a pobitego Williamsona zaprowadzono do konsulatu angielskiego, gdzie mu lekarz opatrzył rany. W godzinę później zjawiło się kilku wyższych urzędników japońskich w konsulacie, aby przeprosić znieważonego wicekonsula, lecz ten nie mógł ich przyjąć, gdyż jest za słaby. Uwiadomiono o tem władze w Waszyngtonie, lecz zdaje się nie będzie z tego międzynarodowych zawikłań, gdyż jak napastnicy się tłómaczą wzięli oni Amerykanina za Rosyanina i dla tego go pobili, bo nienawidzą Moskali, gorzej niż dzikich zwierząt...

Z FABRYK KRUPPA

Rozmiary fabryki ich wartość i zyski.

BERLIN. — Wtych dniach ogłoszony został bilans fabryki armat i płyt pancernych dla okrętów wojennych Kruppa w Essen. Daje on pojęcie o ogromnych rozmiarach tej fabryki i olbrzymich zyskach, jakie ono przynosi.

Otóż według najnowszego bilansu wartość realności i nieruchomości fabryk Kruppa oceniona teraz została na 209 milionów marek, wartość machin i narzędzi na 10,700,000 marek, a wartość materyałów i gotowych wyrobów na 147,400,000 marek. Na przedsiębiorstwie tem ciążą trzy pożyczki; pierwsza z nich, wynosząca pierwotnie 24,000,000 marek, umorzoną już została do 14,700,000 marek, druga, wynosząca pierwotnie 20 milionów, wynosi dziś już tylko 17 i pół miliona; z trzeciej, uchwalonej w wysokości 50 milionów, zaciągnięto do tej chwili dopiero 25 milionów. Te realne długi, ciążące na fabryce, wynoszą więc zaledwie 25 do 30 procent tej wartości.

Czystego zysku dostarczyło to przedsiębiorstwo w roku 1910 |od października 1909 do października 1910| ogółem 35,911,000 marek. Z tej kwoty wypłacono: na podatki 3,856,000 marek, na ubezpieczenie robotników 4,354,000 m., na cele humanitarne i cele dobra publicznego |głównie dla robotników| 5,482,000 marek, na procenty 781,000 m., do funduszu rezerwowego 1,063,000 m., do rezerwy nadzwyczajnej 1,000,000, na rzecz kasy pensyjnej |emerytalnej| dla urzędników 1,000,000 m., na tantyemy 210 000 m.—tak, że do podziału między właścicieli pozostało 10 milionów marek.

Ponieważ rada nadzorcza fabryki składa się już dziś tylko z czterech członków, przeto z 210,000 marek tantyemy otrzymał każdy z nich — za kilkadziesiąt godzin pracy w roku—53,000 marek.

Nadmienić jeszcze wypada, że zmarły przed kilku laty tragiczną śmiercią właściciel tej fabryki |syn jej założyciela| pozostawił tylko dwie córki. Starsza z nich i główna spadkobierczyni wyszła za mąż za byłego landrata pruskiego barona von Bohlen-Halbach, który, przybrawszy jeszcze nazwisko Krupp, stał się współwłaścicielem i głównym kierownikiem całego przedsiębiorstwa.

SUFRAŻYSTKI.

Nieco szczegółów z walki o prawo kobiet w Anglii. Znakomita organizacya.

LONDYN. — Ministrowie angielscy Asquith i Birrel przekonali się na swych grzbietach, że sufrażystki londyńskie posiadają spory zapas siły fizycznej. Posiadają one przecież jeszcze coś lepszego, niż siła fizyczna, mianowicie rozum, zmysł organizacyjny i doskonała znajomość angielskiej duszy narodowej. Te przymioty zapewniają im w walce o równouprawnienie polityczne niewątpliwie zwycięstwo.

Zmysłu organizacyjnego dowłodły sufrażystki angielskie, zakładając główną kwaterę londyńską w gmachu, zwanym Caxton-hall. Ów gmach ochrzczono nazwiskiem pierwszego drukarza angielskiego, który w tych okolicach Londynu XV wieku miał swoją oficynę drukarską, tak zasłużoną do piśmiennictwa angielskiego wieków średnich i początku ery nowożytnej. Caxton-hall leży stosunkowo blizko gmachu parlamentu i ulic Whitehall i Downing street, gdzie się mieszczą obok siebie niemal wszystkie najważniejsze ministerya i mieszkania urzędowe każdorazowych ministrów angielskich.

Sama Caxton-hall jest sporym gmachem, który mieści wielką halę zebrań, sale restauracyjne wraz z bufetem i pokoje, które służą na cele narad komitetu naczelnego i poszczególnych sekcyi obu lig kobiecych wojującego feminizmu, domagającego się dla obywatelki angielskiej czynnego i biernego prawa wyborczego. Sala wielkich wieców i zgromadzeń publicznych w Caxton-hall wygląda jak wiele innych hal londyńskich, służących na cele wieców i zgromadzeń publicznych. Wysoka, mająca kształt podłużnego prostokąta, posiada na wysokości pierwszego piętra galeryę, biegnącą wzdłuż wszystkich czterech ścian. U jednej z ścian krótszych wznosi się estrada dosyć szeroka tak, aby mogła pomieścić stół i fotele przewodniczących, stolik i krzesło dla każdorazowej mówczyni, niekiedy organy, fortepian i kilkanaście krzeseł, ustawionych rzędem dla dam, należących do komitetu. Tylna ściana zamykająca estradę, jest zdobną w sztandary, portyery, emblematy wojującego stronnictwa sufrażystek. Wśród tych emblematów często się powtarza podobizna bramy więzienia londyńskiego, w którem pierwsze sufrażystki w r. 1909 odsiadywały karę za opór, stawiany policyi. Parapet galeryi jest także udekorowany chorągwiami bez drzewców. Na tych chorągwiach widnieją nazwiska sufrażystek, które odsiadywały karę więzienną za stawianie oporu policyi podczas demonstracyi ulicznych.

Wogóle przywódczynie obozu sufrażystek podtrzymują w swoich zwolenniczkach ambicyę i odwagę, przedsiębiorczość i ochotę do poświęcenia się, zapał do męczeństwa i energię w przezwyciężaniu trudności z pomocą środków czysto wojskowych; każda sufrażystka która siedziała w więzieniu, nosi na piersiach specyalny order w postaci srebrnej broszki, komendantki poszczególnych oddziałów i agitatorki, wysyłane na trudne stanowiska, otrzymują wstęgi różnokolorowe, noszone przez lewe ramię do prawego boku. Każdy objaw gorliwości i odwagi bywa notowanym w rozkazie dziennym, a ten rozkaz dzienny czyta się publicznie na zgromadzeniach wśród oklasków słuchaczek.

Bliskość głównej kwatery sufrażystek pozwala kierującemu komitetowi każdej chwili nawet nocną porą rzucać na skwer przed parlamentem albo w ulice, pełne budynków rządowych, liczne i karne oddziały wojowniczek o równouprawnienie polityczne. Policya już od roku wie, że sufrażystki mogą niespodziewanie o każdej porze dnia i nocy pojawić się na placu boju. To też w gmachach ministeryalnych i w samym parlamencie od roku stoją załogą znaczne oddziały policyi pieszej, a nadto w niedalekiem głównym gmachu policyjnym przeprowadzono taką organizacyę, by móc rzucić na zagrożone miejsce od 250 do 300 policyantów.

Ponieważ koło gmachu parlamentu i w samym parlamencie pełnią służbę zazwyczaj jedni i ci sami policyanci, przeto między tymi ostatnimi i najwybitniejszymi sufrażystkami wywiązał się rodzaj szczególniejszej sympatyi: sufrażystki policzkują, drapią i kopią tych olbrzymów, co najmniej na sześć stóp wysokich, olbrzymy zaś uśmiechają się radośnie, gdy się w rozmowie z nimi wymienia nazwiska słynnych sufrażystek. Szczególniejszą popularnością cieszy się wśród policyantów londyńskich pani Pankhurst, przewodnicząca pierwszej wojującej organizacyi sufrażystek, mimo, że pani Pankhurst była tą, która przeszłego roku w czerwcu przed gmachem parlamentu spoliczkowała policyanta, zastępującego jej drogę na podwórze parlamentu.

Ruch sufrażystek angielskich jest głęboko politycznie i etycznie uzasadniony. Nie ulega też wątpliwości, że ostatecznie zwycięży.

NIEMCY GROŻĄ ARMIĄ.

BERLIN. — Pułkownik niemiecki Goedke, ekspert i pisarz wojskowy, oblicza, N i e m c y na wypadek wojny mogą wyprowadzić w pole i na morze przeciw nieprzyjacielowi 5,200,000 wyćwiczonych żołnierzy i marynarzy. Stanowi to 8 procent ogólnej liczby ludności w Niemczech. W roku bieżącym stało w Niemczech pod bronią 714,000 żołnierzy lądowych i marynarzy floty wojennej.

EMIGRUJĄ DO KANADY.

WINNIPEG, Man., Kanada. — Rządowe biuro emigracyjne w Kanadzie wykazuje, że w roku bieżącym przybyło do Kanady ogółem 350 tys. nowych osadników. Z tej liczby było 150,000 osadników ze Stanów Zjednoczonych.

MIESZKAŃCY WIEDNIA UCIEKAJĄ.

WIEDEŃ. — Wiedeńczycy różnych klas opuszczają miasto na przeciąg kilku dni, aby ujść zarządzonego ze strony miasta spisu ludności, z którym połączone jest zadawanie nieprzyjemnych pytań. Nietylko bowiem trzeba odpowiedzieć na pytania odnośne do wieku, pochodzenia, zajęcia i t. p., ale także na inne bardziej niedyskretnej natury. Na dobitek jeszcze złego, arkusze cenzusowe z zeznaniami i wyznaniami będą oddane zarządcom domów w celu potwierdzenia względów zaprzeczenia tego, co lokator o sobie opowiedział.

NAGRODY NOBLA.

Trzech nowych laureatów otrzymało nagrody.

SZTOKHOLM. — Po raz dziesiąty z rzędu odbyło się tu rozdawnictwo nagród z fundacyi Nobla. Trzech tylko laureatów stawiło się osobiście na tę uroczystość, mianowicie: prof. Kossel z Heidelberga, laureat z zakresu medycyny, prof. Wallach z Getyngi, laureat z chemii, oraz prof. Van der Waals z Amsterdamu, laureat z zakresu fizyki. Laureat z zakresu literatury, Paweł Heyse, musiał powstrzymać się od długiej podróży z powodu sędziwego wieku. Król Gustaw zjawiwszy się na tę uroczystość wraz z następcą tronu tudzież z innymi członkami domu królewskiego, powinszował laureatom i wręczył im przekazy na kwoty przyznane, dyplomy, oraz medale złote. Nagrodę, przyznaną Pawłowi Heysemu, doręczył król posłowi niemieckiemu przy dworze szwedzkim. Uroczystość zakończyła się ucztą, wydaną na cześć laureatów przez Akadamią. Na uczcie przewodniczył następca tronu szwedzkiego. Pierwotnego projektu zaproszenia wszystkich laureatów, dotychczas żyjących, na tę uroczystość, jako 10 lat od czasu istnienia fundacyi Nobla, zaniechano, w Akademii bowiem przeważyło zdanie, aby zaproszenia takie rozesłać dopiero na uroczystość 25 lecia fundacyi. Ograniczono się tylko do ogłoszenia drukiem listy dotychczasowych laureatów z wymienieniem ich zasług.

REWOLUCYA W HONDURAS.

Na czele amerykański awanturnik 1600 ludzi pod bronią.

NOWY ORLEAN, La. — Nadeszły tu wiadomości, że w Honduras wybuchła rewolucya, że na granicy hondursko-nikaraguańskiej toczy się walka.

Siły rewolucyonistów obliczają na 1600 ludzi; dowodzi niemi awanturnik amerykański, generał Lee Christmass. Pomiędzy powstańcami jest wielu Amerykanów. Zaopatrzeni są oni w żywność na dni 40. Rząd hondurski obawiając się ataku powstańców na Puer to Cortez, przewiózł stamtąd srebro wartości $55,000 do Ceiba.

Donoszą dalej, że powstańcy toczą zawzięte walki z wojskami rządowemi na południe od przylądka Gracias w Nikaragui, ale na terytoryum hondurskiem. Przypuszczają, że generał Bonilla Ceiba nie zechce puścić Christmassa w głąb kraju i stoczy z nim bój rozstrzygający około Puerto Cortez. Kanonierka "Hornet", uzbrojona w działa ciężkie, przybyła już do tego portu.

ZABÓJSTWO W WARSZAWIE.

WARSZAWA. — Grupa terrorystów czy też prostych bandytów weszła do pomieszkania zajmowanego przez piekarza nazwiskiem Bęben, i gdy mężczyzna ów jadł kolacyę, zabili go kilku wystrzałami z rewolwerów a żonę jego śmiertelnie poranili.

Policya otoczyła całą tę dzielnicę i dokonała aresztowania 40 osób, podejrzanych o współudział w zbrodni.

Czy to jest sprawka zemsty osobistej, czy też pobudkę do niej dały nieporozumienia robotnicze, na razie niewiadomo.

RÓŻNICA W LEKARSTWACH.

Zdrowie ludzkie jest drogocennem klejnotem, który wart jest wielkiej uwagi. Jest naszym obowiązkiem konserwować je a w razie, gdy choroba się zjawi, znaleźć najlepsze lekarstwa. Dobre rady będą dawane przez nas wszystkim przyjaciołom i sąsiadom. Pozwólcie dodać wam jeszcze jedną. Wynadźcie, co spowodowało chorobę, gdzie jaki ból jest, a wtedy wybierzcie lekarstwo zrobione naukowym sposobem przez najlepsze kombinacye w najczystszym laboratoryum. W chorobach organów trawienia macie tylko jeden wybór, to jest Amerykański Elixir Gorzkiego Wina, które spełnia sumiennie powyższe funkcye. Używajcie go z chwilą, gdy poczujecie brak apetytu, gdy lekka praca was męczy, przy zatwardzeniu, przy bólach głowy, nerwowości, braku snu, bólu krzyża, kolki i reumatycznych bólach. W aptekach. Jos. Triner 1333—1339 So. Ashland ave., Chicago, Ill.

Piękny kalendarz ścienny po otrzymaniu 10 centów w markach.

Nowy generalny agent na miasto Brooklyn, N. Y.

Niniejszem zawiadamiamy, iż p. John Milewski z pod nr. 120 Grant st. jest naszym generalnym agentem na miasto Brooklyn. Pan Milewski posiada kwity i upoważnienia do zbierania abonamentu na Gazetę Polską, Tygodnik Powieściowo-Naukowy i zbierania ogłoszeń, oraz ma na składzie książki naszego druku i nakładu i zaraz wydaje premie. Sprzedaje także gazety agentom na 'stendach.' Skład pana Milewskiego jest zaopatrzony w doborowy wybór książek powieściowych i do nabożeństwa, różańców itd.

Redakcya "Gazety Polskiej."

U rzeźnika.

Proszę o pół funta szynki, ale takiej, co słychać.

— Coo?

— Szynki co ją czuć...

— Czy masz bzika?

— Bo widzi pan — mój majster powiedział: jeżeli przyniesiesz niedobrą szynkę, to ją zjesz sam...

* * *

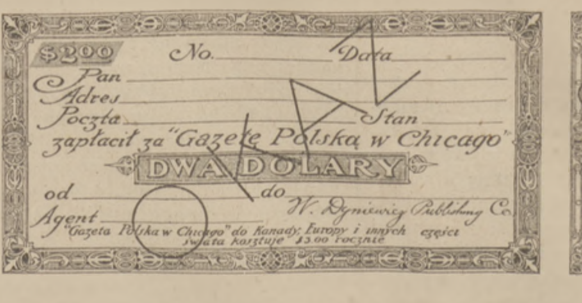
— Pijak jesteś nałogowy, mój Janie, ale powiedz mi, o czem ty myślisz, jak jesteś trzeźwy?

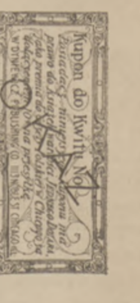
— A no... o tem, jakby się to upić.

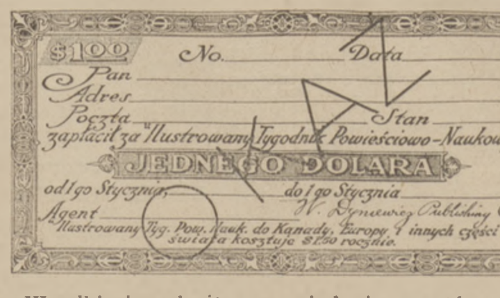
!!! OSTRZEŻENIE !!!

DO NASZYCH ABONENTÓW.

Niniejszem zawiadamiamy wszystkich Abonentów "Gazety Polskiej" i Ilustrowanego Tygodnika Powieściowo-Naukowego" tak nowych jak i starych, iż ci tylko agenci mają prawo do kolektowania prenumeraty na obydwa powyżej wymienione pisma, którzy posiadają kwity, których podobiznę w zmniejszenu podajemy poniżej.







Wszelkie inne kwity w posiadaniu agentów nie są ważne i firma nasza nie jest za nie odpowiedzialną.

W. DYNIEWICZ PUBLISHING CO.

Wiadomości z Polski.

Ziemie Polskie pod Moskalem.

O miliony ks. Ogińskiego.

W ciągu ostatnich dni do sądu handlowego w Petersburgu wpłynęło kilka pretensyi do zamkniętego w areszcie bohatera pamiętnych koncesyi na Jalu, W. N. Wonlarlarskiego, na ogólną sumę 70,000 rb. Zaczyna się wyjaśniać, że te sprawy wykryją masę niespodzianek charakteru kryminalnego. Zbliżające się ku końcowi śledztwo w sprawie testamentu ks. Ogińskiego wzbogacone zostało całym szeregiem pewnych dowodów tego, że osią całej tej afery był wyłącznie Wonlarlarskij-ojciec. Zebrano całą masę dowodów, wykazujących, że stan finansowy milionera Wonlarlarskiego - ojca ku końcowi roku 1905 znajdował się w zupełnej ruinie. Kredyt miał zupełnie zamknięty, a jednocześnie nie zmieniał zbytkownego trybu życia.

Według umowy pomiędzy D. W. Wonlarlarskim a ojcem ten ostatni miał otrzymać ze spadku po ks. Ogińskim 20 proc. plus sumę około 800.000 rubli na spłatę części długów. Wkrótce po zatwierdzeniu testamentu przed sąd Wonlarlarskij-ojciec usiłował las sprzedać, a gdy się to nie udało, sdyskontował w Towarzystwie kredytowem petersburskiego ziemstwa powiatowego weksel na sumę 15.000 rubli. Wiarogodni świadkowie twierdzą, że gdyby nie zatwierdzenie testamentu, Wonlarlarscy nie dostaliby pieniędzy.

Jak wiadomo, były sfabrykowane dwa testamenty. Na pierwszym był podpisany kapelan wojskowy ks. Pietkiewicz; ten jednak opamiętał się wkrótce i testamentu nie wydał pomimo presyi i intryg ze strony W. Historya drugiego testamentu z podpisem ks. Dąbrowskiego, jest ciekawsza. Aferzyści dobrze wiedzieli, że ekspertyza zwróci uwagę na niedawne pochodzenie testamentu i sfałszowanie podpisu ks. Ogińskiego. Dlatego obmyślono następującą sztuczkę, który pomysł jest całkowicie dziełem Wonlarlarskiego-ojca. Oryginał testamentu miał być doręczony ks. Dąbrowskiemu, który miał się z nim udać do Moskwy do biskupa Cieplaka. W drodze ks. Dąbrowskiemu miała być ukradzona walizka, zawierająca a między innemi i oryginał testamentu. Po spisaniu odpowiedniego protokółu, walizka miała być odnaleziona, a w niej tylko drobiazgi i książka do modlitwy. W ten sposób do zatwierdzenia w sądzie przedstawionoby tylko rejentalną kopję testamentu, zdjętą zawczasu. Kombinacya nie udała się przez pośpiech adwokata Adamczewskiego, który oryginał przedstawił do sądu. Wonlarlarskij został aresztowany, żona jego złożyła podanie o powtórne jej przesłuchanie. Po zadośćuczynieniu jej podaniu, W. ojciec został aresztowany.

Represye w Królestwie.

Warszawska Izba sądowa skazała weterynarza Zieglera z Lublina za mowy przeciwpaństwowe, wypowiedziane w r. 1905, na 3 miesiące twierdzy.

Z klasztoru jasnogórskiego.

Z Częstochowy donoszą, iż zasuspendowany przez biskupa Bazyli Olesiński odpowiadając z wolnej stopy, korzysta ze swobody. W życiu codziennem klasztornem Bazyli i O. Rejman odsunęli się od pozostałych zakonników, wiodą życie samotne, nawet jadają oddzielnie każdy w swej celi, nie zaś w refektarzu wspólnie z innymi paulinami, jak to jest w zwyczaju klasztornym. W ostatnich dniach Bazyli Olesiński wystosował do przeora, o. Justyna Welońskiego list, w którym żądał wydania mu świadectwa kilkunastoletniej pracy w klasztorze, oraz wynagrodzenia w sumie 9.000 rubli, jako honoraryum za pracę w klasztorze i dla klasztoru.

Za postawienie krzyża.

Dwaj gospodarze wsi Bystrzejowice postawili przy szosie z Lublina do Kozic, bez pozwolenia władzy, krzyż drewniany z napisem: "Od wojny, ognia i głodu, zbaw nas Boże". Policya spisała protokół i gospodarzy przedstawiła do kary.

Małoletni zbrodniarze.

W Sosnowcu wykrytą i osadzoną została w areszcie szajka nieletnich zbrodniarzy. Podczas śledztwa w sprawie świętokradztwa popełnionego przez kilku wyrostków w kościółku kolejowym przy ulicy Głównej w Sosnowcu, rewirowy p. Dziankowski wykrył drugie świętokradztwo, popełnione w sosnowieckim kościele parafialnym.

Na drugi dzień po spełnieniu kradzieży w kościółku kolejowym tj. 1 grudnia, ciż sami złodzieje udali się wieczorem do kościoła parafialnego. Rozbili tam puszkę przy ołtarzu św. Antoniego, z której zabrali około 3 ruble drobną monetą. Zbrodniarze udali się do wielkiego ołtarza i sądząc, że lichtarze są złote, zaczęli je rozbijać. Przekonawszy się, że lichtarze te są dęte z żelaza, porzucili je i udali się do innych ołtarzy, lecz wypadek ich spłoszył. W świętokradztwach tych i kradzieżach brali udział złodzieje w wieku lat 10 do 15 w liczbie 12 osób, pomiędzy któremi są kobiety starsze. Szajka operowała w Sosnowcu blisko od 2 lat. Nieletni zbrodniarze mieli swoją kochankę "Michalinę" zamieszkałą u stróża w domu nr. 9 przy ul. Targowej.

W kradzieżach brali udział 15-letni Bolesław Dyszel, Stefan i Michał Kowalczykowie, Bolesław Głomiński, Galarusowa, Kiciński i inni.

Wybory a niemczyzna.

Tocząca się obecnie walka wyborcza nacyonalistów żydowskich z asymilatorami w Warszawie, przyczynia się do szerzenia niemczyzny wśród żydów. Nietylko bowiem zaproszenia nacyonalistów na zebrania agitacyjne są drukowane w języku czysto niemieckim aczkolwiek literami żydowskiemi, lecz także na zebraniach różni 'nawróceni' polacy wyznania mojżeszowego, nie znający żargonu, posługują się właściwie niemczyzną, aby się przypodobać litwactwu, nie znoszącemu języka polskiego. Jest to stara metoda syonistów. praktykowana także na kongresach. "Oficyalnym" wreszcie organem syońskim jest "echt" niemieckie pisemko "Die Welt".

Szkoły cerkiewne w Chełmszczyźnie.

Stosownie do typografii nowej guberni chełmskiej, konsystorz prawosławny chełmski dokonał nowego podziału szkół cerkiewnych w swej eparchii. Według tego podziału ilość szkół cerkiewnych na Chełmszczyźnie wynosi 361.

Protest księży.

Gazeta moskiewska "Utro Rossiji" otrzymała następującą sensacyjną depeszę z Warszawy:

"Dekret papieski, zabraniający duchowieństwu katolickiemu zajmowania się sprawami finansowemi, wywołał popłoch wśród duchowieństwa polskiego. Księża zbierają podpisy pod petycyę o zniesienie dekretu, motywując prośbę swą tem, że organizacyą związków zawodowych i spożywczych oraz instytucyi kredytowych księża z powodzeniem działają przeciw wpływom socyalistów. Dekret zaś papieski pozbawia ich tego środka walki".

Rzecz ciekawa, czy petycya ta odniesie skutek; w każdym razie dowodzi ona, że księża polscy lubo w łagodnej formie, ale protestują przeciwko ostatnim zarządzeniom papieskim.

Na tropie bandytów.

Policya jest na tropie bandytów, która dokonała napadu na kasyera i buchaltera fabryki 'Labor' i zrabowała 5,000 rb. Wśród aresztowanych dotychczas osobników znalazło się kilka osób, które brały udział w rozboju w charakterze informatorów i wartowników czuwających nad pomyślnem wykonaniem przedsięwzięcia. Niektórzy z nich udzielili zbrodniarzom wiadomości kiedy pieniądze będą przewiezione, którędy, pod jaką opieką itd. Po tej nitce policya zamierza dojść do kłębka i wyłowić całą szajkę.

Przedwczesna wiadomość.

Niedawno obiegła całą prasę wiadomość, że przebywająca w więzieniu Helena Macochowa została matką. Wiadomości tej zaprzecza korespondent Gońca Częstochowskiego, który pisze, iż nic podobnego nie nastąpiło. Zdaniem lekarzy, normalnego rozwiązania oczekiwać można nie prędzej, niż za dwa lub trzy miesiące.

Z mętów społecznych.

Na Nalewkach pod nr. 47 służyła dziewczyna M. T. U znajomego swego na tejże ulicy pod nr. 34 poznała szewca, za którego wkrótce wyszła za mąż. Zaraz po ślubie wyłudził od niej ostatnie 50 rb.

Gdy została bez grosza, przyjęła znowu służbę przy ul. Miłej nr. 3, lecz wtedy mąż nie pozwolił jej tam służyć i wespół z niejakim Jakuninem z ul Gnojnej sprzedał ją do domu rozpusty przy ul. Solnej.

Później się okazało, że ten mąż ma już inną żonę ślubną i 3 dzieci.

Siostra nieszczęśliwej dowiedziawszy się o tem, wydostała ją z lupanaru. Ofiara handlu była tak skatowana, że musiano ją odesłać do szpitala.

W końcu dano znać o tem policyi, która zaaresztowała Jakuniego i jego kolegów.

Napad na dwór.

Donoszą z Wilna: Na majątek Rudziszki pod Landwarowem pięciu uzbrojonych zamaskowanych bandytów napadło na dwór obywatela Kubickiego. Napad był niespodziewany i nikt nie stawił oporu. Bandyci związali całą rodzinę Kubickich oraz służbę i splądrowali dom zrabowali 11,000 rb. Następnie zaprzęgli konie do bryczki i zbiegli.

Intendenci przed sądem.

Na ostatniem posiedzeniu, przed warszawskim sądem wojennym stanęli: urzędnik do szczególnych poleceń przy warszawskiej intendenturze Bazyli Terlikowski i b. dozorca magazynu spożywczego w Chełmie, Bazyli Andrejew.

Terlikowski w roku 1907 wysłany został do moskiewskiej i kijowskiej gubernii, w celu nabywania produktów spożywczych; nabyte produkty przesyłał on do składów intendentury w Małkini, na Powązkach, w Modlinie, w Chełmie, w Lublinie itd. Wskutek depesz anonimowych, według brzmienia których Terlikowski przyjmował produkty w złym gatunku, wszczęto śledztwo i wreszcie oskarżono go o to, że 1. w celach zysku, umówiwszy się z dostawcami do intendentury, nabył produkty małej wartości, wyrządzając w ten sposób skarbowi straty w kwocie 1200 rb.; 2. że dostawcy do intendentury Ajzensztajnowi zakomunikował stanowiące sekret ceny produktów; 3. że w raporcie do okręgowego intendenta warszawskiego pomieścił wyrażenia niewłaściwe i 4. że otrzymawszy od dozorcy magazynu w Chełmie Andrejewa kwit na dostarczoną kaszę z adnotacyą, że kasza jest zła, skłonił tegoż Andrejewa do wydania innego kwitu.

Andrejewa zaś oskarżono o wydanie Terlikowskiemu fałszywego kwitu.

Sąd uznał Terlikowskiego winnym jedynie przyjęcia nieodpowiadających wymaganiom intendentury produktów przez niedopatrzenie i znieważenie zwierzchnika; od pozostałych zarzutów obu oskarżonych uniewinniono.

Skazano Terlikowskiego na 3 miesiące odwachu.

Bronił pułkownik Romiszewskij.

[Rozp]orządzenia Arcybiskupa.

J. E. arcybiskup warszawski ks. Wincenty Chościak-Popiel wydał do duchowieństwa archidyecezyi okólnik, w którym porusza sprawy następujące:

Zabrania się duchowieńst[wu] brać udział w jakiejkolwiek loteryi, niedozwolonej przez prawo w Królestwie Polskiem, a więc zarówno w loteryach zagranicznych, jak tajnych miejscowych. Gra w loteryę klasyczną Królestwa Polskiego jest duchowieństwu dozwolona.

Zabrania się duchowieństwu pod karą suspensy uczęszczania do teatrów publicznych, cyrków i kabaretów. Wolno bywać księżom tylko na przedstawieniach amatorskich, w teatrach ludowych, na przedstawieniach na cele dobroczynne, oraz na koncertach.

Dalej ponawia arcypasterz swoje dawne rozporządzenie, aby księża depozytów nie przyjmowali i nie przechowywali. Obecnie po śmierci księży, mających u siebie depozyty złożone, wynikają częstokroć procesy, skargi i obmowy, wywołujące zgorszenie. W przypadkach wyjątkowych ksiądz może przyjąć depozyt, ale nie inaczej, jak za pozwoleniem specyalnem konsystorza.

Przypomina się duchowieństwu, że każde dzieło, napisane przez księdza, winno przed jego wydrukowaniem być poddane cenzurze kościelnej i posiadać jej aprobatę, niezapomina o karach kościelnych, jakie grożą autorom, wydawcom i drukarzom za niewypełnienie dekretów i przepisów, dotyczących sprawy wydawnictw, a mieszczących się w Konstytucyi Apostolskiej z r. 1897 Officiorum ac munerum.

W sprawie dekretu Ojca św. Piusa X-go z d 8go sierpnia rb. Sacrarum Antistitum J. E. ks. arcybiskup wyjaśnia, że dzieci małe po dojściu do rozumu winny być dopuszczane do Komunii św. pojedyńczo [privatim], natomiast chłopcy i dziewczęta w wieku nieco starszym, które poznały należycie zasady wiary po odbyciu w ciągu lat dwu lub trzech odpowiedniej nauki w kościele, mogą przystępować do Komunii św. zbiorowo, ten obrządek ma się odbywać z właściwą uroczystością. W kościołach, w których dotychczas nie zorganizowano pomienionego nauczania dzieci i dopuszczania ich potem do zbiorowej uroczystej Komunii, — należy to uczynić jak najprędzej.

"Teatr kukiełek"

Powstaje w Warszawie instytucya, która ma na celu dostarczenie dziatwie i młodzieży przyjemnej rozrywki, nie pozbawionej zarazem znaczenia wychowawczego. Jest to teatr kukiełek, czyli marjonetek.

Teatry kukiełek niegdyś znajdowały się w rękach ludu i kleru. W Polsce klasztory średniowieczne zaprowadziły szopkę dla przedstawiania zdarzeń liturgicznych zmysłowemi środkami, chcąc działać na wyobraźnie ludu, gdy jednak sprośność i rubaszność wkradły się do tych przedstawień jasełkowych, władza kościelna wypędziła szopkę na długie lata z murów klasztornych.

Pierwszy teatr marjonetek w formie nowoczesnej powstał w r. 1853 w Monachium. Założycielem jego był król Ludwik II bawarski. Przed dwoma laty w Monachium na wystawie sztuki stosowanej zbudowano dwa teatry, mające na celu doświadczenia w sprawach reformy teatru. Jednym z nich jest teatr artystów monachijskich, o płaskiej scenie, na której odbywają się przedstawienia klasycznych dramatów, wystawianych przy pomocy najwybitniejszych artystów-malarzy. Drugim teatrzykiem jest teatr marjonetek artystów monachijskich.

Poświęcający się sprawom reformy teatru, p. Maryan Dienstl, autor prac w tym kierunku, zebrał koło siebie artystów i zorganizował pracę nad utworzeniem pierwszego teatru marjonetek w Polsce. W tym celu zaprosił prof. rysunku w Akademii krakowskiej, Stanisława Dembickiego, znanego z ilustracyi baśni Kasprowicza, Rydla i Konopnickiej. Jako wykonawcę zaś figury i plastyki, artystę rzeźbiarza Władysława Gruberskiego, który powrócił niedawno z długoletnich studjów w Paryżu.

Kierownikiem części muzycznej jest p. Karol Rostworowski, oraz pp.: Adam Elertowicz i Wiktor Krupiński.

Teatrzyk, który powstaje w Warszawie, ma za zadanie dać dzieciom Warszawy poezyę dramatyczną i baśniową, w najpiękniejszej oprawie artystycznej i wykonaniu. Mając za zadanie kształcić i podnosić smak młodzieży w repertuarze teatru, kładzie wielki nacisk na dzieła literatury rodzinnej.

P. Dienstl zamierza, za pomocą rozpisywania konkursów, utworzyć polską komedyę marjonetkową. Chcąc jednak nie zacieśniać swej działalności w obrębie komedyi obyczajowej i fantazyi dziecięcej, wystawiać będzie w swym teatrzyku wartościowe dzieła muzyczne kompozytorów swojskich i obcych. Scenka, zbudowana w Warszawie, jest pomyślana przez p. Dientsla i odbiega od używanego dotychczas typu, składa się bowiem z leżących obok siebie i ruchomych pól dekoracyjnych. Oświetlenie składa się z lampek elektrycznych w siedmiu barwach.

Jako wykonawcy dramatyczni, zaproszeni są: artystki dramatyczne, panie: Jakubowska, Neubeltowa i Sachnowska, oraz artyści dramatyczni, pp.: Łuczak, Szarski, Ruszczyc i Krasowski. Przedstawienia komedjowe odbywać się będą codziennie po południu, wieczorem zaś odtwarzane będą, przy pomocy wybitnych sił artystycznych, opery i dramaty muzyczne. W wykonaniu części muzycznej wzięły udział śpiewaczki, panie: Zofia Lange, Jadwiga Lubicz, Ir. Kitowska, Marya Verini, oraz śpiewacy, pp.: Przesławski, Lubicz, Miecz i Lusnok.

Przeciw Polakom.

W biurach samorządu miejskiego i ziemskiego w gub. wołyńskiej — jak donosi "Kijewlianin", wywieszono ogłoszenia, które opiewają, aby Polacy nie zwracali się na próżno z prośbami o posady na nowej kolei podolskiej, gdyż na zasadzie warunków koncesyi wszystkie posady na tej kolei mogą być obsadzone tylko przez Rosyan i prawosławnych.

Poszukiwanie krewnych.

Konsulat amerykański w Warszawie otrzymał list od Heleny Dobieckiej de Lozane, córki śp. Józefa hr. Dobieckiego, wygnańca z r. 1835, który zmarł w r. 1865.

Jeden brat Józefa, Tadeusz Dobiecki, mając lat 12, w czasie ostatniej wojny polsko-rosyjskiej, oddany został do szkoły w Petersburgu. Co się z nim stało, niewiadomo.

Helena Dobiecka de Lozane — wdowa bezdzietna — szuka tego stryja.

Matka Józefa Dobieckiego była hr. Tekla Waleska, a ojciec jego generał Fulgenty Dobiecki. Miał dwóch braci, Władysława i Fortunata, którzy umarli w Ameryce.

200 ofiar agentów wychodźczych.

W Ostrowie agenci emigracyjni porzucili nad granicą 200 wychodźców żydowskich, zabrawszy im wszystkie pieniądze, jakie mieli przy sobie. Emigranci wysłali depeszę z prośbą o pomoc do znanego Tow. "Ica", które wydelegowało do nich p. J. Rozenthala z Łodzi w celu udzielenia pomocy.

Z uniwersytetu warszawskiego.

Ukazał się spis studentów uniwersytetu warszawskiego na bieżący rok akademicki. Liczba ogólna słuchaczów uniwersytetu wskazana jest w spisie w okrągłej cyfrze 2,000. Osób wyznania katolickiego w spisie jest 111, wyznania ewangielickiego — 44 [w czem spora część neofitów], reszta prawosławnych. Ze wskazanej liczby 111 katolików na wydział lekarski uczęszcza 66, na prawny — 37, na matematyczny — 7, na przyrodniczy — 1; na wydziale filologicznym niema ani jednego.

Dramat rodzinny.

Przed kilkunastu dniami w nocy w Warszawie Witold Ostafiński, inżynier lat 44 liczący, w mieszkaniu swojem postrzelił najpierw z rewolweru w głowę matkę swoją, Eugenię, lat 66 liczącą, z którą mieszkał, a następnie sam strzelił do siebie, mierząc w lewe oko i padł trupem na miejscu. Samobójca był żonaty i miał dzieci, które jednak przy nim nie mieszkały. Wezwane Pogotowie ratunkowe ciężko ranioną p. Ostafińską odwiozło w stanie groźnym do szpitala.

Śp. inżynier Ostafiński pozostawił list, zaadresowany do władz sądowych, w którym oświadcza, że rozstrój nerwowy nie pozwolił mu zarobkować i skłonił go do samobójstwa, a ponieważ i matki nie chciał zostawić na łasce losu, więc ją również pozbawia życia.

Nieletnia matka.

W Soduli pod Sosnowcem 13-letnia dziewczyna została matką. Ojcem jest 50-letni człowiek, niemiec, który zbiegł za granicę w obawie następstw.

Wystawa ogólno-krajowa.

W Towarzystwie Przemysłowców Królestwa Polskiego podjęta została myśl urządzenia w Warszawie w roku 1915 "Ogólnej Wystawy Krajowej", którąby dała dokładny obraz obecnego stanu kraju i tak pod względem ekonomicznym, jak i pod względem kulturalnym.

Sprawa ta była przedmiotem narad w wydziale przemysłowo-handlowym Tow. Przemysłowców pod przewodnictwem ks. Czesława Światopołk-Mirskiego.

Obecnie zarząd Tow. Przemysłowców rozesłał zaproszenie do wspólnej pracy nad zorganizowaniem wystawy do następujących instytucyi: Centralnego Towarzystwa rolniczego, komitetów giełdowych warszawskiego i łódzkiego, Tow. Popierania Pracy Społecznej, Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Stow. Kupców Polskich, Związku Rrzemieślników Chrześcian, Tow. Popierania Przemysłu Ludowego, Stowarzyszenia właścicieli nieruchomości, Stow. Techników, Rady zjazdu Przemysłowców Górniczych, warsz. oddziału Tow. popierania przemysłu i handlu, Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, Tow. Ogrodniczego i Banku Handlowego.

Zebranie z udziałem przedstawicieli wymienionych powyżej instytucyi odbędzie się w czasie najkrótszym, na zebraniu tem omawiane będą materyały, dotyczące wystawy zebrane już przez Towarzystwo Przemysłowców.

Zniknięcie lekarza.

W Słupcy sensacyą dnia jest jak donosi "Gaz. Nowa", zniknięcie lekarza tamtejszego, M. Gutowskiego, który tam praktykował od lat 20-tu. Niedawno u dra G. z polecenia władz sądowych dokonano rewizyi, po której dr. Gutowski wyjechał za granicę. Dr G. zostawił majątek półmilionowy, na który, jak mówią, nałożono areszt.

Nowy wynalazek polski.

P. Antoni Wojdak rodak nasz, mieszkający w Odesie, wynalazł rower wodno-lądowy, połączony z samolotem. Samolot ten ma skrzydła, zbudowane na podobieństwo śmig wiatraka, które w biegu czynią pełny obrót koło osi. Dlatego też aeroplan ten może w powietrzu wykonywać dowolne ruchy: cofać się wstecz, spuszczać się na dół, a nawet stać w powietrzu. W razie katastrofy skrzydła, samolotu pełnią rolę spadochronu. Aeroplan ten umieszczony jest na rowerze wodno-lądowym, który może się poruszać po wodzie i ziemi.

W sprawie szkół prywatnych.

Poseł do Dumy hr. Harusiewicz i członek Rady państwa, hr. Z. Wielopolski, udali się do zarządzającego ministerstwem oświaty p Kasso z przedstawieniem trudności, wynikających z żądania władz szkolnych w Królestwie, aby w zakładach naukowych prywatnych liczba godzin wykładowych przedmiotów, wykładanych obowiązkowo w języku rosyjskim, była ściśle doprowadzona do liczby godzin, obowiązujących w szkołach rządowych. Posłowie zwrócili uwagę ministra, że żądanie to jest zasadniczo sprzeczne z art. 3751 Zbioru Praw, który mówi tylko o zbliżaniu typu nauk prywatnych pod względem planu nauk 'tylko o ile to jest możliwe' ["po mierie wozmożnosti"], a następnie wywołuje trudności praktyczne wobec faktu, że okólnik wspomniany zakomunikowany został szkołom prywatnym dopiero w chwili rozpoczęcia roku szkolnego. Minister oświadczył, że w stronę zasadniczą sprawy wchodzić nie może, oświadczył wszakże, że z powodu późnego rozesłania okólnika stosowanie jego w całej rozciągłości w bieżącym roku szkolnym byłoby niesłusznem.

Aeroplan polski.

Niedawno odbyły się w Łodzi próby z nowo wynalezionym przez braci Henryka i Władysława Chlebowskich latawcem. Próby udały się znakomicie. Aeroplan panów Chlebowskich utrzymywał się w powietrzu bez lotnika. Ulepszenia w tym latawcu polegają właśnie na tem, że jest on urządzony tak, iż sam przez się utrzymuje się w równowadze bez pomocy ludzkiej. Jest to rzecz ogromnie ważna, gdyż dotychczas lotnik wiele uwagi i pracy musiał poświęcić, aby utrzymać równowagę.

O dom Mickiewicza.

Dom, w którym mieszkał Adam Mickiewicz w Kownie, jest zagrożony tem, że może przejść w obce ręce i podledz rozbiorce. Wobec tego "Kur. Wil." nawołuje, aby Polacy zechcieli dom ów zakupić na własność narodową i urządzić w nim bibliotekę lub szkółkę, a choćby ochronę im. Mickiewicza.

Pogłoska.

Rozeszla się po Warszawie pogłoska, że zamknięto kilka szkół prywatnych żeńskich, jakoby w łączności z nowemi żądaniami inspektoratu szkół m. Warszawy, nieprzewidzianemi w odpowiednich przepisach. Pogłoska ta nie znajduje potwierdzenia, wiadomo tylko, że inspektorat stawia pewne żądania, dotychczas nie wymagane od polskich zakładów naukowych. W związku z temi żądaniami przewidywane mogą być pewne represye, nie może [m]e być mowy o zamykaniu szkół.

Ziemie Polskie pod Austryakiem.

Rozwój syonizmu.

W rocznych sprawozdaniach politechnice lwowskiej znajdujemy przyczynek do kwestyi syonizmu w Galicyi. Mamy tam wykaz statystyczny, ilu z pomiędzy słuchaczów wyznania mojżeszowego do narodowości się przyznaje, ilu zaś do innych. W roku 1904 na 166 słuchaczów wyznania mojżeszowego 161 podało się za Polaków, 5 tylko zaliczyło się do innych. W roku 1909 na 205 słuchaczów 72 tylko podało się za Polaków, 133 zaś zaliczyło się do narodowości innych. Wśród tych innych ogromna większość podaje narodowość żydowską a tylko całkiem wyjątkowo niemiecką, ruską, lub też "beznarodową". Dwie trzecie zatem inteligencyi żydowskiej hołduje zasadzie separatyzmu narodowego.

Grób Grottgera.

W ostatnich dniach powstała myśl założenia mauzoleum zasłużonych: wiele jednak lat prawdopodobnie upłynie, zanim myśl ta urzeczywistnioną zostanie. A tymczasem, jak piszą pisma galicyjskie, jest na cmentarzu Łyczakowskim grób, jednego z wielkich synów Polski, który w sercu zamknął dolę i niedolę jej ostatnich czasów: grób Artura Grottgera.

Położony w miejscu niegdyś pierwszorzędnym, dziś wciśnięty między inne groby, pokryty prawie zupełnie, znany jest zaledwie niewielu osobom; nawet znający doń drogę, często długo, a bezskutecznie szukają mogiły wielkiego mistrza.

"Jest zwyczaj we Lwowie — w odezwie czytamy, że ciała zasłużonych naszych składamy pod pamiątkowych krzyżów skrzydłami i orłów Ordona.

A przecież to największy z tych, którym spoczywać wypadło na lwowskim cmentarzu. Czy nienależałoby zatem przenieść prochów twórcy "Wojny" i temu, który rozsławił imię nasze po świecie, oddać cześć należną, aby i przejezdni, pochyliwszy głowy, u grobu jego przystanąć mogli!"

Znowu afera szpiegowska.

Przez kilka ostatnich tygodni brakło wiadomości o aresztowaniach na terenie galicyjskim szpiegów, pracujących na korzyść carstwa rosyjskiego. Zdawało się, że ustawiczne tropienie szpiegów przez władze austryackie w roku ubiegłym i bieżącym, wypłoszyło ich z naszego kraju, a jednak tak nie jest. Oto donosi nam nasz korespondent z Sokala, że w tamtejszej okolicy wykryły władze przed kilku dniami trójkę szpiegowską a jednego z tej szajki, respicienta skarbowego Józefa Siaka odstawiono już z aresztów w Sokalu do więzienia krajowego sądu karnego we Lwowie.

Siak jako strażnik skarbowy z miejscowości do miejscowości był przerzucany, często bywał stacyonowany na granicach Galicyi, ale długo nie pozostawał na jednem miejscu, gdyż zachowywał się w sposób podejrzany.

Obecnie był w służbie i mieszkał w Leszatowie, miejscowości przy granicy rosyjskiej. Siak jest żonaty i ma troje dzieci. Żona jego jest nauczycielką w tej samej miejscowości. Siak utrzymywał zażyłe stosunki z niejakim Józefem Rafalskim, emigrantem rosyjskim, rzekomo rewolucyonistą, który bardzo często przechodził granicę. To zwróciło uwagę władz i poczęto baczniej obserwować domek, który zamieszkiwał. Aż nareszcie zjechał z Mostów Wielkich komisarz tamtejszego starostwa i zarządził aresztowanie Siaka i odstawienie go do Lwowa.

Rewizya, dokonana w mieszkaniu Siaka, wykryła podobno bardzo kompromitujące go szczegóły. Rafalski był pośrednikiem w szpiegowaniu, przenosząc nagromadzony przez Siaka materyał szpiegowski władzom rosyjskim, a żona Siaka była w to wtajemniczona. Nie aresztowano jej jednak ze względu na troje dzieci. Natomiast pochwycony został Rafalski i osadzony w aresztach. W tych dniach mają go również odstawić do Lwowa, gdzie toczyć się będzie śledztwo przeciw całej trójce szpiegowskiej.

Samobójstwo gimnazyasty.

Z Brodów donoszą, że onegdaj godzina 10 a 11 przed południem wszedł uczeń VII klasy gimnazyalnej Wiederbart do sklepu Iwanickiego i zażądał naboju do rewolweru, który pokazał. Na uwagę kupcowej, że uczniom nie wolno tego sprzedawać, przyłożył sobie rewolwer, w którym jeden nabój się znajdował do skroni i wystrzelił. Padł na miejscu trupem. Przyczyna samobójstwa dotychczas nie znana.

Popłoch w czasie wieczorku.

Z Rzeszowa piszą: We czwartek zaszedł na wieczorku maryańskim wypadek, który dzięki tylko okoliczności szczęśliwej nie przybrał rozmiarów powszechnej paniki. Oto na wstępie, kiedy kilkanaście małych dziewcząt, przybranych w łatwo zapalne, lekkie kostyumy, ugrupowało się do żywego obrazu, prysnął za blisko ustawiony i zepsuty ogień bengalski snopem iskier i zapalił włosy jednej z uczestniczek, nadto poparzył jej ramiona. W tej chwili powstał na scenie i na sali ogromny popłoch, który zwiększał lament i krzyk licznie zebranych matek. Na szczęście ogień ugaszono i przedstawienie doprowadzono do końca.

Samobójstwo podoficera.

Z Rzeszowa donoszą: W sobotę rano około godziny 5-ej rano zastrzelił się w tutejszej kasarni 40 pp. podoficer rachunkowy, niejaki Bolesław Garski, pochodzący z Dzikowa w powiecie tarnobrzeskim. Denat, wróciwszy nad ranem w stanie nieco podnieconym po całonocnej libacyi do kancelaryi, gdzie zwykle sypiał, rozebrał się i wymierzył śmiertelny strzał z repetującego rewolweru służbowego w stronę skroni skierowany. Natychmiast śmierć nastąpiła mimo pomocy lekarskiej. Powodem samobójstwa było życie nad stan, które Górski od pewnego czasu prowadził, a mając powierzone sobie większe kwoty z kasy kompanijnej, defraudował je, wydając na hulanki.

Echa zajścia na granicy austryackiej.

Dziewczyna, którą w zeszłym miesiącu w Majdanie Sieniawskim żołnierz rosyjski ciężko zranił wystrzałem karabinowym, przychodzi już do zdrowia.

Swego czasu podaliśmy o tym wypadku krótką notatkę, obecnie podajemy to, co ustaliły wyniki śledztwa urzędowego w tej sprawie.

Dziewczyna owa mieszka w nadgranicznej wsi w Królestwie Polskiem. Na parę dni przed wypadkiem kupiła jej matka wyprawną krowę, którą też dziewczyna sama pasła i hodowała. Krytycznego dnia krowa, wypędzona na łąkę, skorzystała z tego i czmychnęła za granicę, na austryacką stronę, gdzie pastuchy majdańscy, chcąc podroczyć się z dziewczyną, udawali, że chcą krowę zaanektować.

Przerażona o swe mienie dziewczyna, przebiegła przez pas graniczny i puściła się w pogoń za uprowadzoną krową. Gdy dziewczyna z powrotem była już na terytoryum austryackiem i to w oddaleniu 500 kroków od granicy, graniczny żołnierz rosyjski dał najprzód do niej dwa strzały, stojąc, skoro jednak oba chybiły, żołnierz przyklakł i w tej pozycyi wystrzelił z karabinu po raz trzeci, przeszywając kulą prawy bok brzucha dziewczyny. Ranną leczono na koszt rządu austryackiego, obecnie

[Dokończenie na następnej stronie.]

Wiadomości z Polski.

Ziemie Polskie pod Austryakiem.

[Dokończenie z poprzedniej stroniey.]

Austrya w drodze dyplomatycznej zażąda odszkodowania.

Trup pod lodem.

Onegdaj rano odkryto w stawie Pełczyńskim we Lwowie, pod lodem zwłoki kobiety. Ponieważ te zwłoki pokryte były grubą warstwą lodu, przeto kom. Tymianiecki, który się zjawił na miejscu, kazał wyrąbać przyręblę i dopiero po półtoragodzinnej pracy wydobyto na wierzch zwłoki kobiety, obmarzłe i zupełnie dobrze zakonserwowane. Lekarz miejski dr. Damm skonstatował śmierć przez utonięcie. Zwłoki odstawiono do zakładu medycyny sądowej. W denatce agnoskowano Cecylię S. żonę urzędnika sądowego, która przed dwoma tygodniami wydaliła się z domu męża. Samobójstwo więc popełniła prawdopodobnie przed dwoma tygodniami. Powód samobójstwa na razie nieznany.

Śmierć posła.

Poseł na sejm krajowy i marszałek powiatu wielickiego. Karol Czecz, idąc ulicą w Krakowie, nagle padł, rażony udarem sercowym.

Pomnik Mickiewicza.

W Husiatynie Galicya, odsłonięto pomnik Adama Mickiewicza wystawiony ze składek.

Pomnik stanął w śródmieściu na obszernym placu, który otrzymał nazwę "placu Adama Mickiewicza", i przedstawia się okazale.

Ruska kwestya uniwersytecka.

Na skutek uchwały klubu socyalistycznego posłowie Seitz, Ostapczuk i Witvk udali się do ministra oświaty z zażaleniem z powodu trudności, stawianych przy wpisach studentom ukraińskim—uczestników rozruchów uniwersyteckich we Lwowie.

Minister Stuergkh oświadczył, że senat uniwersytetu lwowskiego obstaje przy tem, aby do wpisów dopuszczono tylko tych studentów którzy poddadzą się postępowaniu dyscyplinarnemu. Minister prosi więc posłów, aby skłonili studentów do zaniechania oporu, przyczem może zapewnić, że postępowanie dyscyplinarne w prawie rozruchów uniwersyteckich we Lwowie, będzie tak łagodne i tak względne, że będzie można mówić prawie o czystej formalności.

Przy tej sposobności posłowie ruscy nalegali na przyśpieszenie sprawy utworzenia uniwersytetu ruskiego we Lwowie, na co otrzymali od ministra odpowiedź, że rokowania w tej sprawie przerwane zostały z powodu zajść na uniwersytecie lwowskim i z powodu obstrukcyi w Sejmie galicyjskim.

Praktyczne załatwienie tej tak dla rusinów piekącej sprawy natrafia na ogromne trudności, z powodu braku sił nauczycielskich. Rząd starał się temu zapobiedz, do budżetu wstawiając wyższą pozycyę na wykształcenie sił nauczycielskich. Sprawę uniwersytetu ruskiego, oświadczył minister, rząd będzie nadal rozważał.

Jak w powieści kryminalnej.

W lwowskim sądzie karnym toczy się śledztwo w sprawie o milionowe oszustwo, które przyćmiewa najśmielsze pomysły autorów powieści kryminalnych -sprytna szajka oszustów, nie licząca się z żadnymi względami, doprowadziła w ciągu kilku miesięcy milionera do kija żebraczego gminu!...

Franciszek Włodek, właściciel majątku Turze pod Starym Samborem, należał do najmajętniejszych obywateli w powiecie. Majątek prawie bez długu obejmował 1700 morgów, w tem 700 morgów gotowego do wyrębu lasu, ponadto Włodek posiadał znaczniejszą kwotę, ulokowaną w kasie Reiffeisenowskiej, kilkadziesiąt tysięcy w pretensyach prywatnych dozabezbieczonych, i kilkadziesiąt tysięcy gotówką w kasie.

Po śmierci żony, przed około 10 laty, Włodek zaczął pić. Wydawszy córkę za mąż za dra Kędzierskiego z Topolnicy i wypędziwszy z domu syna, umysłowo niedomagającego, poważny przedtem obywatel, znany ze swej społecznej działalności, zaczął prowadzić życie tak hulaszcze, że wszyscy od niego się usunęli. W domu Włodka odbywały się wstrętne orgie. Ustawicznie pijany Włodek otoczył się istnym haramem dziewek wiejskich, w których otoczeniu zjawiał się nawet w Samborze, jadąc starą bryczką, owinięty w czerwoną kołdrę.

Obok dziewek znalazła się po pewnym czasie w otoczeniu Włodka i druga falanga 'przyjaciół' — gromady agentów, faktorów i spekulantów żydowskich, którzy gościli bez przerwy w domu Włodka, znosząc wódki, miody i likiery.

Włodek, poprzednio antysemita zaciekły, obecnie twierdził, że żydzi, to przyjaciele, bo przynoszą mu traktamenty. Nie żałowano mu tych traktamentów. Niemal nigdy nie był przytomnym.

Do najściślejszych "przyjaciół" należeli Saul i Jakób Hutterowie, właściciele tartaku w Topolnicy, a piękna żona Jakóba Huttera, opiekowała się Włodkiem tak gorliwie, że przyjeżdżała do niego smażyć mu ryby, tańczyła w jego domu, urządzała mu wilję.

I pewnego dnia w roku 1980 ściągnięto Włodka do Sambora.

I tu Włodek, który zawsze zapowiadał, że lasu nie sprzeda, i jeszcze tego samego dnia przepędził faktorów, proponujących mu sprzedaż lasu, podpisał zupełnie pijany kontrakt sprzedaży firmie handlarzy lasami "Bracia Wahl i Landau" 600 morgów lasu za 396,000 koron, z czego otrzymał gotówką tylko 10,000 koron. Co więcej, opuścił im niebawem z ceny jeszcze 124,000 koron.

"Bracia Wahl i Landau" w krótkim czasie las kupiony za cenę 272 000 koron sprzedają Saulowi i Jakóbowi Huttererom za cenę 675,000 koron i wycofują się z interesu z krociowym zyskiem.

Wtedy Włodek robi drugi interes aranżowany z daleka, bo przez "Zakład komercyalny" w Chrzanowie. W "Zakładzie" tym mieli Huttererowie około 350,000 długu, zaciągniętego na hipotekę swego tartaku. Z ramienia "Zakładu komercyalnego' przyjeżdża urzędnik zakładu, Wilhelm Kleinhaendler i poddaje Huttererom myśl wciągnięcia Włodka do spółki, obejmującej ów tartak i ów las. Wygotowuje się w Krakowie kontrakt, który Włodek podpisuje po pijanemu w grudniu 1908.

Kontrakt jedyny w swoim rodzaju. Oto Huttererzy wnoszą do interesu tartak, obciążony pożyczką 350 000 koron i las, Włodek zaś resztę należącej mu się od firmy "Bracia Wahl i Landau" ceny kupna lasu w kwocie około 170-000 koron, weksle na kwotę 210 tysięcy koron i zobowiązanie gwarancyi całym swym majątkiem za długi Huttererów w zakładzie komercyalnym w Chrzanowie i inne ich zobowiązania i za tę cenę zostaje współwłaścicielem w 30 proc. 70 proc. zastrzegli sobie Huttererzy, swego własnego lasu, za który nie otrzymał pieniędzy.

I inni "przyjaciele" Włodka nie odeszli z pustemi rękami. Ustaliła się opinia, że kto potrzebuje pieniędzy, niech idzie z wekslem i flaszką wódki do Włodka.

Włodek bez pamięci podpisywał weksle z "grzeczności", które eskontowano po rozmaitych, bankach w kraju.

Ogółem suma tych weksli rosła do 120.000 koron, z których znaczna część przypadła na Huttererów.

W lutym 1909 Włodek został tknięty paraliżem. Ustanowiony jego kuratorem Karol Scheiner, leśniczy br. Liebiga, zajął się uporządkowaniem spraw majątkowych.

Rezultatem jego kurateli była zawarta w grudniu 1909 i zatwierdzona przez sąd starosamborski umowa z Zakładem komercyalnym w Chrzanowie. Umowa równie ciekawa, jak kontrakty Włodka, zwłaszcza, że równocześnie toczyły się w sądzie samborskim dochodzenia, przeciw niewiadomym sprawcom oszustwa na szkodę Włodka, a cały szereg skarg wekslowych przeciwko Włodkowi zakwestyonowano zarzutem niepoczytelności w czasie dokonania przez niego wszystkich tych operacyi finansowych. Oto umową tą "Zakład komercyalny" zrzekał się wszystkich pretensyi do Włodka z tytułu jego udziału w Spółce z Huttererami i obejmował część pretensyi wekslowych, w zamian za cały majątek spółki, kwotę należącą się jeszcze ze sprzedaży lasu i pod warunkiem, że reszta majątku Włodka, w czem było jeszcze 100 morgów lasu, zostanie mu odprzedana za 100 tysięcy koron. Równocześnie kurator zawarł z Zakładem komercyalnym drugą "cichą" umowę, mocą której tę resztę majątku Włodka Zakład miał mu odprzedać za kwotę 150.-000 koron.

Włodek jednego dnia stał się z milionera nędzarzem, i z tej bowiem kwoty 120,000 koron ściągnięto 48 000 kor. na dług w towarzystwie kredytowem ziemskiem, 25,000 koron za zahipotekowane honoraryum dra Finsterbuscha, adwokata kuratora, znaczną kwotę na inne jeszcze pretensye, tak, że Włodkowi z milionowego majątku pozostało 35,000 koron, a jeszcze niepokryte były rozmaite pretensye wekslowe, będące w sprawie. W kwietniu 1910 roku Włodek zmarł w nędzy.

. . . .

Po śmierci Włodka dopiero pozostała rodzina, córka i syn, stanęła w obronie wydartego jej majątku. Zastępca rodziny wniósł rekurs przeciw uchwale sądu samborskiego, zatwierdzającej "umowy" kuratora z "Zakładem komercyalnym" w Chrzanowie, a gdy apelacya odrzuciła rekurs ze względów formalnych, wniósł rekurs rewizyjny do Najwyższego Sądu, a także skargę o unieważnienie tej umowy z powodu znamion oszustwa i wprowadzenia w błąd sądu kuratelnego. Uzyskano dalej delegacyę sądu lwowskiego do przeprowadzenia śledztwa karnego, które ze śledztwa "przeciw niewiadomym sprawcom oszustwa" zmieniło się w śledztwo bardzo realne, bo w aresztach sądu śledczego znaleźli się Wilhelm Kleinhaendler, zastępca "Zakładu komercyalnego", kurator Karol Scheiner, Jakób i Saul Huttererowie, Sisie Teicher faktorum Scheinera i N. Haptaman, urzędnik "Zakładu komercyalnego". W śledztwie pozostaje również dyrektor "Zakładu komercyalnego" N. Rosenberg. Śledztwo prowadzi sędzia śledczy Sławikowski.

Poszkodowaną rodzinę Włodka zastępuje adwokat dr. Hlavaty, przeciwną stronę adwokaci dr. Aschkenaze, dr. Grek, dr. Dwernicki, dr. Solański, dr. Horowitz; dr. Zagórski i dr. Wyrostek.

"Pierwszy galicyjski Bank ludowy."

Wiener Ztg, ogłasza: Ministeryum spraw wewnętrznych udzieliło Władysławowi Długoszowi, posłowi na Sejm galicyjski z Siar pozwolenie na utworzenie Towarzystwa akcyjnego pod firmą "Pierwszy galicyjski bank ludowy z siedzibą we Lwowie" i zatwierdziło statuty tego Towarzystwa.

Tajemnicza sprawa.

Przed kilku miesiącami jeszcze rozegrała się w jednej z większych restauracyi żydowskich we Lwowie olbrzymia awantura z woźnym sądowym Janem Kopaczyńskim. Mianowicie Kopaczyński, mając polecenie wykonania egzekucyi kieszonkowej na płatniczym tejże restauracyi, wpadł do lokalu w porze obiadowej i w chwili, gdy ów obliczał się z jakimś gościem, wyrwał mu portfel z pieniędzmi. Płatniczy rzucił się na woźnego, a inni znów kelnerzy myśląc, że ma się do czynienia z rabusiem, pośpieszyli mu z pomocą. Powstała straszna awantura, w którą wmięszała się część gości, zaalarmowana tym niezwykłym wypadkiem. Skończyło się na tem, że woźnego obito i portfel mu odebrano. Sprawa poszła do prokuratoryi, która część uczestników tej bójki oskarżyła o gwałt publiczny.

Przed tygodniem odbyła się w sądzie karnym rozprawa, po której kilku uczestników bójki, a między tymi płatniczego, skazano na 1—4 miesięcy więzienia. I oto na drugi dzień po wyroku zaszedł wypadek, którym znowu zajęła się prokuratorya. Mianowicie Kopaczyński, po wyjściu z jednego z szynków, gdzie spożył śniadanie padł nieprzytomny na ulicy, a zawieziony do domu w trzy dni ducha wyzionął.

Po śmierci Kopaczyńskiego w gronie jego krewnych i znajomych gruchnęła wieść, że Kopaczyński padł ofiarą zemsty, że go mianowicie otruto. Gdy wiadomość ta doszła do prokuratoryi, polecono poddać zwłoki zmarłego sekcyi sądowej.

I oto w dniu 8 bm. z polecenia sądu karnego udał się do mieszkania Kopaczyńskiego ul. Swiętokrzyska l. 23, komisarz policyi w towarzystwie dwóch ajentów i policyantów i zażądał od rodziny wydania zwłok, leżących już na katafalku. Pomimo oporu rodziny światła pogaszono, trumnę zamknięto i zwłoki zabrano do zakładu medycyny sądowej, celem poddania zwłok zmarłego sekcyi sądowej.

Wypadek ten poruszył całą dzielnicę Janowską, gdzie zaczęły krążyć rozmaite wieści. Śledztwo sądowe w toku, wobec tego dalszych szczegółów tajemniczej tej sprawy na razie wydostać nie można.

Ziemie Polskie pod Prusakiem.

Rydzyna.

W Kuryerze Poznańskim czytamy:

"W sprawie rydzyńskiej donosi Dzien. Pozn., że prawdopodobnie linia bielska ks. Sułkowskich wystąpi wkrótce z procesem o wydanie ordynacyi rydzyńskiej do której posiada podobno ważne prawa.

Na zapytanie nasze u kompetentnego źródła otrzymaliśmy odpowiedź sceptyczną. Można podobno jeszcze obecny stan rzeczy zakwestyonować z pewnej strony, ale z innej, niż ta, na którą wskazuje wiadomość o linii bielskiej."

Skandal kolonizacyjny.

Koloniści niemieccy z Rosyi, osiedleni przez germanizacyjny Landbank w Żabikowie pod Poznaniem, nie przestają pomimo dotychczasowych niepowodzeń buntować się przeciw władzom i dzięki temu przedostają się do wiadomości publicznej szczegóły, rzucające bardzo interesujące światło na charakter "kulturalny" akcyi kolonizacyjnej. Przed paru dniami odbyło się nowe zebranie protestujące kolonistów i na niem przywódca niezadowolonych Linnenkohl scharakteryzował działalność banku kolonizacyjnego w sposób następujący:

Żądni sławy i zaszczytów naczelnicy hakatyzmu, którym germanizacya na kresach wschodnich postępowała zbyt wolno, zainicyowali kolonie robotnicze. Pierwszą założono w Żabikowie w roku 1905. Wówczas komisya kolonizacyjna kupiła od polskiego gospodarza Dolaty 450 morgów magd. Po odłączeniu pewnej części na szkołę, zbór, drogi itd., pozostało 360 morgów i na tym obszarze osiedlono 203 [!] kolonistów.

"Landbank" rozpoczął spekulacye i zarobił w krótkim czasie przeszło ćwierć miliona marek. Rząd ofiarował na założenie kolonii w Żabikowie pół miliona marek. W jaki sposób zużyto ten fundusz, to tajemnica banku kolonizacyjnego. Koloniści wiedzą tylko tyle, że bank, zagarnąwszy tę sumę i wyzyskawszy ich niemiłosiernie, nic dla nich uczynić nie chce. To też nie dziw, że wielu uciekło z pozostawieniem całego dobytku i ze stratą włożonych w kolonie pieniędzy.

Mówiąc o swoim losie. Linnenkohl nadmienił, że nieszczęścia w rodzinie przyprawiły go o stratę reszty majątku. Gdy wreszcie roku pobytu jego w Żabikowie nie mógł zapłacić około 150 marek renty, sprzedano mu zagrodę i wyrzucono go z rodziną z mieszkania. Pożycie wśród kolonistów pozostawia wiele do życzenia. Bezustannie procesują się o obrazę, w czem niepoślednie miejsce zajmuje pastor Schatz, z którego przyczyny już nie jeden kolonista powędrował do więzienia. W odpowiedzi na skargi kolonistów, władze żądają od nich naprawy niedostatków w budynkach; nieposłusznych karzą pieniędzmi i wtrącają do więzienia, a opornym grożą zamknięciem w domu obłąkanych. Tak wyglądają kultura pruska i niemieckie obyczaje, które mają być przykładem dla Polaków na kresach wschodnich." Temi słowy zakończył swoje wywody kolonista.

Interesujący szczegół podniósł inny trzymając się jeszcze na swojej osadzie kolonista, oświadczając że zatrudnia z zasady tylko robotników polskich, ponieważ są daleko lepszymi pracownikami niż niemcy.

Smutny rozgłos, którego nabrała sprawa żabikowska, nie zachęca rzeczywiście chłopów niemieckich do osiedlania się na wschodzie pod opieką władz rządowych. A wobec tego i innych oświadczeń rząd nie ma powodu śpieszyć się z wywłaszczeniem.

O przysięgę i słowo honoru.

Przed poznańskim sądem ławniczym stawał właściciel majątku, Oton Kliemchen z Poznania, obwiniony o obrazę radcy regencyjnego, Schillinga, skutkiem zarzucenia mu krzywoprzysięstwa. W postępowaniu dowodowem stwierdzono co następuje. Oskarżony, nabywając majątek Zwierzyniec, dał podczas układów radcy Schillingowi słowo honoru, że majątku nie sprzeda Polakowi. Skutkiem tego odstąpiono od zapisania uwagi w księdze gruntowej z wyznaczeniem kary konwencyonalnej w razie niedotrzymania warunku. Gdy pomimo to oskarżony później oddał majątek w ręce Polaka, zaczepił go poznański Tageblatt, pomawiając o brak patryotyzmu i złamanie słowa honoru. Z tego powodu wniósł p. Kliemchen przeciw odpowiedzialnemu redaktorowi skargę o publiczną obrazę. W rozprawach przed sądem ławniczym twierdzenie p. Kliemchena, że podobnego przyrzeczenia pod słowem honoru nie dał, zbite zostało zaprzysiężonem zeznaniem radcy regencyjnego, p. Schillinga, a oskarżony redaktor został uwolniony. Kilka dni po terminie spotkał się oskarżony na ulicy z podpułkownikiem, Mullerem-Humpfingiem, który z powodu tych zajść zerwał z nim stosunki towarzyskie i przy tej okazyi, ponownie wyraził ubolewanie, że z przyczyn narodowościowych nie może z nim przestawać. Aby się zrehabilitować, oświadczył p. K. że odnośnego słowa honoru nie dał, a p. radca Schilling zaprzysiągł przed sądem nieprawdę. W terminie wczorajszym obstawał oskarżony przy swem twierdzeniu. Przy inkryminowanem zapewnieniu był tak wzruszony i zirytowany, że nie uświadomił sobie jego doniosłości. Sąd przypuścił że oskarżony w zamiarze ratowania swego honoru działał w obronie uprawnionych interesów, ale posunął się zadaleko. Z tego powodu nałożono oskarżonemu tylko 50 marek grzywny.

Robotnicy obcy w Prusach.

Według najnowszych danych statystycznych było w Prusach robotników zagranicznych wogóle: w roku 1905: 454,000; w roku 1906: 773,000 a w roku 1908: 780,-000. Z Austryi pochodziło w tym roku 342,000, wyłącznie niemal Polacy i Rusini, z państwa rosyjskiego 184,000, z Włoch 106,000, z Holandyi 104,000. Polaków i Rusinów było więc w tym roku przeszło 520,000! Słusznie też podnoszą pisma polskie w zaborze Pruskim, jaką klęskę zadać można niemieckiemu rolnictwu i przemysłowi gdyby w Galicyi i w Królestwie powiodło się ten ruch emigracyjny za robotą, albo zupełnie powstrzymać, albo do innych skierować krajów.

Także filareta.

W Poznaniu ukazał się pierwszy numer czasopisma dla młodzieży p. n. "Filareta". Właściwym celem tego organu, chociaż starannie ukrytym jest — jak pisze K. Poznański, — walka z prądem ideałów wśród młodzieży, który zdaniem kierowników "Filarety", zbyt wielki ma kult dla "powstań naszych", dla "kolorowych ułanów" i "szwoleżerów" i który zbyt silny kładzie nacisk na łączność z Królestwem i Galicyą. Walka z tym prądem ideowym wśród młodzieży jest oczywiście tylko środkiem do innego celu — zmierza do odcięcia przypływu młodych sił inteligentnych ruchowi politycznemu w społeczeństwie, który pewnym sferom staje się zbyt niewygodnym.

Niezręczne jednak stanowisko redakcyi we wspomnieniu pośmiertnem o śp. Patronie ks. Wawrzyniaku, w którem wystąpiono przeciwko kultowi tradycyi narodowych [np. o szwoleżerach mówi autor, że "w pokoju zostaliby trutniami, darmozjadem Zagłobą"] ujawniło po części tendencyę nowego organu dla "młodzieży", który ma walczyć z jej "zmateryalizowaniem" i wywołało protest zarówno ze sfer młodzieży, jak i kół społeczeństwa.

Zaprzaństwo.

W urzędowym dzienniku powiatowym w Strzelnie ogłasza Polak gospodarz, Wincenty Kubiak, że ma na sprzedaż swoje gospodarstwo, polscy nabywcy są jednak wyłączeni.

Zwycięstwo w Poznaniu.

Polacy święcili przy częściowych wyborach miejskich zupełny tryumf. W trzeciej klasie, najniżej opodatkowanych, wybrano samych Polaków. Wpłynęło na to rozporządzenie ministra, dopuszczającego do wyborów tych niezamożnych obywateli, którzy mając odpowiedni dochód, otrzymali jednak ulgi z powodu posiadania licznej rodziny, i byli dlatego pozbawieni dotychczas praw wyborczych. Polacy zdobyli cztery nowe mandaty. Koło polskie w Radzie miejskiej składać się będzie zatem z dwunastu radnych, gdy dotychczas liczyło tylko ośmiu. Niemcy dotychczas posiadają jednak w Radzie poznańskiej znaczną większość, gdyż są zamożniejsi i w klasach 1-ej i 2-ej posiadają wpływ przeważny.

Poznań.

Na konferencyi dziekanów, która odbyła się przeszłego tygodnia w seminaryum duchownem pod przewodnictwem biskupa sufragana Likowskiego i w której brali udział też kanonicy obu archidyecezyi i profesorowie seminaryum duchownego, oświadczono się zatem, żeby względem uroczystej pierwszej komunii św. dzieci dotychczasowego zwyczaju nie zmieniano i że tylko dobrze rozwiniętym dzieciom, choć są młodsze, należy prywatnie udzielać Komunią św. Obradowano też nad polepszeniem dochodów organistowskich i uchwalono, że te mają wynosić przynajmniej 800 marek rocznie. Potem dziekani złożyli przysięgę, odrzucającą zdania modernistyczne, jak ją już przedtem złożyli kanonicy, profesorowie seminaryum i urzędnicy kancelaryi. Inni księża złożyli ją w ręce dziekanów.

Nowy organ hakatystów.

Hakatyści stracili w ostatnich czasach tu i owdzie grunt pod nogami. Wychodząc z tego założenia, że ich główny organ poznański "Tageblatt", dlatego nie wywiera należytego wpływu, iż stoi na stanowisku konserwatywnym, postanowili wydawać nowe pismo codzienne "Ostdeutshe Warte" o celach i zdaniach czysto hakatystycznych, antypolskich, bez zabarwienia społecznego. Nowe pismo wychodzić będzie tym samym nakładem, co konserwatywny "Tageblatt".

Niebezpieczni śpiewacy.

Po dwuletniem śledztwie rozpoczął się 14 z. m. przed Izbą karną w Lesznie proces przeciw Tow. śpiewackiemu "Cecylia" z Czarnkowa pod Kościanem o 'należenie' do tajnych związków i podburzanie do "gwałtów". Oskarżonych jest 27 osób, między nimi poseł Świtała, ks. proboszcz Dykier, cały szereg obywateli i gospodarzy z Kościana.

LEŚNA RÓŻYCZKA
CZYLI TAJEMNICA ŻEBRAKA.

WIELKA POWIEŚĆ HISZPAŃSKA
PRZEZ
Kapitana Ramon Diaz de la Escosura.

ROZDZIAŁ I.

Zamach na życie hrabiego Rodriganda.

"Wtem jęk boleści przeraził me uszy...
Więc wytężonem patrzę przed się okiem,
A mistrz mój dobry rzecze: "Owóż, synu,
Gród się przybliża, który zwie się Dite,
W nim mieszka wielki tłum ciężkich zbrodniarzy."

(Dante Alighieri.)

Od strony południowych stoków pirenejskich zdążał truchtem jeździec ku słynnemu od dawna miastu Manreza. Muł, na którym siedział, był niezwykle silny, bo też i sam jeździec był wysokiej, potężnej postawy.

Jeden rzut oka wystarczał, aby poznać, że olbrzymi jeździec niezwykłą musiał posiadać siłę. Zazwyczaj mają takie silne postacie najspokojniejsze i najpotulniejsze usposobienie. Tak też otwarte i ufność wzbudzając oblicze naszego nieznajomego, jak i jego jasno spoglądające siwe, oczy mówiły wyraźnie, że nie nadużyje on niesłychanej swojej siły. —

Jasny włos i rysy twarzy zdradzały, że nie był mieszkańcem południa; oblicze jednak było opalone od słońca, a oko miało ostre, pełne i przenikliwe wejrzenie; spojrzenie takie napotykamy tylko u żeglarzy, u myśliwców stepowych, lub też u ludzi, którzy dalekie odbyli podróże. — Mógł liczyć może dwadzieścia sześć lat; spokój, jaki okazywał, doświadczenie i pewność siebie, które z niego tchnęły, robiły go jednakże starszym, jak był w istocie. Ubiór jego — francuskiego kroju — był z najlepszej materyi, ale wygodny. —

Z tyłu u siodła wisiała skórzana torba, w której zdawały się znajdować rzeczy, mające wielką wartość dla jeźdźca, gdyż od czasu do czasu macał mimowolnie za torbą, aby się przekonać, czy znajduje się tam jeszcze. —

Było już dawno po południu, kiedy przybył do Manrezy. Jechał wzdłuż starych murów i ciasnymi ulicami zanim dostał się do rynku, gdzie spostrzegł nowy, wysoki dom, nad którego drzwiami widniał w złotych literach napis "Hotel Rodriganda."

Nasz nieznajomy jechał szybko i zdawało się, że nie ma zamiaru w Manrezie odpocząć, skoro jednakże zobaczył ów napis, skierował muła ku bramie hotelu i zsiadł. —

Teraz dopiero, gdy dotknął ziemi stopami, można było w całej pełni podziwiać imponującą jego postać. W pierwszej chwili uderzała w oczy herkuliczna budowa jego ciała, lecz piękna harmonia, leżąca w budowie tej postaci, łagodziła to wrażenie i wzbudzała obok podziwu i szacunku przychylność ku niemu.

Kilku służących poskoczyło, by mu w czem posłużyć. Nieznajomy pozostawił im muła i wstąpił do izby,

— Nie — podajcie przekąskę i flaszkę Vinto regia.

Gospodarz dał odpowiednie polecenia, a następnie zapytał:

— To pan dziś nie chce pozostać w Manrezie?

— Jadę jeszcze aż do Rodriganda. Jak daleko stąd?

— Godzina drogi, sennor. Wyglądało tak, jakbyś pan miał był z początku zamiar koło mego hotelu prze-
która zdawała się być przeznaczoną dla wytworniejszych gości. W izbie był jeden tylko człowiek; przy nadejściu obcego podniósł się tenże uprzejmie ze swego miejsca.

— Buenas tardes — dobry wieczór! — powitał obcy.

— Buenas tardes! — odrzekł mężczyzna w izbie. — Jam tutaj gospodarz. Każe dobrodziej dać sobie mieszkanie?"
jechać i nie wstąpić.

— Tak było, — odpowiedział obcy.

— Wasza firma zatrzymała mię jednakże. Dlaczego nazywacie wasz dom: hotel Rodriganda?

— Gdyż byłem przez wiele lat służącym u hrabiego i jego dobroci zawdzięczam, że mogłem sobie wybudować ten dom.

— Tak, to znacie stosunki hrabiego dokładnie.

— O — i jak jeszcze.

— Ja jestem lekarzem i właśnie jadę do niego, aby mu się przedstawić.

Było by mi bardzo przyjemnie, gdybym mógł się naprzód obeznać ze stosunkami. Z jakimi osobami spotkam się w zamku Rodriganda?

Wbrew hiszpańskiemu zwyczajowi zdawał się gospodarz być uprzejmym człowiekiem, a może było mu przyjemnie w samotnej godzinie popołudniowej spędzić kilka chwil na rozmowie. Stał się gadatliwym:

— Chętnie udzielę ci, sennor, wszelkich objaśnień. Po wymowie poznaję, że nie jesteś pan Hiszpanem, lecz obcokrajowcem. W każdym razie zawołano pana do chorego hrabiego?

Nasz nieznajomy kiwał lekko głową, jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć, wreszcie odrzekł:

— Tak, coś podobnego, jak to odgadliście. Jestem Polakiem i nazywam się Zorski, byłem jednakże dłuższy czas pierwszym asystentem profesora Letourbiera w Paryżu; przed niedawnym czasem otrzymałem list z prośbą, abym jak najspieszniej przybył do Rodriganda.

— A tak — to pan jedziesz do Rodriganda!

— Może już hrabiego nie zastaniesz przy życiu.

— A to dlaczego? — spytał niespokojnie Zorski.

— Hrabia już od wielu lat ciemny na oczy, nieuleczalnie ciemny, jak mówią lekarze, a w ostatnich czasach rozwinął się u niego kamień; dziś ta choroba zagraża jego życiu; hrabia cierpi nie do opisania.

— Ocalenie jego leży tylko w operacyi.

— Hrabia chce się poddać tej operacyi i powołał w tym celu do siebie dwóch najsłynniejszych chirurgów, jednakże jego córka, hrabianka Róża, stawia niespodziewany opór tej operacyi. Lekarze nie mogli czekać i jak wczoraj słyszałem — ma się dziś odbyć operacya.

— O biada mi — a więc przychodzę za późno — zawołał obcy i powstał szybko.

— Muszę natychmiast w drogę. Może jeszcze czas.

— Trudno, sennor. Takiego cięcia nie przedsiębierze żaden lekarz po ciemku. Przedsięwzięto cięcie dzisiaj to już zapóźno. Zresztą... może jeszcze czekano, bo hrabianka stara się operacyę zwlekać z dnia na dzień chociaż lekarze, sam hrabia a i syn także nie chcą słyszeć o żadnej zwłoce.

— Hrabia Emanuel de Rodriganda-Sewilla ma syna?

— Tak, jedynaka; hrabia Alfons jest jego synem; bawił on przez długi szereg lat w Mexyku, gdzie ojciec ma rozległe i bogate posiadłości. Obecnie powołano go do domu, aby był obecnym przy operacyi; operacya niebezpieczna i może się zakończyć śmiercią. Hrabia Emanuel zrobił naturalnie poprzednio testament.

— Któż jest w zamku Rodriganda oprócz hrabiego i jego dwojga dzieci?

— Najpierw jest tam sennora Klaryssa, daleka krewna domu, a zarazem panną do towarzystwa młodej hrabianki, która już nie ma matki.

Sennora Klaryssa jest bardzo pobożna, ale hrabianka Róża nie lubi jej.

Następnie jest tam sennor Gasparino, właściwie adwokat i notaryusz stąd, z Manrezy; ten przebywa po największej części w zamku Rodriganda, gdyż on sprawuje właśnie interesa hrabiego. I Gasparino jest pobożny, a przytem nadzwyczajnie dumny. Jest tam jeszcze i poczciwy kasztelan Jan Alimpo i jego żona Elwira; dobrzy ludzie; tych panu polecam.

Innych niema, bo hrabia żyje samotnie.

— A znacie Mindrella?

— O, tego zna każde dziecko. To biedak, ale poczciwina; mają go w podejrzeniu, że się trudni przemytnictwem; stąd też zowią go zwyczajnie Mindrello, to jest przemytnikiem.

Temu jednak możesz pan ufać.

On lepszy od wszystkich, którzy nim pogardzają.

— Dziękuję, sennor. Po tem, co słyszałem, nie mogę się tutaj dłużej zabawić.

Buenas noches — dobra noc!

— Buenas noches, sennor! Życzę panu, byś nie przybył za późno.

Doktor Zorski zapłacił, kazał sobie przyprowadzić muła, wsiadł nań i odjechał galopem.

Słońce chyliło się ku zachodowi, do Rodriganda trudno było przed wieczorem dojechać. Podczas, gdy muł lekko pędził drogą, sięgnął jeździec do kieszeni i wydobył złożony papier. Stan, w jakim się ten papier — był to list — znajdował, zdradzał, że Zorski już nieraz go czytał; a przecież rozwinął go i czytał — może po setny raz — słowa pisane piękną i pewną ręką kobiecą:

"Doktor Zorski, Paryż, ulica Vaugirard 24.

PRZYJACIELU!

Rozstaliśmy się na całe życie, ale zaszły okoliczności, wobec których drżąc objawić muszę Panu życzenie, abyś do nas przyjechał. Ratuj pan życie hrabiemu Rodriganda. Przyjeżdżaj Pan prędko, bardzo prędko i zabierz z sobą instrumenty. Zajedź pan do Mindrella, przemytnika i pytaj o mnie. Ale błagam, przyjeżdżaj Pan natychmiast.

Rozetta."

I znowu złożył papier i ukrył w kieszeni. Jechał przez gęsty las dębowy, lecz nie widział ani drogi ani dębów, które drogę okalały. On marzy o przeszłości, o Paryżu i o chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczył tę, która ów list pisała. —

Było to w ogrodzie Des Plantes. Chciał usiąść na ławeczce, lecz spostrzegł, że była zajętą. Zdziwiony i zmięszany widokiem młodej kobiety, której samotność właśnie przerwał, postąpił kilka kroków w tył. I ona powstała; on zobaczył przecudną piękność; dotychczas nawet w wyobraźni swojej nie przedstawiał sobie kobiety tak skończenie pięknej. On — doświadczony lekarz — czuł, że mu puls bić przestaje; po chwili uderzyła mu krew do skroni i twarzy z dziesięciokrotną szybkością.

Owa chwila rozstrzygnęła o jego i... jej losie. Pokochali się niewymownie, lecz nieszczęśliwie. On mógł ją widywać tylko w ogrodzie. Ona oznajmiła mu, że jest panną do towarzystwa hrabianki Róży de Rodriganda, która właśnie ze swym ciemnym ojcem bawiła w Paryżu. — Z przyczyn, jakich nie chciała objawić, ślubowała nie wyjść nigdy za mąż. On był szczęśliwy, że odwzajemniła jego miłość, lecz szalał z boleści na myśl o jej niezłomnem postanowieniu, którego przyczyny nie mógł pojąć. Prosił, błagał, zaklinał. Ona łzy roniła, ale była nieubłaganą. Wnet potem odjechała, a on — nieszczęsny — musiał jej przyrzec, że nigdy o nią nie będzie pytać. Chcieli rozstać się na ziemi, aby się kiedyś tam w górze znowu zobaczyć. Tylko raz jeden wolno mu było przycisnąć ją do gorącego serca i złożyć na jej ustach płomienny pocałunek; rozkosz tej chwili przytłumiła boleść rozłąki i od tej chwili walczył jak olbrzym z cierpieniem, które mu szarpało piersi i targało życie; zwycięstwa nie odniosł. Przecudna istota, którą posiadał na to, aby ją stracić, była myślą dni i snem nocy, i chociaż miał nadzieję, że serce kiedyś odzyska spokój połową zmarnowanego życia. W tem otrzymuje list. Czytał go i czuł, że drżą wszystkie jego nerwy. Bez pytania, bez wahania zebrał co potrzeba i pędził za głosem swej drogiej. A więc ona przecież wspomniała nań, ona urocza, nadludzka istota, jedna z bogiń, której oczy przyświecają czasem nędznemu życiu śmiertelników, jak promienie słońca. Musiał słuchać i pędził przez całą Francyę, przez wysokie Pireneje i oto teraz, teraz w końcu zbliżał się do celu, do niej — ukochanej, wspaniałej, niezapomnianej, do której należał sercem, duszą, życiem całem. Galop muła był mu za powolny, zachęcał go do podwójnej szybkości. Właśnie gdy słońce skryło się za wyżyny zachodnie, wjeżdżał do wsi Rodriganda.

Wioska robiła lepsze wrażenie, jak zwyczajne miejscowości hiszpańskie. Droga była szeroka i czysta, a domki, w których już migotały światełka, okolone były dobrze utrzymanymi ogródkami, pełnymi kwiatów. Hrabia Emanuel de Rodriganda-Sevilla nie był tylko panem, lecz także i ojcem swoich poddanych i robił wszystko, aby szczęście ich i dobrobyt podniósł.

Zorski zapytał pierwszego przechodnia o dom Mindrella; wskazano mu ostatni domek na krańcu wsi. Przed domkiem tym zeskoczył z muła i wstąpił do izby. Cała familia była właśnie przy wieczerzy. Mąż, żona, teść i czworo dzieci, których jasne oczki bez obawy spoglądały na obcego, stanowiły rodzinę.

— Czy tu mieszka Mindrello? — zapytał Zorski.

— Tak, sennor, ja jestem Mindrello — odrzekł mężczyzna, podnosząc się z krzesła.

Mężczyzna był silny, przysadkowaty; zdało się, że może trudom urągać; otwarte jego oblicze wzbudzało ufność do niego; wyraz oblicza to najlepsze i najpewniejsze polecenie w tym względzie.

— Znacie wy pannę do towarzystwa hrabianki de Rodriganda?

— Jakżeż się nazywa? — badał Hiszpan z ciekawą miną.

— Rozetta.

— Święta Panno z Korduby, toż to pan Zorski z Paryża? — zawołał Mindrello.

— Tak — nim jestem.

Na to podskoczyli wszyscy i wyciągnęli z radością ręce ku niemu; nawet dzieciaki odważyły się bliżej przystąpić i z uśmiechniętymi twarzyczkami podawały swe rączęta do uścisku.

— Witaj, serdecznie witaj! — zawołał znowu Mindrello. — Prawie w czas pan przychodzisz. Jasna panna hrabianka — piękna Juno, to jest, chciałem powiedzieć poczciwa panna Rozetta jest w wielkiej trwodze. Zaraz poszlę po nią.

— Czy hrabia był już dziś operowany?

— Nie, jeszcze nie. Hrabianka tak długo prosiła i błagała, aż wreszcie jeszcze raz odłożono operacyę; jutro odbędzie się na pewno. Hrabianka ma nadzieję, że pan przyjedziesz.

— To ona wie o liście, który mi jej towarzyszka, sennora Rozetta, pisała?

— Tak — hm, naturalnie, że wie — odrzekł hiszpan z zakłopotaniem. — Sennor, myśmy tu na dzisiaj przygotowali dla ciebie pokoik, tam na górze, gdzie kwiatki w oknach stoją. Ja pana tam zaprowadzę i każę podać wieczerzę, zanim sennora nadejdzie.

— A mój muł?

— Znajdzie miejsce i pożywienie u sąsiada — dopóki pan się z nim do zamku nie sprowadzisz. Proszę iść za mną, sennor!

Mindrello prowadził Zorskiego małymi schodkami do pokoiku na poddaszu; pokoik był niski, ale czysty; lekarz dotykał głową sufitu. Czystość w Hiszpanii to wielka rzadkość. Wkrótce podano wieczerzę.

Podczas wieczerzy napawał się Zorski przez otwarte okno ślicznym widokiem zamku Rodriganda, zbudowanego w kształcie wielkiego czworoboku jeszcze za czasów Maurów. Otoczony był lasem korkowym i wyglądał jak wznoszący się z pośród zieleni pałac kalifów, taki czysty, biały, nieskalany, jakby go wzniosły rączki aniołków i świętych.

Dzień znikł z doliny i zmrok wnet ustąpił, a wieczór rzucił swoje cienie na wieś i zamek.

Zorski zaświecił lampę i przejrzał instrumenty, które mu Mindrello przyniósł, zanim muła zaprowadził do sąsiada. Po chwili usłyszał lekkie kroki na schodach, a następnie zapukano do jego drzwi.

— Proszę! — odpowiedział.

Drzwi się otwarły i przed nim stanęła... ona, za którą tęsknił tak długo każdą myślą serca swego. Zorski rozwarł ramiona i chciał biedz naprzeciw niej, lecz tak mu się stało, jak on czas w Paryżu. Ona, pojedyncza panna do towarzystwa, stała przed nim tak dumna, tak wysoka, tak wzniosła, jak królewna jaka. Zorski stanął jak wryty i wahał się, rączkę jej pochwycić.

— Rozetta — wybuchnął.

To było wszystko, co mógł wypowiedzieć; ale w jednem tem słowie zawarty był świat cały uroku i... przebytych cierpień.

Ona stała przed nim również wzruszona, jak on. Zorski zbladł, rękę podniósł ku sercu, oko stawało się większem, ciemniejszem, jakby się łzami napełniało. Teraz drżał i jej głos, gdy zapytała:

— Sennor Karlos, paneś mnie jeszcze nie zapomniał?

— Zapomniał? — Ja mógłbym panią zapomnieć, zapomnieć tych kilka chwil, których pamięć szła za mną przez lądy i morza... Ja pamiętam, że pani serce było moją własnością, że pani dusza wybiegała radośnie naprzeciw mojej, że pani oczy patrzały na mnie z wiarą, że kochały mię pani myśli i usta. Żądaj wszystkiego, tylko nie żądaj, abym cię kiedyś miał zapomnieć. Pani jesteś moją myślą, mojem marzeniem, mojem życiem, mojem cierpieniem. Panią zapomnieć, to jedno i to samo co umrzeć.

— A przecież to musi nastąpić. Dziś jednakże możemy się widzieć; dzięki panu, żeś przybył.

— O, sennora, wierzaj, że przybyłbym, choćbym leżał na łożu śmiertelnem — odpowiedział Zorski z wielkiem wzruszeniem.

— Wierzę, sennor — i jam doświadczyła, potęgi miłości. Lecz mówmy teraz o tem, co mię spowodowało, powołać pana do nas.

— List pani nie był niejasny, wszakże przeczuwałem, że hrabia jest w niebezpieczeństwie. W Manrezie dowiedziałem się, że ma się poddać operacyi.

— W istocie, lecz są jeszcze inne powody, które mię niepokoją, a które tylko panu wyjawić mogę; do pana mam takie nieskończone zaufanie. Ja przeczuwam, że hrabia znajduje się jeszcze w innem niebezpieczeństwie, nie z powodu choroby. Lecz pan jest u nas, to mię uspokaja. Zdaje mi się, jakby z przybyciem pana niebezpieczeństwo zażegnane zostało.

Wobec tej szczerości słów, rozjaśniło się oko Zorskiego. Wyciągnął obie ręce ku niej i pytał drżącym głosem:

— Tak wielką jest twa ufność, Rozetto? O — to pewny jestem, że mię kochasz jeszcze.

Ona złożyła swe rączki w jego i odpowiedziała:

— Tak — Karlos — kocham cię, kocham cię jeszcze całą siłą mej duszy, tak, jak wówczas przy naszem rozstaniu. Słowo moje nie było pustym dźwiękiem. Ja cię nie przestanę kochać — dopóki tej ziemi nie opuszczę. Jam była ci zagadką. Jutro dowiesz się o wszystkiem i wtedy pojmiesz, że rozstanie, to nasze przeznaczenie.

— Dlaczego jutro? Dlaczego nie dziś? — pytał pieszczotliwie.

— Gdyż ciężko mi wypowiedzieć to, co nas rozłączy. Jutro powie ci to naga rzeczywistość. Karlos, kochany Karlos — nie narzekajmy na przeznaczenie, szukajmy szczęście w tem jednem, iż nasze serca należą do siebie. Rozłąka... ale... musi... nastąpić — mówiła ledwo słyszalnym, urywanym głosem.

— Nie dajmy się unieść namiętności, pozwól mi teraz mówić o tem, co mię tu sprowadza.

Duszą Zorskiego miotały inne uczucia, lecz zmusił się być spokojnym i poprowadził ją do krzesła.

Ona opowiedziała cały przebieg choroby hrabiego i kończyła:

— Hrabia zdał się na operacyę i rozkazał synowi hrabiemu Alfonsowi, przybyć z Ameryki, aby go jeszcze raz widział i aby obecnym był dziedzic majątku, jeżeli operacya się nie uda. Hrabianka była bardzo maleńkiem dziecięciem, kiedy ostatni raz widziała odjeżdżającego brata. Szesnaście lat przeszło i teraz z całego serca cieszyła się jego powrotem. Przybył wreszcie, ona biegła naprzeciw, aby spocząć na jego piersi. Ale tylko jeden krok, potem stanęła z napróżno wyciągniętymi ramionami. Ten, który przed nią stał, nie śmiał jej dotknąć, nie wiedział dlaczego, lecz mówiło jej jakieś wewnętrzne przeczucie, że to nie spojrzenie, nie głos jej brata; jego oblicze było obce, a słowa zdradzały, że jest człowiekiem bez serca. Jam go potem śledziła codziennie i widziała, jakie spojrzenie mówiło: "Ja czyham na twoją śmierć!" Uczułam trwogę, przeczuwałam tajemnicę i w tej śmiertelnej trwodze pisałam — prosiła mię hrabianka, abym do pana napisała, byś przybył i dopomógł.

— Stanie się, co tylko w mej mocy. Operacya ma się jutro odbyć?

— Tak. Odroczyć się nie da.

— Kiedy?

— Słyszałam, że o jedenastej godzinie.

— Czy będę mógł przedtem widzieć hrabiego i mówić z nim?

— Z pewnością, jeżeli się pan poprzednio każe zaprowadzić do hrabianki.

— Kiedyż raczy mię ta przyjąć?

— Przyjdź pan o dziesiątej godzinie! Czy operował pan kiedy kamień?

Zorski uśmiechnął się lekko.

— Bardzo często, sennora. Sądzę nawet, iż uchodzę za słynnego operatora w tym względzie.

— Czy operacya jest niebezpieczna?

— Ja muszę najpierw zbadać chorego; przedtem nie mogę nic powiedzieć.

Czekajmy aż to nastąpi.

— A więc dobrze. Ja mam do pana niezmierne zaufanie. Tylko pan możesz przynieść ratunek, jeżeli w ogóle ratunek możliwy.

Ona powstała a Zorski zapytał smutno:

— Odchodzisz sennora?

— Tak, moją nieobecność łatwo spostrzegą. Przyjdziesz pan o dziewiątej?

— Niezawodnie! Czy mogę ci towarzyszyć, sennora?

Ona zarumieniła się i odrzekła:

— Jest już ciemno, nie zobaczy nas nikt. Proszę, chodźmy razem ku zamkowi.

Opuścili domek i Zorski podał jej swe ramię. Kto by ich teraz widział kroczących obok siebie, z pewnością uważałby ich oboje za bardzo dobraną parę.

Szli w milczeniu, ale tem głośniejsze było bicie ich serc. On czuł jej ramię przy sobie, ale nie byłby się odważył silniej ją ku sobie przycisnąć. Zdawało mu się, iż kroczy obok niego nadziemska, nieskończenie wyższa istota, którą mu tylko ubóstwiać wolno. Gdy stanęli przed bramą parku, aby się pożegnać uczuł gorąco w swem sercu i wyciągniętą ku niemu rączkę przycisnął na jedną sekundę do piersi, lecz nie odważył się dotknąć jej ustami.

— Dobra noc, Karlos — rzekła. — Odpocznij po dalekiej podróży.

— Odpocząć? — pytał. — Moja dusza nie będzie mieć spokoju, dopóki nie znajdzie spokoju w grobie. Dobra noc, sennorito!

Chciał odejść, wtem ona ujęła jeszcze raz jego rękę, przystąpiła blisko, bardzo blisko do niego i oparła swą główkę na jego ramieniu. On uczuł jej gorącą, pełną pierś na swem sercu i słyszał ledwo słyszalną prośbę:

— Mój Karlos, przebacz mi i nie bądź nieszczęśliwy!

Teraz objął ją Zorski rękoma, przycisnął silnie do siebie i szepnął:

— Jakże mogę być szczęśliwy, jeżeli ty, moje światło, moja gwiazdo, moje słońce — nie chcesz mi przyświecać!

— Nasze serca nie rozstaną się nigdy. Bóg z tobą!

Po tych słowach opuściła go i weszła do parku.

Zorski stał i słuchał, aż ucichł szelest jej lekkich kroków. —

Prawie w tym samym czasie prowadzono w jednym pokoju zamkowym rozmowę, za której podsłuchanie wiele dałby Zorski.

W pokoju tym mieszkał jeden z chirurgów, którzy mieli — przy asystencyi lekarza z Manrezy — uleczyć hrabiego od kamienia.

Sennor Gasparino Kortejo był również w pokoju. Właśnie powstał, aby się pożegnać i rzekł swym zimnym, ostrym głosem:

— A więc pan sądzisz, że operacya bez wątpienia śmierć mu przyniesie?

— Ani chwili o tem nie wątpię!

— Czy koledzy pańscy nie sprzeciwią się?

— Nie odważą się być innego zdania, od mego. Przecież pan wiesz, iż należę jako chirurg do koryfeuszów — była dumna odpowiedź.

— Dobrze. Ale musisz pan utwierdzić hrabiego w przekonaniu, że zostanie uratowany?

— Naturalnie.

— Tak więc stoi przy umowie. Operacya odbędzie się, aby hrabianka nie wiedziała, już o ósmej godzinie rano. Wynagrodzenie otrzyma pan w mojem pomieszkaniu w Manrezie. Dobra noc!

— Dobra noc!

Uścisnęli sobie ręce bardzo grzecznie — jakby jeden drugiego uważał za skończonego gentlemana — i rozeszli się. Adwokat nie poszedł jednakże do swego pokoju, lecz sennory Klaryssy i zaryglował drzwi za sobą.

Dama nosiła zwykle czarny ubiór. Teraz jednakże miała na sobie jasny strój nocny, któregoby się nie powstydziła żadna tancerka.

Postać jej była silna i pełna, ale wyraz twarzy był ordynarny, niekobiecy; do tego patrzyła na jedno oko zyzem. Mogła liczyć może 50 lat.

— Witaj sennor — rzekła siadając z bezwstydną kokieteryą na atłasową otomanę. — Już dawno czekam na te odwiedziny. Jakżeż sprawa stoi?

— Bardzo dobrze — odrzekł, zabierając miejsce obok niej. — Chirurg zgodził się.

— A więc Bóg kierował jego sercem, abyśmy owoce naszej długoletniej wstrzemięźliwości wreszcie spożywać mogli. Będzie cięcie śmiertelnem?

— Absolutnie.

— A więc nie możemy zmienić biegu rzeczy — mniemała pobożnie, zawracając oczyma.

— Życzę hrabiemu, aby go Pan Bóg uwolnił od cierpień. Czy kontezza nie będzie znowu stała na przeszkodzie?

— Tym razem nie, moja kochana. Ona myśli, że operacya odbędzie się o jedenastej; tymczasem my zarządziliśmy operacyę na ósmą godzinę. Hrabia będzie na tamtym świecie, kiedy hrabianka będzie jeszcze robiła toaletę.

— A hrabia Alfons? — pytała przymrużając ruchliwe swe oczy.

— Ten jest zupełnie po temu, aby ukoronować nasze dzieło.

— Rzeczywiście, rzeczywiście. Bezbożny świat ani się domyśla, ani też kiedy się domyśli, jak my to pięknie urządzili. Kochaliśmy się, stary Gasparsiu, ale nie mogliśmy się pobrać. Ja byłam córką dumnego hidalga, a ty biedota, goły. Bylibyśmy dziecko naszej gorącej miłości zabić musieli, gdybyś był nie wpadł na genialną myśl, zamienić je z małem hrabiątkiem Alfonsem, którego wysłano z bratem do Mexyku. Teraz jesteśmy rodzicami hrabiego i jutro już będziemy rozporządzać milionami familii Rodrigandów. Chodź, chodź tu bliżej do mnie, zapomnijmy o tem, że nie mogłam zostać twą żoną.

Zorski nie mógł spać. Spotkanie z gorąco ukochaną dziewczynką wzburzyło krew jego tak, że o śnie ani mowy nie było. Całą noc przechodził w swoim pokoiku. Z brzaskiem dnia zobaczył, iż sąsiad już nie spał, zeszedł więc do niego i kazał sobie muła osiodłać. Siadł nań i jechał bez kierunku i celu. Wkrótce zobaczył

przed sobą Manreza, więc zboczył na drogę prowadzącą do Rodriganda, którą właśnie wczoraj przybył.

Stała tam samotna oberża, przed którą uwiązany był koń osiodłany, znak, że jakiś gość przybył. I Zorski zeskoczył z muła. Od wczoraj nic nie jadł i chciał zapytać, czy nie dostanie filiżanki kawy. Wstąpił do środka i zobaczył nie bardzo dobrze ubranego mężczyznę, siedzącego przy stole, a przed nim torbę z chirurgicznymi instrumentami. Był to, o czem Zorski nie wiedział, lekarz z Manreza, który miał asystować przy operacyi hrabiego.

Gospodarz, który obok niego siedział — prowadził — podawszy Zorskiemu żądaną przez niego kawę — dalej urwaną rozmowę:

— A więc to do hrabiego jedziesz pan, panie doktorze?

— Tak jest, jak to właśnie powiedziałem — odrzekł tenże. —

— Czy przyjdzie dzisiaj pewnie do cięcia?

— Na pewno!

— Kiedy?

— Już o ósmej godzinie.

— Mnie się zdaje, że hrabianka znowu nie pozwoli!

— A, tej nie będziemy pytać. Powiedziano jej zresztą, że operacya dopiero o jedenastej się rozpocznie.

— Myślisz pan, że biedny hrabia wyzdrowieje?

— Tak — i — nie — kto tam wie!

Zorski miał dosyć. Wypił prędko kawę, zapłacił i opuścił gospodę, nie dając ani jednem słowem, ani jednem poruszeniem do poznania, jak ważną była dla niego prowadzona rozmowa. Galopem pędził do domu i pół godziny przed ósmą stanął przed domem Mindrella.

Zaprowadził muła do sąsiada, wziął instrumenty i biegł do zamku. Brama, pod którą rozstał się wczoraj ze swą ukochaną, była otwarta. Zorski wszedł do parku i szybkimi krokami zmierzał ku zamkowi.

Na skręcie jednej długiej alei stanął jak wryty. Przed nim stała kontezza Róża. Przestraszony wzrok jego spoczywał na niej, jakby na obrazie najcudniejszego snu, lecz serce tłukło się w piersi, jakby przeczuwało nieszczęście. Mogłaż ta wytworna pani być tylko panną do towarzystwa?

— Rozetta! — zawołał, wyciągając ręce na pół pożądając, na pół broniąc się ku wspaniałej postaci.

— Sennor Karlos — odpowiedziała. — Dlaczego pan przychodzi tak wcześnie do parku?

— O mój Boże, czyż ja śnię? Przeczuwam okropność. Sennora, donna, pani nie jesteś Rozetta, towarzyszka, lecz...

— Lecz? — pytała. — Mów dalej sennor!

— Pani jesteś hrabianka Róża.

— Tak, ja jestem sama hrabianka. Zgadłeś Karlos — odpowiedziała. — Czy możesz mi przebaczyć?

— Przebaczyć? O mój Boże, jakże to okrutne. Tak, teraz wiem, dlaczego musimy się rozstać. Dlaczegoś mi to uczyniła, dlaczego Różo?



"O mój Boże, czyż ja śnię? — Pani jesteś hrabianką Różą!"

— Gdyż cię kochałam i chciałam być choć kilka chwil szczęśliwą. Stało się, tem okrutniejsza kara nastąpi. Mój ojciec — ale ja widzę u pana instrumenty i przychodzisz pan tak wcześnie — przerwała przestraszona — co to ma znaczyć?

— Co to ma znaczyć? — powtórzył Zorski jakby we śnie. — Ach tak, byłbym prawie zapomniał o bardzo ważnej rzeczy, hrabianko. Twój ojciec znajduje się w największem niebezpieczeństwie!

Po pięknem obliczu kobiety przeszedł strach.

— Mój ojciec? — pytała blednąc. — O ile?

Zorski wyciągnął zegarek, popatrzył i rzekł:

— Już czas, sennora. Zaraz rozpocznie się operacya twojego ojca.

— Teraz? Operacya przecież dopiero o jedenastej godzinie!

— Nie pani, zawiedziono panią. Dziś podczas rannego spaceru podsłuchałem — nie dając się sam poznać — rozmowę lekarza z Manrezy i cięcie odbędzie się o ósmej.

— Święta Panno! Przeczuwam niebezpieczeństwo, złe zamiary, kiedy używają postępu, chodź, sennor, chodź prędko; my musimy przeszkodzić!

Obróciła się i w największem wzruszeniu biegła do zamku; Zorski biegł za nią.

Właśnie gdy wstąpili do krużganku, odprowadzono konia do stajni. Zorski poznał zaraz, że to koń onego lekarza z Manreza i musiał się bardzo spieszyć, kiedy przybył tak wcześnie do Rodriganda.

— Śpiesz się sennora! — upomniał Zorski. — Operatorowie już są zebrani; nie mamy ani chwili do stracenia.

— Naprzód! Prędko, prędko! — wołała hrabianka, biegnąc po schodach, wyłożonych bogatymi dywanami. Wreszcie stanęli pod drzwiami, u których stał służący w liberyi.

— Czy hrabia się już zbudził? — pytała tegoż.

— Tak, jasna panno hrabianko — brzmiała odpowiedź.

— Czy hrabia sam?

— Nie, są już lekarze u niego.

— Jak dawno?

— Dziesięć minut.

— Przecież nie zapóźno. Proszę wstąpić sennora.

Hrabianka chciała wstąpić, lecz służalec zastąpił jej drogę i wprawdzie bardzo grzecznie, lecz stanowczo oświadczył:

— Przebaczenia, kontezzo; mam surowy nakaz nikogo nie wpuszczać do hrabiego.

— Nawet mnie?

— Szczególnie pani mam zabronić przystępu.

Oblicze jej przybrało gniewny wyraz; rzuciła główką w tył i dumnie zapytała:

— Kto dał tobie takie rozkazy?

— Hrabia Alfons, który właśnie jest u hrabiego pana.

— Ach, więc to ten! Na bok!

— Nie mogę! Przebacz kontezzo; nie mogę inaczej, gdyż mam rozkaz......"

Nie skończył, gdyż Zorski pochwycił go za ramię i cichutko, ale z niesłychaną siłą usunął na bok i otworzył drzwi. — Drzwi te prowadziły do przedpokoju hrabiego, do którego wstąpili.

Służący szedł za nimi, lecz nie ważył się stawiać dalej oporu. Z przedpokoju prowadziły drzwi do sali, w której pan zamku dawał zazwyczaj posłuchanie.

Hrabianka Róża znalazła drzwi zamknięte, więc zapukała.

— Kto tam? — pytał głos z wnętrza, który hrabianka jako głos swego brata poznała.

— To ja — odpowiedziała — otwieraj prędko!

— Ty jesteś, Różo? — zawołał nieprzychylnym i zdziwionym tonem Alfons. — Kto cię tu wpuścił?

— Ja sama.

— Ależ otwórz prędko, Alfons! — niespokojnie wołała Róża.

— Proszę, idź napowrót do swego pokoju. Lekarze zabronili surowo, aby im nikt nie przeszkadzał.

— Ja koniecznie chcę widzieć ojca, nikt mi tego zabronić nie może. Zresztą przecież operacya dopiero o jedenastej.

— Ojciec polecił teraz operacyę rozpocząć. Taka czynność nie dla oczu kobiet.

— Ależ ja muszę, słyszysz, muszę z nim wprzód mówić!

— Nie można. Lekarze zaczynają właśnie...

Te ostatnie słowa nie miały wcale przychylnego dźwięku; był to ostry, niespokojny, wprost odrzucający ton. Brat chciał tymi słowami zakończyć rozmowę.

— Alfons — zawołała surowo — ja żądam przystępu, a ty mi tego zabronić nie możesz. Ja mam prawo i obowiązek przedtem z ojcem mówić.

— Ojciec sobie tego nie życzy. Zresztą nie mam teraz bynajmniej czasu na rozmowę przy zamkniętych drzwiach. Odejdź, gdyż twoje pukanie na nic ci się nie przyda.

— Więc sama otworzę!

— Spróbuj!

Te słowa wymówił Alfons z brzydkim śmiechem; potem oddalił się.

— Mój Boże, co ja pocznę? — biadała Róża, spoglądając na swego towarzysza.

Zorski nic odpowiedział zaraz; zdawał się słuchać co we wnętrzu pokoju się dzieje.

— Jaśnie oświecona panno hrabianko — mniemał służący — ja jestem przekonany, że nie otworzą. Proszę łaskawie przedpokój opuścić, gdyż...

— Milcz! — przerwała mu, robiąc rozkazujący ruch ręką.

Zorski prosił hrabiankę przyłożyć ucho do drzwi. Ona to uczyniła i słyszała zdala głos ojca, liczącego powoli:

"Pięć — sześć — siedm — ośm — dziewięć — dziesięć — jedenaście..."

— Co to jest? — pytała jeszcze bardziej blednąc.

— Chloroformują hrabiego — odpowiedział Zorski. — Skoro przestanie liczyć — jest już uśpiony.

— A więc będą go rzeczywiście krajać?

— Niestety.

— To nie może być, to nie może być! — zawołała w największej, okrutnej trwodze. — Sennor! pomóż mi pan!

— Pozwala mi pani na gwałt? — pytał.

— Tak — lecz działaj pan natychmiast!

Zorski przystąpił do drzwi i pchnął nogą; rozległ się głośny trzask i wejście było wolne. Potężny mężczyzna wysadził jednem jedynem kopnięciem mocne drzwi ze zawiasów. Teraz stał z hrabianką w salonie hrabiego. Był pusty lecz zdala słychać było głośną rozmowę, a po chwili otwarto sąsiednią salę; wszedł hrabia Alfons z jednym z lekarzy.

— Co to jest? — zawołał hrabia. — Tyś się odważyła użyć gwałtu!

Przeoczył w pierwszem gniewie, że nie sama Róża przed nim stała. Ktoby go teraz widział z groźnie błyszczącemi oczami i silnie nabrzmiałymi żyłami na niskiem ale bardzo szerokiem czole, mógłby go zupełnie słusznie uważać za zdolnego nawet do gwałtownego czynu. Hrabia Alfons nie był wprawdzie brzydkim, wstręt wzbudzającym mężczyzną, nie pojedyncze części twarzy i jej rysy mogłyby w chwili spokoju za piękne uchodzić, ale w każdym razie nie tworzyły ujmującej miłej harmonii, a teraz, gdy gniew go ogarnął robił odpychające wrażenie. Podobnym był do jednego z owych wizerunków szatana, w których artysta nie przedstawia go z kopytami i rogami, lecz szatański wyraz przez to mu wpaja, że samym przez się pięknym rysom przeciwstawia złą duszę.

— Ja miałam się ważyć? — pytała hrabianka rumieniąc się z indygnacyi z powodu szorstkiego przyjęcia brata. — Sądzę, że hrabianka Rodriganda-Sevilla ma każdej chwili prawo odwiedzić swego ojca. Nie ja jestem zuchwałą, lecz właśnie ja żądam wyjaśnienia, jak odważono się bez mojej wiedzy operować ojca.

— Myśmy postanowili i na tem koniec. Oddal się!

— Nie prędzej, aż zobaczę ojca i z nim pomówię! Gdzie jest?

— W sąsiednim pokoju i twoje nieoględne postępowanie może życiem przypłacić. Każde nawet najmniejsze wzruszenie może mieć nieobliczalne skutki. A kto jest ten człowiek?

— Sennor Zorski, sławny lekarz, którego powołałam z Paryża, aby zasięgnąć jego zdania o chorobie ojca. Spodziewam się, że jego obecność także tobie jest pożądaną.

Czoło towarzyszącego hrabiemu lekarza pokryło się niechętnymi i pogardliwymi zmarszczkami. Hrabia wybuchnął:

— Lekarz? kto ci na to zezwolił? Bezgraniczna samowola! Moja wola ma mieć respekt! Masz się niezwłocznie oddalić, a tego człowieka odprawić!

Wobec tej obraźliwej bezwzględności twarz hrabianki pokryła się śmiertelną bladością i dopiero po kilku chwilach wytchnienia była zdolną do odpowiedzi. Wspaniała jej postać zdawała się rosnąć; wyciągnęła rozkazująco swe alabastrowe ramiona, a głos jej zabrzmiał wyniośle, jakby jakiej królowej:

— Nie zapominaj z kim mówisz! Tu włada jedynie hrabia Rodriganda, a gdy on nie może, mam równe prawo, jak ty w jego imieniu rozkazywać. Operacyi tak długo nie będzie, dopóki ten sennor chorego dokładnie nie zbada; ja tak chcę — i będę umiała mą wolę przeprowadzić.

Rysy młodego hrabiego zaostrzyły się; żyły jeszcze mocniej nabrzmiały, a głos nabrał chrapliwego dźwięku. Groźnie podnosząc rękę przystąpił do siostry i odrzekł:

— Ty, ty chcesz rozkazywać? Ty, dziewczyno? Oho! Operacya się odbędzie, a ciebie każę przez służbę oddalić, jeśli dobrowolnie nie odejdziesz i to — natychmiast. Pamiętaj, że zwykłem to robić, co mi się podoba! — A zwracając się do Zorskiego zapytał.

— Kto wytłoczył te drzwi?

— Ja — odpowiedział spokojnie zapytany.

— Jakiem prawem, zuchwalcze?

— Prawem udzielonem mi przez czcigodną kontezzę Rodriganda. Moje posłuszeństwo zatem nie było bynajmniej zuchwalstwem; nadto oświadczam chętnie, otwarcie i bez ogródki, że jeśli hrabianka zażąda, sto takich drzwi wyłamię!

Jego wysoka, szeroka postać zdawała się zwiększać przy tych słowach, a wielkie uczciwe oczy mierzyły hrabiego tak dobrym i pobłażliwym wzrokiem, jak gdyby ten olbrzymi Polak miał do czynienia ze studentem, z którym pobłażliwie trzeba postępować. To spojrzenie Zorskiego wprawiło Alfonsa jednak w większy jeszcze gniew; zwracając się od siostry do Zorskiego rzekł groźnie:

— Wynoś się, mówię! Albo każę cię wyszczuć ze zamku!

Zorski uśmiechnął się i rzekł obojętnie:

— Przybyłem tu na wezwanie hrabianki Rodriganda, aby zobaczyć hrabiego, pańskiego ojca. To uczynię, mimo wszelkich zakazów i mimo wszystkich psów, którymi mam być szczuty. Umię się równie dobrze obchodzić z psami jak ludźmi i potrafię — zmuszony — bronić się jedną i tą samą bronią przeciw jednym i drugim.

— Łotrze! — ryknął Alfons pieniąc się ze złości i podnosząc rękę jakby do policzka.

— Sennor de Rodriganda, jesteś szlachcicem, jesteś hrabią?

Pytanie Polaka zabrzmiało nagle tak ostro i dobitnie z potężnej jego piersi, a swego przeciwnika zmierzył tak nieugiętym wzrokiem, że tenże mimowolnie się cofnął. Zorski zwrócił się następnie do hrabiny.

— Sennora, bądź łaskawa przedstawić mnie memu koledze.

Wskazał przedtem z uprzejmym uśmiechem na hiszpańskiego lekarza, który podczas gwałtownej sprzeczki schował się przezornie w niszę u okna. Hrabianka zgodziła się skinieniem głowy i rzekła:

— Sennor doktor Karlos Zorski, starszy lekarz w sławnej klinice profesora Letourbiera w Paryżu — doktor Francas z Madrytu — a, otóż nadchodzą i inni panowie. Doktor Milenos z Korduby i doktor Cielli z Manrezy.

W istocie weszli teraz zwolna dwaj inni lekarze z bocznego pokoju, przywołani przez głośną sprzeczkę, która w niezwykły sposób przerwała ich przygotowania do operacyi. Zimno skłonili się przed Polakiem; lecz doktor Francas z Madrytu, który był od samego początku świadkiem awantury, zbladł.

Był on z nich trzech zapewne najzdolniejszy i najwięcej wykształcony i znał o tyle dobrze imię profesora Letourbiera z Paryża, by wiedzieć, że ma przed sobą fachowca, któremu prawdopodobnie żaden z nich nie dorósł. Poznał w mgnieniu oka, że im samym i ich ciemnemu przedsięwzięciu grozi wielkie niebezpieczeństwo, które da się uchylić jedynie dumnem a stanowczem usunięciem cudzoziemca; dlatego oświadczył swym twardym i mrukliwym głosem:

— Nie znam tego sennora. Nasze przygotowania są skończone, nie potrzebujemy żadnej pomocy. Dostojny nasz pacyent upoważnił nas do przedsięwzięcia na nim operacyi i za nic nie ręczę, jeśli jej natychmiast — nie zważając na czyjkolwiek niepowołany współudział — nie przedsięwezmę.

— Czy słyszysz? — rzekł hrabia Alfons do siostry. — Oddal się natychmiast i uwolnij nas zarazem od widoku człowieka, któremu nie dozwolę ani minuty dłużej zabawić w Rodriganda.

Chciała odpowiedzieć, lecz Zorski dał znak, by milczała i rzekł:

— Proszę cię, czcigodna kontezzo, pozwól mi zabrać głos! Rozchodzi się o moją osobę i dlatego chcę sam dać odpowiedź. Jestem lekarzem, a zarazem twym gościem hrabianko i dlatego uczynić zadość twemu życzenia wskazywałaby jej bratu już najprostsza uprzejmość, a tym innym panom poczucie najzwyczajniejszego koleżaństwa. Panowie ci nie stosują się do tego, toteż ja staję nie z uprzejmą prośbą, lecz z polecenia i jako lekarski pełnomocnik hrabianki Róży de Rodriganda-Sevilla i oświadczam, że ponieważ zamierzano tak groźną operacyę przedsięwziąć wśród wielce podejrzanych okoliczności — mam uzasadnioną podstawę przypuszczać, że idzie tu o cel, który boi się światła dziennego i oczu uczciwych świadków. Dlatego przeciw temu protestuję. Oświadczam każdemu, ktoby się odważył wykonać cięcie zanim zbadam pacyenta, że jest lekkomyślnym lub nawet świadomym mordercą i że jeśliby chciano przemocą mnie oddalić, wezwę niezwłocznie policyjnej pomocy, która zapewne da życzeniom hrabianki poparcie, którego się nas w tej chwili pozbawia!

Jak książę, jak król jaki stał przed nimi z wzniesionem dumnie czołem i takim potężnym ogniem w oczach, jak gdyby nie był nieznanym lekarzem, lecz właścicielem zamku.

Doktor Francas zbladł po raz drugi i to jeszcze bardziej niż poprzednio, a dwaj inni lekarze spuścili wzrok ku ziemi ukrywając w ten sposób swoje zakłopotanie. Nawet hrabia uczuł wrażenie, jakby go kto maczugą uderzył, lecz on nie przywykły był składać łatwo broń. Usiłował przyjść do siebie i jakby z współczuciem wzruszając ramionami rzekł:

— Szaleniec! Dalibóg, to nie zuchwalec, lecz tylko szalony. Oddam go służbie, by go umieściła w zakładzie obłąkanych!

— Tego nie uczynisz! — zawołała hrabianka chwytając go za rękę.

Lecz już rozległ się w korytarzu głośny dźwięk sygnału, a ponieważ niezwykłe zdarzenie ściągnęło służbę już przedtem pod drzwi przedpokoju, stanęła natychmiast licznie na rozkazy.

— Zabierzcie tego człowieka! — zawołał hrabia. — To szalony!

Zamiast odpowiedzi odwrócił się Zorski ku służbie i podszedł ku niej. Ta nie mogła oprzeć się samemu wrażeniu jego postaci i jego oczu; cofnęli się przed nim aż na korytarz, poczem zamknął drzwi na klucz, a chowając klucz do kieszeni, zwrócił się z uśmiechem do przeciwników i rzekł z flegmą:

— Hrabio, twoi ludzie odmawiają ci posłuszeństwa, nie wymagaj zatem posłuszeństwa od obcego, którego bez powodu obrażasz, chociaż on stoi na tem miejscu w jego własnym interesie i zawsze był przywykły do traktowania nawet od najwyższych sfer z należytym szacunkiem.

— Jeszcze raz pytam się ciebie, czy będziesz słuchał! — zawołał zagadnięty, jak bez zmysłów. — Oddaj klucz w tej chwili!

— Ależ — klucz należy w tej chwili do mnie, ja jestem obecnie panem sytuacyi.

— Ja cię wypoliczkuję! — krzyknął wściekle Alfons i rzucił się na lekarza z podniesioną ręką, lecz naraz krzyknął z bólu przeraźliwie, bo Zorski chwycił go za rękę i ścisnął z tak straszliwą siłą, że kości zatrzeszczały i krew trysła.

Na ten krzyk otworzyły się powoli drzwi i okazała się postać prawdziwie zdolna nadać sytuacyi odmienną cechę i wzbudzić szacunek i współczucie.

Przybysz był ślepy, co się widziało od pierwszego wejrzenia; mimo tego jego bezbarwne oczy zdawały się posiadać moc zdolną opanować otoczenie.

Jego wysoką cierpieniem wychudłą postać pokrywał biały płaszcz, który jak całun spływał z ramion ku ziemi. Jego twarz szlachetnie zarysowaną pokrywała śmiertelna bladość, a posiwiałe na skroniach włosy w gęstych kędziorach spadały na ramiona.

Zdawało się, że duch powstał z grobowca, by zażegnać swarliwe spory śmiertelników.

Był to hrabia Emanuel de Rodriganda-Savilla. Nie zakończono chloroformowania.

Powrócił do przytomności i spór usłyszał; zsunął się z operacyjnego stołu i przyszedł, okrywając się szczelnie białym płaszczem.

— Co się tu dzieje? Kto mówi? Dlaczego nie zaczynacie? — pytał, tocząc w około zmarłymi oczami.

Róża podbiegła ku niemu, chwyciła go w ramiona z nieopisaną czułością i zawołała:

— Mój ojcze, mój drogi ojcze! Dzięki Matce Najświętszej, że jeszcze nie rozpoczęto. Teraz nie pozwolę cię zabić!

— Zabić? Któżby tego chciał, me dziecko?

— O, tybyś pewno umarł, wiem to i czuję.

— Dziecięca miłość i obawa mówią przez ciebie, ma droga córko. Nie powinnaś była przeszkadzać.

— Słusznie ojcze! — przerwał młody hrabia. — Przeszkodziła nam i to jeszcze w jaki nieprawdopodobny sposób. Ona kazała drzwi wyłamać. Powiedz sam, czy to godne księżniczki Rodriganda!

— Uczyniłaś to w istocie moje drogie dziecko? — zapytał hrabia z łaskawym niedowierzającym uśmiechem.

— Tak ojcze, w istocie uczyniłam to, — odrzekła dodając z szlachetną otwartością:

— Twój stan wymaga najwyższej ostrożności i twe życie jest mi nadto drogie, bym cokolwiek zaniedbała. Tylko ci ludzie mogą cię pielęgnować, do których mam zaufanie, a ja wiem, ja czuję, że chciano z twem życiem igrać i dlatego tak się spieszono.

— Umierałam prawie z troski i obawy. Napisałam do Paryża i uprosiłam profesora Letourbiera o operatora, któremu mogę cię powierzyć; właśnie dzisiaj nadjechał, jednak nie chciano go do ciebie dopuścić.

— Będziesz jeszcze dziwić, że wtargnęłam przemocą?

Pochylił znękaną głowę i rzekł:

— Lekarzom moim ufam zupełnie, a jeżeli przed tobą utajono godzinę operacyi, to stało się to dla tego, by tobie i mnie zaoszczędzić wszelkiego szkodliwego wzruszenia.

Gdzie jest ów lekarz paryski?

— Stoi tu. Jest to doktor Zorski z Poznania w Polsce kongresowej.

— Tu, w pokoju?

— Tak, jest — odpowiedział sam Zorski. — Przebaczenia proszę hrabio, jeżelim poszedł za wezwaniem twojego dziecka. Kiedy chodzi o życie człowieka, drogiego ojca, wtedy wszystko niczem.

Słowa te wymówił głosem pewnym i ton ich, jak zdawało się wzruszał ciemnego sympatycznie.

— Czy był pan już kiedy przy podobnej operacyi, sennor? — zapytał.

— Tak jest!

Było to jedno zwyczajne słowo, ale hrabia podniósł głowę i rzekł:

— Pan masz wiele obiecujący ton. Wyrzekłeś dwie tylko zgłoski, ale z nich słyszę, że byłeś już przy wielu operacyach, a może sam niemi nawet kierowałeś.

— Całkiem dobrze słyszałeś, hrabio. Jestem wyższym lekarzem przy profesorze Letourbier.

— Ach, też należało panu zaufać i nie odprawiać go. Dziękuję panu, że przyszedłeś! Chcesz pan zbadać mój stan?

— Pragnę bardzo, bym śmiał to uczynić!

— Więc chodź pan za mną. Panowie lekarze będą nam towarzyszyć. Inni, proszę niech tu pozostaną.

— Stać! — zawołał Alfons. — Ojcze, oświadczam ci, żem temu mężczyźnie pokazał drzwi. Chcesz unicestwić mój rozkaz?

— Mój synu, obraziłeś tego sennora, i jam winien mu zadośćuczynienie.

— On mię nawet zranił w rękę.

Tu rzekła nagle Róża:

— Alfons porwał się na pana Zorskiego, a ten tylko powstrzymał jego rękę. Oto wszystko.

Hrabia widocznie się przeląkł. Potem wyrzekł ze smutną miną:

— Czyż to możliwe, by hrabia Rodriganda człowieka bił, gościa swojej siostry! Może to obyczajem bić pasterzy krów w Mexyku, albo w Texas, ale nie w rodzinie jednego z grandów hiszpańskich. Synu mój to mnie zasmuciło wielce!

Powrócił do drugiej izby Zorski szedł za nim razem z trzema lekarzami. Alfons, który musiał pozostać, rzucił się, zgrzytając zębami do siostry:

— Tego ci ja nie zapomnę. Zapłacisz mi za tych pasterzy krów.

Chciał opuścić komnaty ojca, musiał jednak zostać, bo Zorski zapomniał oddać klucze. Przystąpił do jednego z okien. Róża usiadła na jednym z foteli, nie rzuciwszy na brata ani jednego spojrzenia.

Izba, do której wszedł hrabia, wskazywała wszelkie przygotowania, jakie były potrzebne do tej operacyi. Na wielkim stole rozpostarty był materac, który miał hrabiemu służyć jako łoże; obok leżały różne instrumenty, a na pomoście stały naczynia, które miały mieścić skutki cięcia.

Hrabia zwrócił się do Zorskiego.

— Sennor, od kiedy utraciłem światło moich oczu, zwykłem człowieka sądzić po tonie jego głosu. Pański głos wzbudza moje całkowite zaufanie. Proszę mię zbadać.

Młody mężczyzna opatrywał już wielu pacyentów, nigdy jednak nie zaznał takich uczuć, jakie go teraz wobec tego chorego opanowały.

Ten mąż był ojcem jego tak gorąco i beznadziejnie ukochanej i mimowoli ciężyły się jego uczucia jednym głośnym i głębokim oddechem w górę. Hrabia to poczuł i zapytał:

— Czy wielki masz kłopot, sennor?

— Nie hrabio — brzmiała odpowiedź. — Co pan słyszałeś, nie było to stękanie słabości, tylko modlitwa do Boga, wszechmocnego i wszechłaskawego, by pozwolił udać się sprawie, by spełniły się oczekiwania

hrabianki Róży. Doświadczenie moje bogate, moja ręka pewna; ale ja błagam błogosławieństwa bożego przy każdem dziele, jakie poczynam, by zwrócić człowiekowi stracone szczęście.

Hrabia wyciągnął doń obie ręce i rzekł:

— Sennor, dziękuję ci. Te słowa są zupełnie w stanie moje zaufanie do pana w dziesięcioro zwiększyć. Kto mimo swej biegłości liczy na pomoc bożą, ten dokona tego, co możliwe u człowieka. Poczynaj pan!

Zorski rozpytywał się wiele razy i dokładnie o to wszystko, co dotyczyło nieszczęścia, potem musiał hrabia rozciągnąć się na stole, by go można jak najstaranniej zbadać. Biegłość, z jaką to działo się, dawała poznać trzem owym hiszpańskim lekarzom, że mają tu do czynienia z umysłem o wiele od nich wyższym.

Wreszcie wolno było pacyentowi podnieść się. Zapytał Polaka o wynik badania, otrzymał jednak zamiast oczekiwanej odpowiedzi na razie tylko pytanie:

— Hrabio, jesteś ślepy, czy śmiem i w tym względzie pozwolić sobie dopytywać o co?

— Pytaj śmiało, s nnor.

I tu znalazła się wielka ilość pytań do odpowiedzenia. Potem wyciągnął Zorski rozmaite narzędzia, którymi oczy oświecał, dotykał i badał. Wreszcie i z tem się uporał i zwrócił się ku Hiszpanom.

— Panowie, wasz kolega Francas z Madrytu oświadczył przedtem, że nie ścierpi obcego wmieszania się. Muszę więc obejść się bez dyskretnej i kolegialnej konferencyi i widzę konieczność, wypowiedzieć przekonanie swoje z całą szczerością, nie mając względu dla nikogo. Hrabio, jakim sposobem miano pana uwolnić od kamienia?

— Przez operatywne cięcie w śródmięsie — odpowiedział zapytany.

Zorski przeląkł się srodze.

— To nie możliwe — zawołał. — Albo starano się ciebie oszukać, albo pan fałszywie słyszałeś. Ale do oszukania nie widzę tu zupełnie żadnej przyczyny.

— Tak jest, jak powiedziałem — powiedział hrabia. — Zapytaj pan tych oto panów!

Zorski rzucił okiem na lekarzy, z których tylko Francas odpowiedział upornym tonem.

— Uważamy za jedyny możliwy ratunek — cięcie w śródmięsie.

— Ależ senor — wyrzekł Zorski zupełnie wzburzony, — opatrywał pan kamień? Zna pan jego wielkość i położenie? Czyż uważa pan ciało mężczyzny za ciało kobiece? Mój Boże, nie mogę tego pojąć! Tutaj każde cięcie jest jak najniebezpieczniejsze, atak zaś na środmięsie całkowicie śmiertelny. Moi panowie, uważam każdego lekarza, który w ten sposób włada nożem, za mordercę, i to nie za przypadkowego zbójcę, lecz za człowieka, który z całą zimną krwią i rozmysłem popełnia morderstwo!

— Sennor! — groził madrycki operator.

— Sennor! — zawołał Zorski z błyskającemi oczyma. — Hrabia Rodriganda nie jest chirurgiem; nie mógł on wiedzieć, co z nim mają począć. Ale każdy początkowiec, każdy chirurgiczny nieuk, musiał wiedzieć, że w tym wypadku pacyent nie w stanie przeżyć operacyę. Moi panowie, co wam ofiarowano za morderstwo hrabiego Rodriganda?

Pytanie to wywarło straszne wrażenie. Hrabia przestraszony upadł na krzesło; Francas uchwycił jeden z noży, chcąc się rzucić na Zorskiego; dwaj inni gotowi byli wesprzeć go w stosownej chwili.

— Niegodziwcze — wrzeszczał Francas.—Będziesz ty nas nazywać mordercami?

— Tak, mordercami bez czci i wiary! — odpowiedział nieustraszony Zorski. — Conajmniej jeden z was jest nim; w tym wypadku ci inni są głupcami, niewiedzącymi co czynią. Rzuć pan nóż, bo nic z nim nie wskórasz! Gdy zawiadomię o tem władzę i sprawę oddam sędziemu śledczemu, będziesz za usiłowane zabójstwo pociągnięty do odpowiedzialności.

Pomimo tej groźby Francas zachował zimną krew.

— Ah! — przemówił tonem szyderczym — ty jako obcy chcesz nam grozić? Na świętego Pedrylla, śmiesznem to jest naprawdę, człowiek ten gra komedyę, aby stał się lekarzem domowym hrabiego. Nazwiska nasze są bez skazy i wysoko są poważane w sferach naukowych. Zresztą słuchajmy w jaki sposób majak ten zamierza usunąć kamień.

— A więc słuchajcie — odpowiedział Zorski spokojnie. — Kamień ten uleczalny jest przez tak zwaną lithotripsis bez najmniejszego niebezpieczeństwa.

— Litl otripsis? — zapytał lekarz z Manrezy. — Co to jest? Cóż to ma znaczyć?

Zorski ze zdumieniem słuchał tych pytań; potem przemówił do hrabiego.

— Słyszysz pan, panie hrabio, jakich to ludzi opiece poruczasz zdrowie i szczęście swego dziecka. Człowiek ten nic jeszcze nie słyszał o lithotrypsis, o rozdrabianiu i wyjmowaniu kamienia za pomocą stosownego narzędzia. Zaczynam naprawdę wierzyć, że głupcy ci nie w złym zamiarze, lecz poprostu z braku wiedzy, omal nie zagrozili obcemu życiu.

Francas zaśmiał się szyderczo i odpowiedział:

— Mylisz się panie! Bajkę o tym sposobie leczenia znaliśmy już od dawna, jest ona wymysłem któremu czł niewykształcony może dać wiarę. Z takim nie myślę się wdawać w rozmowę. Rozstrzygnij teraz panie hrabio, kto izbę tę opuścić powinien on czy my?

— Jak długo działać potrafię, sumieniem tylko własnem kierować się będę — odparł Zorski. — Spostrzegłem już, że hrabia nie jest świadomym chirurgii. Może on wybrać drogę zgubną, a ja tego ścierpieć nie mogę choćbym miał opłacić to przekonanie kosztem życia.

Wtem hrabia nagle powstał. Rozkazującym ruchem nakazał milczenie i przemówił:

— Panowie, nie jest to miejsce do takiej kłótni; możecie się więc oddalić, aby później usłyszeć, co w tej mierze postanowiłem. Znam wasze zapatrywania; chcę jeszcze wysłuchać zdania doktora Zorskiego, który w tym celu tu zostanie. Oddalcie się więc panowie. W porę dowiecie się o wszystkiem.

— To ma znaczyć, że pan nas odprawiasz — odparł Francas z gniewem. — Dobrze więc — pójdziemy; ale ten obcy musi nam dać zadośćuczynienie, a ty panie hrabio, rozważ dobrze nim coś postanowisz.

Zabrali swe narzędzia i opuścili pokój. Natychmiast weszła Róża, objęła rączkami szyję hrabiego i wołała radośnie:

— Ocalony! — Ojcze, dzięki ci!

Odepchnął ją zlekka od siebie, nie wypuszczając jej jednak całkiem, szepnął:

— Nie sądź tak prędko, dziecko moje. Pozostaje mi jeszcze wysłuchać, co doktór Zorski sądzi o tej sprawie.

— O! pewnie on ma słuszność! — zawołała. — Zaufać mu możesz zupełnie.

Oczy jej zajaśniały przy tych słowach blaskiem tak silnego uczucia, że spojrzenie to jak promień słońca wniknęło w serce doktora — przemówił więc głosem wzruszonym:

— Panie hrabio, zaufaj mi proszę. Bóg wie, jak szczerą i prawdziwą jest moja rada. Przebacz mi ów ostry ton, którego użyłem wobec tych ludzi. Było to wypływem oburzenia mego na widok z jaką lekkomyślnością zagrażano drogiemu życiu pana. Gdyby operacyę tę rzeczywiście wykonano, nie żyłbyś pan teraz; przysięgam to na Boga, który wie o wszystkiem.

Tu drzwi się nagle otworzyły i wpadł hrabia Alfonzo. Naradzał się on w międzyczasie z lekarzami i przyszedł pełen gniewu i rozczarowania, aby według możności urzeczywistnić niecne swe zamiary.

— Czy idą już rzeczywiście? Wypędzasz ich więc rzeczywiście, ojcze? — zapytał. — Jestże to możliwem?

— Nie wypędziłem ich, mój synu — odpowiedział hrabia. — Prosiłem tylko o zwłokę dla ostatecznego postanowienia.

— Sądzę, że w każdym razie uwzględnisz zdanie zasłużonych tych ludzi.

— Kierować się będę tylko sprawiedliwością. Na teraz proszę cię jednak nie wspominać dalej o nieprzyjemnej tej sprawie.

Alfons musiał być posłusznym, a hrabia zwrócił się do córki:

— Pomyśl sobie, pan ten oglądał także moje oczy.

W radośnem zdumieniu podniosła Róża swe śliczne oczęta.

— Prawdaż to? — zapytała. — Czy jest jaka nadzieja, czy sądzisz pan, że sztuka lekarska nie wyrzekła tu ostatniego już słowa?

— Tak pani; leczyłem już wielu ślepych, a ćwiczenie ciągłe tak wzrok wyrabia, że w pierwszej prawie chwili odróżnić można oko stracone bez nadziei, od oka, które ocalić jeszcze można.

— I co spostrzegłeś pan?

— Że i w tym wypadku lekarze nie mieli słuszności.

Róża aż podskoczyła z radości. I ślepy nagłym ruchem głowy zdradził swe wzruszenie, podczas gdy hrabia Alfons złość swą ledwie ukryć potrafił.

— Co pan rozumie pod tem — zapytał hrabia, — o powiedz nam, proszę!

— Więc uznano pana za nieuleczalnego?

— Tak, a byli to rzeczywiście ludzie uczeni, od których usłyszałem ten wyrok.

— W jaki sposób określono bliżej rzekomą chorobę pańską?

— Przypisano ją tak zwanemu "Staphylion" |małemu wrzodowi na rogówce ocznej podobnemu do ziarnka winogron|.

— Hm! Nie było w tem zupełnie słuszności, chorobą pańską jest czarna katarakta, połączona z pewnem ciemnem zabarwieniem rogówki ocznej, nazwanem przez lekarzy "leukoma". Zjawisko to rzeczywiście nader rzadkie.

— A czy stan ten jest uleczalny? — zapytał hrabia dech prawie tracąc.

— Niedawno jeszcze uważano go za chorobę beznadziejną; udało się atoli już wyleczyć kilku chorych. Leukomię tę niszczyłem za pomocą nieustannej punktacyi szpilką kataraktową i operowałem potem kataraktę zakrytą pod tym wrzodem. Jeżeli mi zaufasz panie hrabio, to mogę cię zapewnić, że wzrok swój odzyskasz, wprawdzie nie w dawniejszej sile, lecz tak, że za pomocą okularów rozróżnić będziesz mógł wszystkie przedmioty.

Hrabia wzniósł ręce ku niebu i zawołał:

— O Boże, gdyby to było możliwem!

Róża zaś w zachwycie rzuciła się na jego piersi i prosiła wśród łkania:

— Ojcze zaufaj mu! On tylko jeden pomódz ci może!

— Chcę usłuchać twej rady, chcę się oddać jego pieczy, córko moja! — rozstrzygnął hrabia. — Ty doktorze masz moją rękę. Rozpocząłeś dziś tak pobożnie dzieło swe z Bogiem i zakończysz je także z jego pomocą. A ty Alfonsie, niechcesz dziś cieszyć się z nami?

Młody hrabia usiłował opanować wyraz swej twarzy i odrzekł:

— Szczęśliwym byłbym, widząc cię zupełnie zdrowym i wyleczonym; rozważam jednak i to zarazem, jak lekkomyślnie i niebezpiecznie nawet, jest budzić nadzieje, spełnić się nie mogące. Chory musi się czuć dziesięćkroć nieszczęśliwszym w tym wypadku.

— Bóg będzie dla nas łaskawym! Jak długo trwać będzie leczenie według zdania pańskiego?

— W każdym razie potrwa to co najmniej dwa tygodnie — odpowiedział Zorski. — Dopiero, gdy pan po operacyi przyjdziesz zupełnie do sił i gdy już żadnych obaw o zdrowie pańskie nie będzie, możemy rozpocząć leczenie oka, które oczywiście dłuższego będzie potrzebować czasu.

— Ale czy może pan tak długo tutaj zabawić?

— Musiałbym wziąć na dłuższy czas urlop od profesora Letourbier, a nawet może porzucić dotychczasowe miejsce.

— Uczyń to pan jaknajprędzej! — prosił hrbia. — Znajdziesz pan tu nowe ognisko domowe, które panu w bogatej mierze zastąpi uciechy Paryża.

— Najwyższą moją nagrodą będzie przekonanie, że przyczyniłem się do twego wyzdrowienia, panie hrabio. Napisz więc zaraz list do profesora.

— I to bez zwłoki jeszcze. Mieszkać będziesz pan naturalnie u nas, Róża zaraz panu wskaże stosowny pokój.

— Przecież mamy kasztelana, któremu więcej takie polecenie przystoi — zauważył Alfons z pewnym odcieniem ironii w głosie.

— Masz słuszność — rzekł hrabia. — W nadmiarze radości nie myślałem o tem.

— I ja też wdzięczność winienem sennorowi Alfonzowi za jego uwagę — wtrącił Zorski dumnie — gdyż wcale nie jest mym zamiarem, aby osoba moja stała się powodem jakiejkolwiek zmiany w tutejszych stosunkach.

— Co się przecież już stało — odpowiedział młody hrabia tonem pogardliwym. — Lekarze nasi nie mogą opuścić mieszkania, gdyż panu się podobało klucz wziąć do siebie.

— A! Prawda, zapomniałem o tem, natychmiast pójdę otworzyć.

Ukłonił się i wyszedł prędko — wnet znalazł się w towarzystwie trzech hiszpańskich lekarzy, którzy mierzyli go wzrokiem pełnym nieprzyjaźni i groźby ukrytej.

— Sennorze — szepnął mu Francas do ucha — rozpocząłeś więc z nami walkę! Staczać ją będziemy dalej a to z takim natężeniem, że wreszcie będziesz musiał uledz i prosić nas o łaskę. Nie znajdziesz pan jednak miłosierdzia.

— Proszę!

Odpowiedział tylko jednem tem słowem, potem usunął mówiącego na bok i drzwi otworzył. Sam kroczył naprzód, aby udać się do swojego dotychczasowego mieszkania. Po powrocie do zamku miał już zastać pokoje przygotowane do przyjęcia gościa.

Niedługo potem siedziało trzech mężczyzn w szczelnie zamkniętym pokoju pobożnej siostry Klaryssy: hrabia Alfonzo, doktór Francas i notaryusz Gasparino. Dwaj ostatni starali się przedstawić niezwykły ten wypadek.

— O święta Madonno z Segowii, czy jestżeto możliwem? Byliśmy tak pewni, oczekiwaliśmy z całą ufnością powodzenia w naszem przedsięwzięciu, a tu zjawia się nagle ten obcy antychryst, aby zniszczyć do szczętu dzieło Bogu tak przyjemne — rzekła siostra Klaryssa, gdy opowiadanie skończono.

— Zniszczyć? — zapytał Alfonzo szyderczo. — O tem niema mowy, chyba tylko o krótkiej zwłoce w wykonaniu.

— Sądzisz, że nam się uda sprawa z tym zawalidrogą? — zapytał notaryusz doktora.

— Z całą pewnością — odpowiedział tenże. — Naprzód jednak tak zoperujemy tego doktora Zorskiego, że go zmiażdżymy zanim się tego domyśli.

— A ta operacya oczu?

— Powieść się także może, jeżeli nie przyłączy się jakieś zgubne zapalenie. Dla tego olbrzyma wszystko jest możliwem.

— Zadaniem naszem jest więc, postarać się, aby to zapalenie rzeczywiście nastąpiło — zauważyła pobożna siostra. — Bóg zabrał hrabiemu wzrok, w zamiarze ukarania go, a jakiekolwiek uchylanie się od tej kary Bożej byłoby grzechem wołającym o pomstę do nieba.

— Tak, możemy użyć najrozmaitszych środków — rzekł notaryusz — ale musimy przytem zachować największą przezorność, i nie spieszyć nadto z działaniem. Najmniejszego podejrzenia uniknąć należy. Nikt nie powinien nas widzieć razem, a więc i dzisiejsza narada rychło musi zakończyć się. W każdym razie hrabia, ani zdrowia, ani wzroku odzyskać nie powinien, aby nie zobaczył już twarzy Alfonsa, lekarz zaś ten albo zginąć musi, albo gdzieś przepaść bez wieści.

— Ale w jaki sposób? — zapytała pobożna dama.

— Pozwólcie, że ja się tem zajmę! Mam w górach licznych dobrych przyjaciół; głupcy nazywają ich rozbójnikami, choć wobec mnie są to najwierniejsi i najrzetelniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek spotkałem. Odwiedzę ich wkrótce i zapytam przy tej sposobności, czyby chcieli uwolnić nas od naszego wroga.

Tymczasem ten, którego osobą zacne to towarzystwo się zajmowało, odpoczywał po nieprzespanej nocy a gdy po południu zjawił się w zamku i pierwszem spotkaniem jego była Róża.

— Witaj nam panie — pozdrowiła go na wstępie, — oby przybycie pańskie zwiastowało szczęście i błogosławieństwo niebios!

— Przedewszystkiem przyniesie ono walkę — odpowiedział wzruszony. — Obiecał mi przed chwilą doktor Francas.

— On może mieć słuszność — odrzekła, a oczy jej zabłysły pod wpływem gwałtownego uczucia — walka ta atoli, do której się sprzymierzamy, skierowaną będzie nietylko przeciwko kłamstwu i zbrodni, lecz toczyć się będzie jeszcze o miłość nam zakazaną. Znajdziesz pan we mnie wiernego i dzielnego sojusznika!

ROZDZIAŁ II.

Tajemnica żebraka

Tak leży lew, pogardziwszy męczarnię —
Spokojny, niemy i głodny —
Uczuciem całem k' pustyni się garnie,
Gdzie niegdyś biegał swobodny.
I klatkę jego dokoła otoczy
Tłum siłą jego zdziwiony —
Jego przymknięte oglądają oczy
Oazy trawy zielone.

Tam wysoko w górach pirenejskich, gdzie na zachód od Andorry potężny "Maladetta" |Przeklęty| szczytem swych obłoków dotyka a głęboko pod ziemią ciemne rozpościera pieczary, spuszczał się wędrowiec powoli po skalistej drodze.

Nie było tam źródła, któreby staczało orzeźwiające swe wody w dolinę; nie było ani piędzi ziemi ocienionej przez krzak jakiś lub gęstwinę. Piekący skwar południowego słońca padał na nagie skały, na samotne pochyłości górskie i rozpadliny; a przecież wędrowiec ów potrzebował przedewszystkiem chłodzącego napoju i choć kawałka cienistego miejsca, gdzieby mógł był ukryć swe znużone członki przed niemiłosiernemi promieniami słońca.

Wydawał się on starym, bardzo starym. Włosy miał już siwe, a twarz pokrytą zmarszczkami; trudy podróży i ostre wiatry górskie, skórę jego zrobiły twardą i chrapowatą, nieczułą już dla nagłych zmian temperatury, przenikających raz mrozem, to znowu prażącym skwarem nieznośnym. Odzież zwieszająca w łachmanach, podarte sandały, przez których otwory bose nogi dotykały się rozpalonych kamieni, świadczyły jak żmudną pielgrzymkę odbył już ów starzec po stromych ścieżkach i niegościnnych wąwozach. Od czasu do czasu ciężki kaszel męczył jego pierś, a krew, którą wypluwał, znaczyła odbytą drogę, zabierając ze sobą ostatnie siły żywotne samotnego żebraka.

Tak szedł zwolna coraz dalej i dalej, wlokąc się tylko w śmiertelnem znużeniu, ale siłą woli zmuszał poranione nogi do dalszego chodu, jakby popędzany jakąś niewidomą siłą, jakby gnany przez fatum jakieś wśród pustyni i dzikich bezdroży.

Nareszcie zatrzymał się i rzucił badawcze spojrzenie dokoła.

— Tu musi być to miejsce — szepnął — Tu się to nieszczęście stało, tu wymieniano dwóch chłopców, stąd udałem się do Mexyku i tu rozpoczyna się ból, który kości me przedwcześnie osłabił i szczęście wydarł mi z serca. Tutaj więc wypocznę.

Usiadł na kamieniu spiekłym od żaru słońca i ukrył twarz w obu rękach. Cisza uroczysta panowała dokoła.

Tylko kaszel i ciężki oddech jego piersi przerywał ją jakby śmierć bliską zwiastując.

— O święta matko boleści — począł na nowo przerwany wątek swych myśli — jak ciężko zgrzeszyłem i jaką była tej zbrodni zapłata! O chlebie żebraczym dostałem się do tego miejsca przez lądy i morza, aby przebłagać niebo i skołataną siwą głowę położyć do grobu. O wielki Boże, przebacz mi, nie dopuść, abym tu szukał daremnie, pozwól mi znaleźć to, za czem szukam z takim mozołem, abym się nie dostał do piekła. Hu, piekło! Czyż nie czuję go już teraz w żyłach, w głowie, we wszystkich członkach?

Znów zamilknął i pokaszlując co chwila, oddał się rozmyślaniu. Wreszcie tak dalej prawił:

— Ale czy żyje jeszcze? Czy go może zamordowali tego piękego chłopczyka, który śpiąc słodko spoczywał na mych kolanach, jak niegdyś Chrystus na łonie świętej Matki chwalebnej. Byłoby to straszne! Nie wytrzymam tej niepewności dłużej! Muszę pójść dalej tam na lewo, gdzie rozbójnicy mieli swe schronienie. Ale żaden z nich nie ma mnie poznać, żaden nie powinien nawet w przybliżeniu odciągnąć cel, który mnie zawiódł w te góry. Nie odepchną mnie oni, przyjmą schorzałego umierającego starca u siebie i w ten sposób wnet odgadnę, czy żyje jeszcze ten, którego szukam. Naprzód nogi ociężałe! Jeszcze jedną wycierpię drogę, a potem będziecie miały spokój na wieki.

Podniósł się z mozołem i szedł dalej nie prosto na południe, lecz zbaczając więcej na wschód. Doliny poprzeczne gubiły się powoli, miał tylko głębokie doliny poboczne i krótkie strome wały skaliste przed sobą. Kaszląc, stękając, dysząc ciężko, wlókł się biedny wędrowiec, lecz nie pozwolił sobie ani chwilki odpoczynku, aż zobaczył przed sobą kawał zielonej i świeżej murawy. Teraz ostatnie krańce pustyni leżały za nim, znajdował się tylko wśród gór obrosłych zrazu tylko rzadką krzewiną, dalej zaś już lasem, który wraz gęstszym się stawał.

Między tą krzewiną a drzewami wspinał się w górę, aż przybył na miejsce wolne i okolone wysokimi drzewami, gdzie spoczął. Zaledwie jednak to uczynił, usłyszał kroki za sobą i nim się obrócić mógł, uczuł ciężką rękę na swych barkach i usłyszał głos surowy i rozkazujący:

— Co tu robisz starcze?

— Chcę umierać!

Po tej krótkiej odpowiedzi opuścił znowu głowę,

— Umierać? Dlaczego?

Pytający był młodym silnym mężczyzną, którego uzbrojenie wcale nie zdradzało spokojnego mieszkańca wsi jakiej lub miasta.

— Bo nie mogę już iść dalej — odpar chory.

— Dlaczego właśnie tu przychodzisz? Czego szukasz w tych górach?

— Szukam już długo zioła, któreby uśmierzyło me cierpienia, ale nie znalazłem go jeszcze.

— Skąd przychodzisz?

— Daleko stąd, z Orense niedaleko od Portugalii.

— Tak długą drogę przedsięwziąłeś mimo twej choroby? Masz chleb przy sobie?

— Nie mam.

— Nic zupełnie, nic? Matko Boska, umrzesz przecież tak z głodu, nim cię wycieńczenie zabije. Poczekaj, zapytam się, czy mi wolno coś przynieść dla ciebie.

Zniknął za krzakami, wnet jednak powrócił.

— Jeśli dasz sobie zawiązać oczy, to zaprowadzę cię na miejsce, gdzie będziesz mógł wypoczywać i powoli powrócisz do sił, jak długo ci się podoba, — rzekł głosem już łagodnym.

— Oczy zawiązać? Dlaczego?

— Jest to konieczném. Nie wolno ci zobaczyć wstępu do nas.

— A czem więc jesteście?

— Jesteśmy brygandami, zresztą jednak ludźmi zupełnie uczciwemi.

— Bryganci? Rozbójnicy? Lecz zmęczony jestem i ubogi; obawiać się was nie potrzebuję. Zawiąż mi oczy i prowadź dokąd chcesz!

Rozbójnik zdjął swą chustkę ze szyi, zawiązał nią oczy staremu i wziął go za rękę, prowadząc go długo przez gęstwinę, potem, sądząc z odgłosu kroków przez chód tajemny, aż wreszcie stanęli, poczem chustkę mu odwiązano.

Zobaczył, że jest w środku przestronnej skalistej pieczary; naokoło siedziało blisko dwadzieścia uzbrojonych dziko wyglądających postaci, bądź to zajętych jedzeniem, piciem i grą w karty,. bądź czyszczeniem strzelb i broni. Zaprowadzono go przed barczystego mężczyznę z długą czarną brodą, który rozciągnięty na wełnianej kołdrze zajęty był liczeniem pieniędzy i wysypywaniem ich do wielkiego skórzanego worka.

— Jak się [illegible] w tonie nie bardzo przyjaznym.

— Nazywam się Petro Sennor.

Pytający był hersztem tej bandy, zmierzył go ostrym wzrokiem i rzekł w końcu jakby przypominając coś sobie.

— Zdaje mi się, że ciebie już gdzieś widziałem!

— Nic nie wiem o tem.

— Powiedziano mi, że jesteś z okolicy Orense.

— Tak jest rzeczywiście.

— Czemu nie zostałeś w domu gdy jesteś chory?

— Właśnie ta moja choroba była powodem podróży. Szukam w górach za ziołem mającem właściwość leczenia wszelkich słabości.

— Oho! takiego zioła niema!

— Owszem jest: mądra gitana |cyganka| pouczyła mnie o tem.

— A nie masz ty syna, któryby mógł ciebie zastąpić w podróży?

— Nie mam ani syna, ani córki, nie mam nikogo na całym świecie.

— Więc zostań tu i odpocznij. Nie potrwa to z tobą długo, człowieku. Jeśli potrzebujesz księdza do spowiedzi, to powiedz tylko, gdyż mamy braciszka Dominikanina między nami. Opuścić nas bez pozwolenia niemożesz. A gdybyś miał być zdrajcą, to strzeż się! Nie zwykłem żartować z takimi ludźmi.

Wskazano mu miejsce ustronne, gdzie otrzymał pokarm i napój, potem zdawało się, że nikt więcej o niego się nie troszczy.

Po dłuższym czasie wszedł bandyta na warcie stojący i oznajmił, że jakiś obcy z kapitanem widzieć się pragnie.

— Któż on? — brzmiało zapytanie.

— Nie chce powiedzieć, ma on czarną maskę na twarzy, zapewne nie chce być poznanym.

— W tej chwili przyjdę.

Kapitan podniósł się, zatknął pistolet i opuścił skalistą kryjówkę. Wyszedł na dwór, spostrzegł obcego. Znał go oczywiście, bo pospieszył do niego i wyciągnął rękę i powitał go słowami:

— Witaj nam sennorze Gasparino, witaj! Minęły już lata od czasu, gdyśmy się ostatni raz widzieli!

— Pst! — przestrzegała koścista postać zamaskowanego. Któż wspominać będzie nazwiska. Czy rzeczywiście nikt nas słyszeć nie może?

— Nikt! Wartownik przechadza się tam na prawo na swem stanowisku; on nas nie może słyszeć, a zresztą niema nikogo w pobliżu.

— Wiesz to z pewnością?

— Naturalnie, sennorze. Spodziewam się, że przynosisz mi dobrą robotę?

— Może być, jeśli nie będziesz żądać za wiele.

— A więc mów.

— Coby kosztowało tajne sprzątnięcie dwóch ludzi?

— To zależy zupełnie od tego, czem oni są.

— Jeden jest hrabią, drugi zaś lekarzem.

— Który hrabia?

— Stary Emanuel de Rodriganda-Sevilla.

— Wasz pan? Na świętego Sebastyana, jesteś wiernym sługą! Niestety jednak życzenia tego spełnić nie mogę!

— Nie? Z jakiego to powodu?

— Hrabia znajduje się pod opieką jednego z mych przyjaciół, więc ani włosa mu z głowy ruszyć nie mogę.

— Ba! Ja płacę przecież dobrze!

— To nie zmienia postaci rzeczy. My bryganci jesteśmy zawsze uczciwi dla naszych przyjaciół.

— Powiedz jakąś sumę!

— Nie pomoże nic, sennorze. Gdybyś mi nawet o-

fiarował dziesięć tysięcy dublonów, musiałbym propozycyę tę odrzucić. Jest to ostateczne moje słowo.

— Nie przyjemnie to bardzo.

— Nie mogę inaczej. Któż jest drugi.

— Pewien lekarz z Polski.

— To już łatwiej pójdzie.

— I taniej także?

— Naturalnie. Gdzie on mieszka?

— U hrabiego.

— A! To w takim razie nie będzie bardzo tanie. Gdy mieszka u człowieka, stojącego pod opieką, pokrzywdzenie jego nie łatwą jest rzeczą — tego uczynić nie można.

— Nie można, mówisz! Któż ma władzę nakazywania tobie czegoś, kapitanowi?

— Ja sam, nie mogę przekraczać praw, które sam ustanowiłem. Dlaczego człowiek ten ma zniknąć?

— Jest on mi przeszkodą w drodze do pewnego celu; to ci musi wystarczyć.

— Dobrze więc, cóż myślisz dać?

— Ile żądasz?

— Ma on umrzeć, czy tylko zginąć?

— Pierwszy sposób jest pewniejszy.

— Więc zapłacisz równo tysiąc dublonów.

— Tysiąc dublonów? Czy cię dyabeł opętał, kapitanie?

Kapitan powstał i rzekł po prostu:

— Więc zaniechajcie całej sprawy. Addieu, sennorze!

— Stój! Ile puścisz z ceny?

— Nic, ani szeląga. Znasz mnie przecież.

— Niech więc tak będzie. Tysiąc dublonówpłatnych kiedy?

— Połowa zaraz, reszta zaś później.

— A gdyby się nie powiodło?

— Musi się udać! Jak można się dostać do niego?

— Tego na razie jeszcze powiedzieć nie można. Potrzebnych jest sześć do ośmiu ludzi. Tym każesz udać się do Rodriganda, gdzie się spotkają ze mną w parku i dalsze otrzymają wskazówki. Tu masz twoje pięćset dublonów, kapitanie.

Odliczył pieniądze i zapytał się w końcu:

— Czy masz jeszcze onego chłopczynę u siebie?

— Mam, ale wyrósł tymczasem na dorodnego młodzieńca.

— Czemuż nieumiera?

— Zapłaciłeś mi wtedy tylko za jego zniknięcie. Ale powiedz mi przecież raz, kim on jest właściwie!

— Dowiesz się o tem później, za co on się uważa.

— Za syna zmarłego rozbójnika.

— Omal, że nie pragnę go raz zobaczyć.

— Wybij to sobie z głowy, sennorze, nie jesteś przecież członkiem. Płacisz mi tylko za robotę a potem masz sobie pójść. Dalej, jak dotąd nie zajdziesz.

— Więc muszę się tem zadowolnić. Kiedy ludzie twoi będą w Rodriganda?

— Jutro wieczorem. Addio, sennorze.

— Addio.

Podali sobie nawzajem ręce i rozstali się zaraz.

Kupczono tu życiem człowieka, jakby zupełnie przypadkowym i bezwartościowym przedmiotem.

Lecz zachodzi pytanie, kto z nich był gorszym i niebezpieczniejszym, czy herszt rozbójników, który niecne swe czyny okrywał maską tajemnicy, pomagając sobie obłudą i kłamstwem.

Powróciwszy do swej jaskini, naradz[illegible] kapitan [illegible] w końcu otrzymali rozkaz udać się do Rodriganda i spełnić czyn zbrodniczy przez notaryusza wskazany.

Gdy wieczór nadszedł, zbliżył się jeden z bryganów do chorego żebraka z rozkazem, aby szedł za nim. Zaprowadził go do ciemnego korytarza, który głęboko we wnętrzu góry się ciągnął.

Po obu stronach korytarza wyżłobione były w skale małe celki, służące mieszkańcom jaskini za sypialnię. Niektóre z nich były zaopatrzone drzwiami kutemi z żelaza tak, że się zdawać musiało, iż służą raczej za więzienie.

Rozbójnik ów był to młody człowiek liczący może lat dwadzieścia dwa.

Nosił on z p wnym wdziękiem malowniczy ubiór prowincyi katalońskiej, a przy świetle małej lampki, którą niósł, można było rozpoznać szlachetne rysy niezwykłe u prostego rozbójnika.

Był szczupły, lecz silnie zbudowany, a ruchy jego nacechowane były elegancyą i zręcznością, która każdego widza dla młodzieńca ująć musiała.

— Tu twoja celka, mój dobry starcze — rzekł wskazując mu jedną z otwartych cel. — Znajdziesz tu dobre łoże. Mam ci zostawić światło?

— Tak jest — odrzekł żebrak. — Kto wie, czy opuszczę kiedy tę celkę znowu!

— Dlaczegożby nie? Człowiek nie powinien się dać opanować lichym przeczuciom. Jesteś wprawdzie bardzo chory, ale Bóg może ukoić i najgorszą chorobę. Możesz więc mieć nadzieję!

— Ach, mam ja nadzieję — wyrzekł żebrak wśród nużącego napadu kaszlu — ale tylko na śmierć. Ona mi będzie wybawczynią od wszelkich moich cierpień.

— Masz wielkie boleści? — zapytał rabuś, schyliwszy się miłosiernie ku niemu, by przetrząsnąć starcowi łożysko.

— Życie nie może przejść bez boleści; ciało broni się od śmierci. Ale czem są boleści ciała wobec mąk duszy. Te są straszliwe, mój synu. Strzeż się więc kiedykolwiek je poznać.

— Cierpisz duszą? — Zwróć się do naszego dobrego Dominikanina. On wysłucha twą spowiedź i udzieli ci świętego rozgrzeszenia.

— Sądzisz w istocie, że może grzech przebaczyć? I może to uczynić człowiek? I to kapłan, który sam jest grzeszny i znajduje się między brygandami i mordercami. To niemożebne, mój synu!

— Słuchaj starcze; ojciec Dominikanin nie przybył do nas, aby brać udział w tem, co my czynimy, tylko po to, ażeby i bryganci znaleźli łaskę bożą, jeżeli który z nich tęskni za nią. Jest on człowiekiem bardzo dobrym i pobożnym. Jest moim nauczycielem, któremu zawdzięczam wszystko, co umiem.

Żebrak słuchał uważnie.

— Jest nauczycielem twoim? On więc ciebie uczył?

— Tak.

— Uczył? Rozbójnik uczy się?

— Jużci. Musisz bowiem wiedzieć, że kapitan używa mnie tylko do takich przedsięwzięć, gdzie potrzeba męża umiejącego obcować z wysoko postawionymi sennorami. Dlatego musiałem uczyć się wszystkiego, co musi umieć i wiedzieć taki sennor.

— Jakże się nazywasz?

— Mariano.

— Dalej nic.

Musisz przecież mieć imię swojej familii mój synu.

— Nie znam jej.

— Ach, więc jakże dostałeś się między brygandów?

— Kapitan znalazł mnie w górach. Jestem znajdą. On mnie wziął do siebie, ale wszelkie jego poszukiwania za tym, kto mnie podrzucił, były nadaremne.

— Ile masz lat?

— Nie wiem tego.

— Jak długo jesteś między brygandami?

— Teraz lat ośmnaście.

— Ośmnaście lat? — zapytał stary rozmyślając. — O to ten czas. Nie masz jakich wspomnień ze swej młodości? Czy nie możesz sobie niczego, wcale niczego przypomnieć, mój luby synu?

— Nie. Nie wiem nic z tego czasu, chociaż o nim często marzyłem.

— Może uważasz za sen to, co się stało rzeczywiście. O czem więc tak śniło ci się?

— Śniłem dużo o małej laleczce. Leżała ona w pięknem, białem łóżeczku, w którego bokach widać było złotą, koronę, i była ona żywa.

— Wiesz może jak się nazywała?

— Tak, — odpowiedział. — Wiem jeszcze całkiem dokładnie że ją nazywałem Rositą, Różeczką. Także mi się śnił wielki, wysoki mężczyzna, który mnie wołał Alfonzo. On mnie zawsze brał na swe kolana i nosił zawsze piękny, złocisty uniform. U nas była zawsze piękna pani, która mię zawsze bardzo lubiała i mnie i moją siostrę Rositę zawsze pieściła i całowała. Byłem mały, ale było wiele sług, którzy mię słuchali. I ja także leżałem w łóżeczku, które miało korony. Ale ja nie spałem w naszym zamku, tylko w mieście, dokąd mój ojciec i matka byli wyjechali. Chciałem krzyczeć, gdyż miałem wielki strach przed owym panem, ale on mi zawiązał chustkę silniej i ja zasnąłem z obawy na nowo. Gdym się obudził, leżałem w lesie. Oto jest, co mi się śniło.

— Więcej nic, więcej wcale nic?

— Nic.

— Nie wiesz, jak się nazywał ów mąż, który nosił uniform?

— Słudzy zwali go hrabią, albo też ekscelencyą.

— A! Wygłaszali kiedy jego imię?

— Nie.

— Słuchaj mój synu, to ci się nie śniło, to było rzeczywistością!

— Ja to sam czasem myślałem, ale kiedym o tem kapitanowi wspominał, był bardzo gniewny i nakazywał mi milczenie. O koronie wcale nie śmiałem mówić, chociaż przypominałem ją sobie całkiem dokładnie. Chciał mię bić, kiedym mu ją opisywał, i tak więc zawsze o tem milczałem.

— Czy możesz ją sobie przypomnieć?

— Bardzo dokładnie. Miała złote zygzaki z perłami, a pod tem były dwa srebrne znaki.

— Jakież to znaki były?

— Początkowo nie wiedziałem o tem nic, ale kiedy mię ojciec Dominikanin nauczył czytać, poznałem i to oba znaki. Były to dwie głoski, mianowicie S. i R.

— Mój synu, to była korona hrabiowska. Nie zapomnij o tych znakach nigdy.

— O tem wszystkiem nie zapomne nigdy, chociaż dobry ojciec Dominikanin jest [illegible], z którym mogę o tem mówić..

— Powiad[illegible] że ten ojciec jest dobrym człowiekiem?

— Tak, on jest dobrym brygandem, nie czyni nigdy nic złego, chociaż wiernie się brygandów trzyma i nigdy ich nie zdradza. Można mu ze wszystkiem zaufać.

— I mówisz, że on także spowiada i udziela rozgrzeszenia?

— Tak

— Czy by mi on także to uczynił?

— Z pewnością.

— Chcesz mi go zawołać?

— Chętnie! Ma zaraz przybyć?

— Chcę, abyś ty był obecnym przytem.

— Ja? O ja nie śmiem przecież słuchać spowiedzi!

— Przecież mój synu to, z czego mam się wyspowiadać, może cię będzie więcej obchodziło, jak sądzisz.

Szczęśliwy to zbieg okoliczności, że właśnie ty jesteś tym, który mi tę celkę wskazał. Życzę sobie jednak aby żaden człowiek nie dowiedział się, że byłeś obecnym przy mojej spowiedzi. Dlatego ma spowiednik dopiero wtedy przyjść, kiedy nie spostrzegą twej nieobecności.

— Stanie się to, kiedy wszyscy inni zasną.

— I jeszcze jedno mój synu. Czy nie znajduje się może między wami jaki jeszcze, który nie wie o swojem pochodzeniu?

— Żaden. Są to sami zbiegowie albo biedacy, którzy wiedzą dokładnie, kim są.

— I nie było nigdy między wami żadnego znajdy oprócz ciebie?

— Nigdy.

— Więc jesteś tym, którego szukam.

Mariano zadziwił się i zapytał:

— Szukałeś więc za mną? Dlaczego?

— Mój synu, jeżeli Boża wola, to dowiesz się jeszcze kiedyś, kim jesteś. To, co usłyszysz dzisiaj odemnie, ma ci wskazać drogę, którą o wszystkiem dowiesz się.

Twarz młodego mężczyzny przybrała wyraz radosny, szczęśliwy, on zawołał:

— Czyż prawda? Czy to możebne. Chwała Bogu za to jego wielkie miłosierdzie.

— Cicho, mój synu — przestrzegał go żebrak. — O tem nie śmie żaden człowiek wiedzieć, że z tobą chcę mówić w tej sprawie. Gdyby o tem dowiedział się kapitan, zginąłbyś. Właściwie miałeś być zabity, ale kapitan tego nie uczynił. Gdyby jednak poznał to, co tobie chcę opowiedzieć, musiałby cię pozbawić życia, by tajemnica nie wyszła na jaw. A więc bądź roztropny i milcz!

— Będę milczeć — zapewniał Mariano. — A kiedy wszyscy zasną, przyprowadzę do ciebie księdza.

— Powiedz mu, by wziął ze sobą papier, pióro i atrament, gdyż będzie mieć co do pisania. Także będziesz musiał zaopatrzyć nas w światło, gdyż pisanie to wymagać będzie dłuższego czasu.

Mariano poszedł, stary pozostał.

— Dzięki ci Madonno — mruczał — że mi udzieliłaś siły dojść do tego miejsca. Może mi Bóg przebaczy, jeżeli postaram się naprawić to, com narobił w swej lekkomyślności.

Nowy napad kaszlu zabrał mu oddech i strumień czerwonej krwi polał się z ust. Jasnem było, że mężczyzna ten stał już nad grobem i może jeszcze miał żyć niewiele minut.

Jeden po drugim zabierali się rabusie do odpoczynku. Niektórzy zostali w otwartej kotlinie skalistej i tu zasnęli i jeszcze nie nadeszła północ, kiedy ostatni okrył się swem pokrywadłem i zasnął słodko.

Wkrótce zasnęło wszystko, tylko straż na górze czuwała i nasłuchiwała wśród nocy, by towarzyszy ustrzedz przed nieszczęściem i najściem.

Mariano wyszedł ze swej celi. Ledwie zdołał opanować swoje wzruszenie. Wreszcie, wreszcie miała się odchylić zasłona, która ukrywała jego przeszłość! Sny jego nie były snami, tylko prawdą, rzeczywistością.

Było to możliwe? Puls bił mu niespokojnie, czuł rychłe pukanie serca, kiedy skradał się ku bocznemu korytarzowi, w którym leżała cela księdza. Siedział on jeszcze przy świetle nad swoimi książkami i zdziwiony był niespodzianką, kiedy poznał wchodzącego.

— Ty, Mariano? — zapytał — co cię sprowadza w tak niezwykłą godzinę do mnie, synu mój?

— Mów cicho, pobożny ojcze! — Prosił młodzieniec. — Nikt nie śmie o tem wiedzieć, co ci mam oznajmić.

— Więc to tajemnica?

— Tak. Masz pójść do starego żebraka, któregośmy dzisiaj przyjęli. Chce się wyspowiadać.

— Do niego? Wiedziałem to po nim, że anioł śmierci wyciągnął poń swe zimne ramiona. Ale dlaczego to czynisz tak potajemnie? Czyż mi tu zakazano, słuchać spowiedzi umierającego?

— Nie, ale ja mam być przy tej spowiedzi, o czem nikt wiedzieć nie śmie, pobożny ojcze!

— Ty, dlaczegoto?

— Bo tu będzie mowa o mojem pochodzeniu — wyrzekł Mariano z błyszczącemi oczyma.

— Ksiądz podniósł się z siedzenia i zapytał z wyrazem niewymownego zdziwienia:

— O twojem pochodzeniu? Mój Boże, w takim razie musimy działać po kryjomu, bo jak się domyślam i prawie jestem o tem przekonany, kapitan nie pragnie, abyś dowiedział się, kim ty właściwie jesteś. W której celi znajduje się chory?

— W ostatniej. Wskazałem mu ją, by nie przeszkadzał innym swoim kaszlaniem.

— Chodź więc!

Doszli tak ukradkiem i pociemku do żebraka, którego kaszel słyszeli już zdaleka. Kapłan prosił Mariana zaczekać na dworze i wszedł nasamprzód sam do chorego. Po niejakim czasie wrócił, mówiąc, że muszą wziąć inną celę, mianowicie zamkniętą, bo w tej otwartej komnacie nie można rozmawiać, nie będąc podsłuchanym w ciemnym korytarzu. Udali się więc w trójkę do jednej z cel więziennych, której drzwi przygłuszały dźwięk rozmowy, chociaż nie można ich było przymknąć zewnątrz. Tam ułożył się żebrak na łożu, a skoro się obaj towarzysze jego usadowili koło niego, tak zaczął mówić:

— Mój pobożny ojcze, czuję że muszę umrzeć, a chciałbym przedtem bardzo ulżyć memu sercu winy, jakie już od lat ośmnastu w życiu ze sobą noszę.

— Bóg łaskaw dla skruszonego — zauważył kapłan. — Wyjaw mi, co ci przygniata serce.

— Są to dwa ciężkie grzechy!

— Wobec kogo je popełniłeś?

— Pierwszy wobec kapitana popełniłem.

— Wobec którego kapitana, naszego?

— Tak jest. Musicie bowiem wiedzieć czcigodny ojcze, że byłem niegdyś członkiem brygandów.

— Ty? Ach! Tutejszych brygandów?

— Tak. Kapitan był moim naczelnikiem. Byłem biednym żeglarzem i przemyciłem nieraz parę łokci jedwabnej materyi z Francyi przez granicę. A raz mię złowiono. Skonfiskowano moją łódź i towar i rzucono mię do więzienia. Ja jednak umknąłem, a ponieważ nie byłem nigdzie bezpieczny, poszedłem między brygandów. Pierwsze moje dzieło, jakie musiałem spełnić, była zamiana dziecka. Niewielkie przemycanie nie obciążyło mojego sumienia, ale ten czyn mnie zaniepokoił. Nie mogłem już nawet nocą sypiać, a kiedy potem kapitan zażądał odemnie, bym zabił jednego człowieka, złamałem przysięgę wierności, którą przed nim kiedyś złożyłem i uciekłem.

— Opowiedz mi historyę zamiany dziecka — rzekł ojciec Dominikanin.

— Był to, jak już wspomniałem o tem, mój pierwszy czyn. Kapitan poszedł sam ze mną, ażeby być mnie pewnym. Zaprowadził mnie do gościnnicy w mieście Barcelonie, gdzieśmy stanęli i przenocowali. O północy wstąpił do naszej komnaty mężczyzna, który położył na stół pakiet. Kiedy rozwiązał sukno, był w nim może czteroletni chłopczyna. Sukno czuć było mocno eterem i z tego mogłem wnosić, że dziecko nasamprzód pozbawiono przytomności. Miałem tego chłopczyka zamienić na innego, który leżał w drugiej komnacie i spał. Pokój nie był zamknięty, a ja otrzymałem flaszeczkę z eterem, aby nasamprzód piastunkę a potem i dziecko pozbawić przytomności. Zamieniłem sukienki obojga dzieci i wróciłem z obcem dzieckiem, które potem kapitan zabrał ze sobą tu do tej jaskini.

— Wiesz o tem dokładnie?

— Tak, przecież szedłem z nim i musiałem nieść chłopca. To nie inny tylko oto ten młodzieniec.

— I to wiesz dokładnie?

— Mógłbym na to przysięgnąć! Młodzieniec ten sądzi, że mu się to śniło, ale on się myli, albowiem wszystko to było prawdą. Gdym zamieniał sukienki, widziałem na sukniach obcego chłopczyka koronę hrabiowską z oboma głoskami S. i R. Mogę sobie dokładnie przypomnąć, że było to pierwszego października roku 18**, mianowicie w nocy z pierwszego na drugi października.

— Niezbadane są drogi boskie, ale On wszystko wspaniale doprowadza do końca — rzekł kapłan. — Może ty jesteś narzędziem boskiego wyroku, synu mój. Nie poznałeś mężczyzny, który wam przyniósł chłopca? Dowiedzieć się, to stanowi dla nas największą wartość.

— Nie znałem go, ale słyszałem jego imię.

— Jakże brzmiało?

— Kapitan zapomniał się raz i zawołał na niego sennor Gosparino, a przy pożegnaniu, kiedy sądzili, że nikt ich nie widzi, wymówił to imię powtórnie. Drzwi nie były zamknięte, słyszałem więc to imię znakomicie. Nawet bym tego człowieka zaraz poznał, gdybym go tylko raz mógł zobaczyć.

— Jakiej był postaci?

— Długi i chudy. Miał skrzeczący głos i używał wyrazów bardzo pobożnych.

— I tak przynieśliście obcego chłopca w obcych sukienkach tutaj. Cóż się z nim dalej stało?

— Pozostał w jaskini i pielęgnowano go dobrze. Mówił zawsze o swojej matce, o swoim ojcu, o małej Rozicie, o dobrym Alimpie i dobrej Elwirze. Nareszcie zakazał mu kapitan wymieniać te imiona, a potem widocznie je całkiem, a całkiem zapomniał.

— O nie, — wtrącił Mariano. — Nie zapomniałem ich! Ostatnie dwa imiona wyleciały mi wprawdzie z pamięci, ale teraz je sobie dokładnie przypominam. Mały Alimpo nosił mię dużo razy na rękach. Czem on był w zamku, nie wiem, miał dziwny wąsik pod nosem. Końce tego wąsika golił ciągle i tylko prosto pod samym nosem wisiały dwa długie strzępy włosów daleko niżej ust. Nie mogłem tego znieść szczególnie wtedy, kiedy mię całował. Elwira była jego żoną. Była bardzo gruba i mawiała zawsze, kiedy wydawała o czem swój sąd: "To samo twierdzi mój Alimpo!" Ona mi tak żywo stoi w pamięci, że zaraz bym ją poznał, gdybym się raz tylko z nią spotkał.

— Dziwne to rzeczy, mój synu — rzekł kapłan. — Teraz już jestem naprawdę przekonany, że ty jesteś tym chłopcem, którego zamieniał ten człowiek. Ale wróćmy do naszej opowieści, — i zwracając się do chorega, zapytał:

— Jakie jest twoje właściwe nazwisko i skąd jesteś?

— Nazywam się właściwie Manuel Sertano, wołano mię jednak tutaj tylko Manuel. Jestem z Mataro.

— To może będzie dla nas mieć także pewną wagę. Opowiadaj więc dalej, mój przyjacielu.

Kiedy chory znowu przebył ciężki napad kaszlu, opowiadał dalej.

— Kilka tygodni po zamianie dziecka miałem zabić jednego podróżnego. Wzdrygałem się. Kapitan napierał na mnie i groził mi karą śmierci, jeżeli nie wykonam jego rozkazu. Udałem, że chcę mu stać się posłusznym i poszedłem, ale nie wróciłem już do niego.

— To jest więc owo krzywoprzysięstwo, jakie popełniłeś?

— Tak jest. Przysięgnąłem wypełniać wszystkie rozkazy kapitana. Przysięgę moją więc złamałem.

— Mój synu, jeżeli to tylko obciążało twe sumienie to mogłeś być spokojnym. Żyję tu między brygandami gdyż zgubione te owce nie powinny pozostać bez pociechy i boskiej pomocy i nigdy z pewnością ludziom tym nie uczynię szkody, ale ci powiadam, żeś bardzo słusznie uczynił, nie chcąc zabić podróżnego. Siłą mojego urzędu jako sługa świętego kościoła zwalniam cię od tej przysięgi i przynoszę ci przebaczenie dlatego, abym mógł spokojnie umrzeć!

— Niechaj usłyszymy twe opowiadanie w zupełności.

— Kiedym stąd uciekł, udałem się do Sanct Jean de Luz we Francyi i dostałem się jako majtek na okręt. Popłynęliśmy do Antyli i stąd zacząwszy sługiwałem na rozmaitych statkach, aż razu pewnego w Sanct Jean de Callao zachorowałem ciężko. Wyzdrowiałem i wstąpiłem na służbę u bogatego Meksykańczyka, który mię wziął do głównego miasta Meksyku. Służyłem u niego lat wiele, dopóki nie umarł. Od tego czasu szło mi bardzo smutno. Małe moje oszczędności rozpłynęły się, piersi zaczęły schnąć. Uczułem, że wtedy nie ujdę śmierci i ogarnęła mię tęsknota za przebaczeniem moich grzechów, uczułem żądzę odszukać zrabowanego chłopca i prosić go o pomiłowanie i przebaczenie. Wyżebrowałem sobie pieniądze na przejazd i tak powróciłem do Hiszpanii. Choroba zniszczyła moje ciało i nikt nie jest w stanie poznać mię. Tak więc mogłem się odważyć wyszukać tę jaskinię i dopytywać się za chłopcem. Bóg tak zrządził, że go spotykam zaraz pierwszego dnia i bardzo to dobrze, bo nie wiem, czy dożyję jutrzejszego dnia. Pierś moja pusta, a śmierć odemnie już tak blisko!

Straszliwy napad kaszlu schwycił starego i właśnie, kiedy tenże przeminął, usłyszeli zbliżanie się cichych kroków. Mariano odstąpił zaraz w ciemny kąt więziennej celi, a ksiądz stanął tak, aby nań światło lampy nie mogło rzucać swojego blasku.

— Drzwi się otworzyły a w nich stanął kapitan.

— Co się tu dzieje? — zapytał.

— Nie wchodź tu kapitanie — prosił kapłan. — Przeszkadzasz spowiedzi tego umierającego męża.

— A tak! Dlaczegoż nie został w tej samej celi, którą mu przez Mariana oddałem?

— Czyż wolno, by spowiedź umierającego słyszeli niepowołani, dowódzco? Tu nas chronią drzwi od tego, by nas nie podsłuchano.

— Jesteście bardzo ostróżni, pobożny ojcze! Mam na...dzieję, że ta spowiedź nie mieści w sobie nic takiego, coby mogło poszkodzić naszemu towarzystwu.

— Spowiedź żebraka? Idz, kapitanie, sądzę, że ty sobie stroisz żarty z sakramentu?

— Kapitan oddalił się, nie spostrzegłszy Mariana.

Tak więc szczęśliwie minęło wielkie niebezpieczeństwo. Kapłan nasłuchiwał, dopóki nie znikł głos kroków kapitana zupełnie, a potem rzekł:

— Mój synu, popełniłeś bardzo wielkie grzechy. Wyrwałeś rodzicom dziecko i zawiniłeś tem, że ono zostało rabusiem. Grzech ten o wiele większy, jak sam ty sądzisz, ale większa jest jeszcze łaska boża. On ci przebaczy, jeżeli ci przebaczy ten, wobec którego popełniłeś ten grzech tak ciężki.

Chory podniósł ręce z błagającem spojrzeniem ku Mariano. Ten przystąpił bliżej i wyciągnął doń swoją rękę:

— Manuel Sertano, przebaczam ci. — rzekł. — Widzę cały ogrom twojego występku, ale ja też jestem grzesznikiem, i niech mi Bóg tak przebaczy jak ja ci przebaczam!

Głowa żebraka opadła na łoże. Zapadłe oczy zamknęły się a na twarzy zjawił się wyraz głębokiego pokoju.

— Och, jak lekko i słodko mi teraz! — szepnął starzec. — Mój Boże, dziękuję ci, że mogę teraz spokojnie umrzeć!

— Tak — rzecze kapłan. — A teraz udzielam ci mocą mojego urzędu jeszcze raz odpuszczenia grzechów twoich. Żałowałeś ich i dlatego niechaj ci będą odpuszczone.

— Nie sądziłem, że mi będą odpuszczone, gdyż rozbiłem szczęście tak znakomitej rodziny. Teraz niech stanie się wszystko, aby tylko sprawę tę naprawić. Widzę, że masz mój pobożny ojcze papier i pióro przy sobie. Pospisuj to dokładnie, a ja pragnę to wszystko podpisać i wyznać, że młodzieniec ten jest owym niegdyś zrabowanym.

— Dobrze, uczynimy wszystko — rzekł ksiądz, wyciągnąwszy przybory do pisania. — Wprawdzie jest to cośmy się od ciebie dowiedzieli, jeszcze niepewne, ale Bóg, sądzę, pomoże dowiedzieć się z czasem, gdzie też ów obcy mąż, którego nazywano sennorem Gasparino, i ci ludzie, u których odmieniano dziecię. —

— Kapitan wie z pewnością o wszystkiem — zauważył Mariano. — Zmuszę go, powiedzieć mi o tem.

— Dla Boga, nie czyń tego! — przestrzegał mnich. — On się nie da nigdy do tego zmusić, on raczej cię, z wielką pewnością zabije, kiedy spostrzeże, iż tajemnica jego w niebezpieczeństwie. Powinniśmy być bez obłudy, jak gołębie, ale roztropni jak węże, mój synu. Podstęp nas daleko łatwiej doprowadzi do celu, aniżeli siła. Jak się nazywała gospoda, w której dokonała się owa zmiana?

— Była to gospoda, L'Homme grand' (pod wielkim mężem). — odpowiedział żebrak.

— A w którym pokoju stało się to?

[Ciąg dalszy tego zajmującego romansu będzie drukowany w "Ilustrowanym Tygodniku Powieściowo-Naukowym", wychodzącym tak samo, jak "Gazeta Polska" co czwartek każdego tygodnia. Prenumerata wynosi: W Stanach Zjednoczonych rocznie $1.00; W Kanadzie, Europie i innych częściach świata rocznie $1.50. Pieniądze najlepiej przysyłać w liście registrowanym lub przez Money Order do: W. Dyniewicz Publ. Co., 1113 Noble Str., Chicago, Ill.]

CHICAGO.

POLSKI CHŁOPIEC ZABITY.

Ginie pod kołami lokomotywy, zbierał węgle dla matki.

We środę o ogdzinie 9:30 rano na torach kolei North Western R. R. przy Fullerton i Leavit ul. został zabity 13 lat liczący chłopiec Alojzy Kaczyński, którego rodzice mieszkają pn. 2225 Berlin ul. — Nieszczęśliwy chłopiec poszedł na tory kolejowe, by uzbierać węgla dla matki i znalazł śmierć. — Kaczyński najechany został przez pociąg tak fatalnie, że ma przecięty korpus i złamaną lewą nogę. Na miejscu wypadku rozpoznał zwłoki Józef Wojciechowski były reprezentant browaru Seipsa, to też dano zaraz znać o tem rodzicom zabitego, poczem zwłoki zawieziono do zakładu pogrzebowego Kamki i Greckiego pn. 2121 Webster ave., gdzie w dniu następnym odbył się inkwest koronerski. Pogrzeb śp. Alojzego Kaczyńskiego odbędzie się w przyszłą sobotę, z domu żałoby pn. 2225 Berlin ul. do kościoła św. Jadwigi, a stamtąd na cmentarz polsko-czeski św. Wojciecha.

Kaczyński, ojciec zabitego chłopca, jest niezamożnym robotnikiem i miał pięcioro dzieci. Nie należy do żadnej organizacyi polskiej ubezpieczeniowej.

Smutny ten wypadek niechaj będzie przestrogą dla innych rodziców, którzy swe dzieci zwykli posyłać na tory kolejowe, by zbierali węgle.

GWIAZDKA W POLSKIM KLUBIE PRASOWYM.

W z. czwartek w lokalu Polskiego Klubu Prasow. nad Wawelem urządzoną była gwiazdka dla dziatwy członków klubu, a przy tej okazyi i dla starszych osób. Członkowie Klubu zebrali się stosunkowo dość licznie z rodzinami i lokal zaczął rozbrzmiewać okrzykami i szczebiotem rozbawionej dziatwy, której się zebrała spora gromadka. Do koła wielkiej pięknie przybranej choinki obwieszonej podarkami i ustawionej w czytelni klubowej zebrała się dziecìarnia oraz starsi, śpiewając kolędy. Rolę gwiazdora pełnił p. 'Miecio' Bereczkowski, który kolejno wywoływał nazwiska wszystkich obecnych, wręczając im podarunki gwiazdkowe. Było przytem śmiechu i wesołości nie mało, gdy np. Komisarzowi Kuflewskiemu dostał się kufel do piwa; panu "Stefciowi" K. Sass, wielkiemu przeciwnikowi napojów wyskokowych maleńka buteleczka... gorzałki, dziennikarzom zaś, albo pisma przez nich redagowane, przepasane wstążeczką lub też ogóreczki z cukru na... czasy ogórkowe, gospodarzowi klubu p. "Karolkowi" Wiecheckiemu... trąbkę, a p. "Romciowi" Piątkowskiemu jako prezesowi Klubu prasowego, malutkie żelazko do prasowania.

Dziatwę obdarzono różnymi podarkami, oraz łakociami, a paniom dostały się pudełka lub koszyczki pełne wybornych czekoladek. Znalazły się też owoce i przekąski. Więc bawiono się ochoczo niemal do północy, bo każdemu było żal odejść, gdyż grono to stanowiło jakby jedną rodzinę.

Gwiazdka więc rozpoczęła cały szereg wieczorków towarzyskich, które, miejmy nadzieję, sekcya zabaw w klubie częściej będzie urządzać.

Uznanie się należy kilku paniom i pannom, które się zajęły ubraniem choinki i przybrały ją nader gustownie.

NOWY ZARZĄD.

Towarzystwo św. Stanisława B. i Męczennika, Patrona Polski odbyło roczne posiedzenie dnia 29 grudnia 1910 r. i wybrało nowy zarząd jak następuje:

Prezes J. Wróbel, po raz I. Wiceprezes Józef Gandela po raz I. Sekretarz prot. Piotr Popiela po raz I. Sekretarz Finans. Jan Kuzara po raz IV. Kasyer Jan Rachel po raz II.

Opiekunowie Kasy: Józef Tokarz po raz VII. Jan Wisnowski po raz III. J. Gadzała po raz II.

Marszałkowie: Wojciech Niemiec po raz X. Wojciech Sołtys po raz VI.

Do chorągwi kościelnej: Józef Niezgoda po raz II. St. Jezioro po raz II. Józef Marszał po raz II.

Do chorągwi narodowej: Piotr Płaczek po raz II. Stanisław Serwiński po raz II. Piotr Szoth po raz II.

Opiekunowie chorych: J. Wierzbicki po raz I. Jan Ochoł po raz I. i odźwierny Jan Kuszowski po raz X.

Komitet.

Z ARCHIDYECEZYI.

Dwie nowe rady konsultorów. Usuwanie proboszczów.

Ksiądz Arcybiskup na mocy prawa nadanego mu przez dekret Papieża utworzył dwie nowe ważne rady konsultorów.

Tak zwana komisya czyli rada egzaminacyjna i rada konsultorów parafialnych — będą stanowiły dwie instancyę sądu w sprawach usuwania proboszczów. Na mocy ostatniego dekretu Biskup samowolnie nie może usunąć proboszcza z parafii; musi to uczynić przy pomocy sądu złożonego z duchowieństwa. Rada egzaminacyjna zajmować się będzie egzaminowaniem duchowieństwa, promocyami, a w końcu stanowić będzie pierwszą instancyę w sądzie, który ma orzec czy danego proboszcza powinno się usunąć, czy nie. W razie gdyby sąd uznał za stosowne danego księdza z probostwa usunąć, wtenczas ksiądz ten ma prawo apelować do wyższego sądu, do rady konsultorów nad proboszczami, czyli rady parafialnej. Rada ta jest ostatnią instancyą a decyzya tejże decyduje.

W obu radach reprezentowane jest polskie duchowieństwo. W radzie egzaminacyjnej jest dr. filozofii ks. Jan Lange, a w radzie konsulatorów parafialnych jest: ks. J. Zwierzchowski, ks. Floryan Chodniewicz i ks. Kazimierz Gronkowski.

W komisyach tych — mówił wczoraj ks. Arcybiskup Quigley do reprezentanta Dziennika Chicagoskiego — są reprezentowane wszystkie narodowości, a zwłaszcza w radzie konsultorów parafialnych.

Ks. Arcybiskup zatwierdził również dawne komisye. Do rady szkolnej należą: ks. Stanisław Nawrocki i ks. Franciszek Wojtalewicz. Cenzorem książek i wydawnictw został nadal ks. Stanisław Nawrocki, a do tz. "Consilium Vigilontia" należą ks. Stanisław Cholewiński i ks. Grześ z Chicago Heights.

Konsultorem dyecezyalnym pozostaje nadal ks. Franciszek Lange.

Przed Nowym Rokiem każdy kapłan katolicki w dyecezyi chicagoskiej złoży przysięgę, że będzie bronił Kościoła przed zakusami modernizmu.

NOWY SZEF STRAŻY OGNIOWEJ.

Został nim Karol Seyferlich po 33 latach służby.

Rada miejska zatwierdziła nominacyę Karola Seyferlicha na szefa straży pożarnej na miejsce zabitego Horana. Nowy szef stawił poręczenie w sumie $25,000, które również przyjęto. Z nową posadą, z awansem przyszła także podwyżka pensyi, z $5,000 na $8,000, którę szef rocznie pobiera.

Szef straży pożarnej, Seyferlich został naczelnikiem straży po 33 latach służby. Rozpoczął on dnia 22-go czerwca 1877 roku — powoli awansował, aż nareszcie doszedł do ostatniego szczebla w służbie pożarnej. Przed czterema laty, kiedy był drugim zastępcą, ofiarowano mu stanowisko szefa, lecz nie przyjął go, bo czuł, że Horan stał nad nim we wszystkiem i wolał pierwszemu asystentowi Horanowi ustąpić, co też zrobił. Z awansem Horana — Seyferlich został pierwszym asystentem.

W cyfrach nowy szef przedstawia się następująco: Zapisał się do straży pożarnej dnia 22 czerwca 1877 roku; zrezygnował dnia 15 grudnia 1882; wstąpił ponownie 1 kwietnia 1883 roku; został kapitanem w maju 1887 roku; szefem batalionu 16 maja 1894; awansował na trzeciego zastępcę szefa 22 października 1904; drugim zastępcą d. 18 marca 1905; — pierwszym asystentem 23 sierpnia 1906 roku. Obecnie liczy on lat 59.

Thomas J. O'Connor, trzeci asystent szefa, obejmie stanowisko pierwszego asystenta, a czwarty zastępca wstępuje na urząd drugiego asystenta. Czwartym zastępcą był Patrick J. Donahue. Wakanse zostaną wypełnione po egzaminie 20 szefów batalionu.

Nowy szef nie zrezygnuje ze stanowiska zastępcy szefa tylko poprosi na zwolnienie od służby na jeden rok. Gdyby nowa administracya miasta miała zamianować innego szefa — wtenczas Seyferlich wróci na stare stanowisko.

Nowy szef najpierw zbada powody katastrofy w rzezalniach — w porozumieniu z koronerem Hoffmanem kilku zdolnych strażaków będzie pracowało nad tą sprawą, aby winę zwalić na właściwych ludzi.

Szef ogłosił również promocyę dwóch podszefów i tymczasową promocyę na trzeciego szefa Marcina Lacey, który jest szefem batalionu.

Seyferlich jest stanowczo za lepszym wyposażeniem straży. Żąda on automobilowych sikawek, wozów z wężem i drabinami — oraz dalekonośnego systemu wodnego we wszystkich fabrykach i gmachach.

Nowy szef ma czterech synów i dwie córki. Brat szefa, Artur R. Seyferlich, jest szefem drugiego batalionu straży pożarnej.

W SPRAWIE OBCHODU GRUNWALDZKIEGO W CHICAGO.

Na posiedzeniu komitetu obywatelskiego, które się odbyo w hali Walsha, dnia 7go października 1910 r. uchwalono stanowczo polecić komitetowi finansowemu, aby tenże w jak najkrótszym czasie i o ile możności postarał się o ostateczne załatwienie rachunków [illegible]odow i rozchodów Obchodu Grunwaldzkiego, który się odbył dnia 17 lipca 1910 r. w parku "White Sox". Staraniem komitetu finansowego, przystąpiono do tej pracy; została ona ukończona i przedstawiona na posiedzeniu Komitetu plenarnego, które się od było w hali Domu Związku Narodowego Polskiego, przy Division ul. dnia 23-go grudnia 1910 r. Sprawozdanie opracowane przez komitet finansowy brzmi jak następuje:

Sprawozdanie.

Komitetu finansowego dla Plenarnego Komitetu Obchodu Grunwaldzkiego w Chicago.

Chicago dnia 15-go grudnia '10.

Przychody.

W dzień obchodu w parku "White Sox" za bilety	$909.60
Za programy i odznaki	377.71
Razem	$1,286.71
Składki towarzystw i organizacyi ze sprzedaży biletów, programów i odznaków przez Towarzystwa, Organizacye i członków komitetu	$1,702.83
Z ogłoszeń w programie	771.00
Razem	$3,760.54

Wydatki:

Druki, odznaki, muzyka, budowa trybun, pożyczenie krzeseł, dekoracye, usługa itd.	$2,108.64
Pozostaje w posiadaniu kasyera Plenarnego Komitetu p. Władysława Schrojdy, dnia 15-go grudnia, 1910 roku	$1,651.90

Uwagi:

1. Przekazujemy Plenarnemu Komitetowi załatwienie załączonego tu rachunku p. Stanisława Adamkiewicza, za dostawione a niesprzedane odznaki.

2. Polecamy ogłosić przy sprawozdaniu publicznem, że kto jeszcze winien za bilety na obchód Grunwaldzki, niech jak najprędzej złoży należytość na ręce kasyera Komitetu finansowego. Przew. ks. Jana Kosińskiego, na plebanii św. Jana Kantego, narożnik ulic N. Carpenter i Front.

Na temże zebraniu dnia 23-go grudnia omawiano jeszcze niektóre sprawy dotyczące komitetu Obywatelskiego, które zostały w myśl poleceń i uwag załatwione. W toku obrad przyjęto również polecenie wypłacić p. Adamkiewiczowi drugą połowę za odznaki w sumie $300 również i p. Wleklińskiemu, sekr. głównego komitetu, tytułem wynagrodzenia za pracę $30.00; pozostałą zaś sumę, po odciągnięciu zaś od powyższej, ogólnego przychodu a raczej pozostałej sumy

	$1,651.90
	330.00
Pozostaje	$1,321.90

Pozostałą tę sumę $1,321.90 polecono skarbnikowi, p. Schrojdzie doręczyć ks. J. Kosińskiemu, jako sekretarzowi komitetu budowy Sierocińca Polskiego, ponieważ uchwałą zebrania dnia 10go kwietnia 1910 r. sumę, jakakolwiek pozostanie po opłaceniu wszelkich wydatków na ten cel przeznaczono.

Polecono również sekretarzowi wypracować publiczne sprawozdanie i publicznie ogłosić je w prasie.

Również zastanawiano się nad sprawą pozostałych egzemplarzy programu, czyli Jednodniówki. Ostatecznie uchwalono, aby je rozesłano do różnych zakładów naukowych polskich, podług uznania Komitetu Obywatelskiego. Uchwalono też, ażeby w ten sam sposób postąpić z pozostałemi odznakami. W końcu przyjęto propozycyę, iż na przyszłem posiedzeniu komitet zostanie rozwiązany.

Filip M. Ksycki, prezes
Fr. X. Wlekliński, sekretarz.

GROŹNY POŻAR.

Pani Anna Dekanowska wyrzuciła swoje trzyletnie dziecko przez okno.

Wstrząsające sceny rozegrały się we czwartek rano podczas pożaru, jaki wybuchł w dwupiętrowym domu pnr. 1324 W. Van Buren ul. Trzy osoby doznały przytem poważnych ran, 3 letnia dziewczynka zawdzięcza swoje życie temu, że ją matka wyrzuciła przez okna drugiego piętra na ulicę, którą właśnie przechodził przytomny człowiek. Dziecko uszło wielkiego szwanku.

Wybuch gazoliny spowodował pożar, który szybko przybyła pożarna straż mogła ugasić bez wielkiego trudu.

Szkoda materyalna nieznaczna. Rany zaś odnieśli:

P. Anna Dekanowska, lat 23, oparzenia na twarzy, ramionach jako też obrażenia wewnętrzne.

P. Róża Edickson, lat 24, pokaleczenie pleców i tyłu głowy, jako też rany na rękach i nogach.

Chas. Erickson, lat 28, złamanie prawej nogi w kostce i zdarcie na plecach skóry.

Rannych umieszczono w szpitalu powiatowym. Stan zdrowia Dekanowskiej jest podobno w najwyższym stopniu krytyczny — ponieważ z wielkiego przerażenia popadła w gorączkową febrę nerwową.

W domu, w którym pożar powstał, pani Sadie Meyers odnajmuje stołownikom pokoje; pracuje ona w śródmieściu jako sprzedawaczka i zaledwie wczoraj dom opuściła, gdy w mieszkaniu pani Dekanowskiej wybuchł pożar. Czy go wywołał wybuch gazoliny, czy też dopiero ogień, gdy się dostał do bańki z gazoliną wybuch tejże spowodował, nie można wiedzieć, bo pani D. jest dotąd prawie zupełnie niepoczytalna. Czy zaś w ten lub w ów sposób gazolina eksplodowała, ogień objął podłogę i przeniósł się na ściany.

Pani Dekanowska zabrała wówczas swoją córeczkę i wpadła do sąsiedniego przez panią Annę Wright zamieszkanego pokoju i przez okno tegoż wyrzuciła swoje dziecko na ulicę.

Akurat pod oknem przechodził Fred Hoffman, manażer fabryki pn. 1318 W. Van Buren ul. Kiedy kobieta stanęła w oknie, Hoffman z rzadką przytomnością umysłu zdjął z siebie palto — rozciągnął je na rękach, jak tylko mógł, najszerzej i zawołał: "Rzuć mi tu pani dziecko! Tylko ostrożnie!"

W sekundę później spadło dziecko jak kamień na rozciągnięte w powietrz upalto, raczej ubawione podróżą powietrzną niż przestraszone.

Pani Dekanowska, jako też C. Erickson i tegoż żona Róża, nie czekali na nadejście pomocy z dołu, ale wyskoczyli na chodnik w oczach setek ludzi, którzy się na poczekaniu przed domem zebrali.

DROBNE NOTATKI.

Sześcioletnia Albertyna Rostowska córka kontraktora, obywatela Franciszka T. Rostowskiego, zamieszkała pnr. 1107 Washington ul., w Evanston, umarła w z. środę wskutek poparzeń jakie odniosła we wtorek, gdy zatliły się jej sukienki od świeczek na choince.

• • •

W odpowiedzi na wyzwanie Gotch'a, pierwszy zgłosił się Cyganiewicz, bawiący obecnie w Nowym Yorku, którego manażer Herman ogłosił w nowoyorskich pismach co następuje:

"Co do uznania Gotch'a, ogłoszonego publicznie, które opiewa, że on chce zmierzyć się z jakimkol wiek zapaśnikiem o zakład w sumie $20,000 i cały dochód ze sprzedaży biletów przeznaczony dla zapaśników, — niniejszem oświadczam, że przyjmuję to wezwanie w imieniu "Zbyszka". Życzyłbym sobie tylko, aby zakład, o którym wspomina Gotch wynosił $10,000 zamiast $20,000. Składam niniejszem $1,000 na ręce H. D. Cashmana jako gwarancyę, a resztę tj. $9,000, obiecuję złożyć przy podpisywaniu ugody."

• • •

Klar. Bogdanowiczównę, 10 lat liczącą, a zam. pn. 1622 N. Wood ul. trafił w lewe oko pocisk wystrzelony z wiatrówki, z którą się nieostrożnie obchodził Otton Burgocki, 11-letni, z pn. 1729 Wabansia ave. Dziewczyna może zupełnie stracić wzrok zranionego oka.

DO P. T. PUBLICZNOSCI.

Panie, Panienki i młodzież polska ustawicznie dopytują się wywiadują, kiedy i gdzie będzie ten sławny Koncert i Bal, który tak dawno obiecywał urządzić Chór "Krakowiaków i Krakowianek". Otóż zawiadamia się Sz. Publiczność, że Koncert i Bal wyżej wspomnianego Chóru odbędzie się w niedzielę 8-go stycznia 1911, we wspaniałej Hali Św. Stanisława Kostki, róg Noble i Bradley ulic.

Szan. Publiczność nie przewiduje zapewne, że Koncert ten będzie iście prawdziwą niespodzianką dla Niej. Bo rzeczywiście pod uwagę biorąc, którež Towarzystwo może wydać piękniejszy koncert czy bal, jeżeli nie takie, które zajmuje się śpiewem i muzyką?... Toż na samo wspomnienie: Śpiew — Muzyka — serce człowieka odradza się — potęgują się w nim wszystkie sprężyny, i już samo wspomnienie usłyszenia śpiewu i muzyki wyprowadza go z równowagi uczucia i pędzi hen!... w nieznaną dal, gdzie zawsze i wiecznie będzie przysłuchiwał się tej wdzięcznej melodyi: Miłość Miłości, bądź naszą Miłością.

• • •

Komitet ma zaszczyt dodać od siebie, iż Koncert nasz będzie nieporównanym, pod względem artystycznym. Dotychczas wszystkie chóry praktykowały ograniczanie programu do popisów li tylko amatorskich. Dzisiejsze atoli wymagania Publiczności koncertowej są dalej idące. To też Komitet zaprosił **zawodowych solistów** do współudziału, jako to: panią Różę Kwasigroch; p. p. Sol'a Alberti'ego, światowej sławy pianistę; B. Carlson'a, wybitnego wiolenczelistę; F. Witkowskiego, basa; Br. S. Rybowiaka, skrzypka i "Kwartet Chopina". Niesłyszana w Ameryce "Halka" Moniuszki, znajdzie miejsce na scenie Stanisławowskiej, a choć nie w całości, jednak w pewnej części, i to najpiękniejszej. Odśpiewana zostanie Druga Scena z III-go Aktu. Również biorą udział w Koncercie następujące chóry: "Halka", "Jutrzenka" i "Paderewskiego".

Tak więc ten program oczywiście obfity, niezawodnie powinien zwrócić uwagę Szan. Publiczności i ściągnąć Ją do Hali Św. Stanisława Kostki, w Niedzielę dnia 8-go Stycznia 1911. Początek Balu o godz. 5-ej popołudniu, a Koncertu o 8-ej wieczorem.

Mając nadzieję, iż Szan. Publiczność zaszczyci nas jak najliczniej swoją obecnością, kreślimy się ze śpiewaczym hasłem

Górą Pieśń!

KOMITET:
J. Trzciński — prez.,
S. Ostrowska — wice-prez.,
A. J. Trepanowski, — sekr.,
St. Kuźniewicz,
W. Radłowska,
M. Hardy.

POSZUKIWANIA.

NOWI AGENCI.

Ob. Wincent Slawski, 211—3rd Ave. N. E. Minneapolis, Minn. kolektuje w Minneapolis i okolicy.

Ob. Czernek Box 598 Altoona, Pa., kolektuje w Altoona i okolicy.



Photo by American Press Association.

Awiator John B. Moisant zabity.

Który zdobył nagrodę w sum ie $10,000 za wzlot z Belmont parku i okrążenie statuy wolności w Nowym Yorku. Zginął w tragiczny sposób w z. sobotę. Szczegóły w ostatnich wiadomościach.

Ostatnie Wiadomości.

UWIĘZIENIE SPISKOWCÓW W PORTUGALII.

LIZBONA, Portugalia. — Do Waszyngtonu doszły nieurzędowe wieści, że w portugalii wykryto spisek monarchistów w celu obalenia republiki, a przywrócenia rządu monarchicznego. Pono uwięziono cały szereg monarchistów zaplątanych w spisek, a przywódcę spiskowców stracono. Wiadomość ta potrzebuje jednak potwierdzenia.

DWIE NOWE OFIARY LOTNICTWA.

Awiatorzy Moisant i Hoxsey zginęli w jednym dniu w wypadkach z aeroplanami.

NEW ORLEANS, La. — Jednego dnia i w jednaki sposób zginęli dwaj słynni lotnicy John B. Moisant i Arch Hoxsey. Ubiegłej soboty Moisant wzbił się aeroplanem Bleriota w przestworza o godzinie 9:05 rano z placu przy New Orleans, La., i gdy był na wysokości 200 stóp nagle maszyna zadrżała, stanęła i jak dziki rumak rzuciła się nosem ku ziemi, poczem z wysokości 50 stóp runęła na ziemię. Lotnik Moisant wypadł z aeroplanu i spadł głową na ziemię, łamiąc sobie kręgi. Żył jeszcze, gdy do niego nadbiegło kilkudziesięciu widzów, lecz zmarł w drodze, gdy go pociągiem odwożono do szpitala. Katastrofę widziało 10,000 osób, które przeraziły się, widząc jak maszyna runęła na ziemię jak kawał skały. Moisant był urodzony w Chicago i wsławił się na polu awiatyki niesłychaną odwagą, a we Francyi dokonał on przelotu przez kanał angielski z Paryża do Londynu, mając z sobą jednego pasażera; drugi zaś raz wygrał 10 tysięcy dolarów za wzlot w Belmont Parku w New Yorku i okrążenie kilkakrotnie statuy wolności.

Drugi awitor Arch Hoxsey zginął w taki sam sposób i tego samego dnia w Los Angeles, Cal., o 2-ej godzinie po południu.—Wzbił się on do wysokości około 7,000 stóp poczem opuścił się ku ziemi, gdy nagle w wysokości 560 stóp maszyna zadrżała, szarpnęła się i w tej chwili wywróciwszy kozła z szaloną szybkością runęła na ziemię potrzaskawszy się w kawały. Pod ciężką maszyną aeroplanu systemu Wrighta znaleziono zmiażdżone ciało Hoxseya, który poniósł śmierć na miejscu. Dwa te wypadki tak podziałały deprymująco na innych śmiałych lotników — że ci zaniechali dnia tego konkursowych wzlotów.

Hoxsey wsławił się rekordowym wzlotem, gdyż wzbił się przed kilku zaledwie dniami do wysokości 11,495 stóp, czyli pobił wszystkie dotychczasowe rekordy na wysokość. On też dokonał wzlotu z byłym prezydentem Teodorem Rooseveltem. Był on niesłychanie śmiały i igrał po prostu z powietrzem. W roku ubiegłym 40 lotników straciło życie w różnych częściach świata.

Zwłoki Hoxseya pochowano dziś w Posadena, Cal., a zwłoki Moisanta w New Orleans. Na miejscu, gdzie się zabił Moisant ma być wzniesiony bronzowy pomnik.

ROOSEVELT ZAATAKOWANY.

Za wyprawę do Afryki na koszt publiczny.

WASHINGTON, D. C. — Wyprawa myśliwska ex-prezydenta Roosevelta do Afryki na koszt instytutu Smithsonian |instytut utrzymywany przez rząd federalny| rozpatrywaną będzie w Kongresie. Odnośną rezolucyę wnieśli w Izbie poselskiej kongresmani: Rainey z Illinois i Mann z Georgii.

Rezolucya posła Rainey żąda również zbadania kosztów licznych podróży Roosevelta, podczas jego urzędowania. Poseł Mann z Georgii utrzymuje, że wyprawa myśliwska Roosevelta do Afryki była trwonieniem pieniędzy publicznych. Obaj posłowie zażądać mają dochodzenia tych spraw przed plenum Kongresu, a nie przez komisyę.

KRÓL ANGLII — BIGAMISTĄ.

PARYŻ. — Sensacyjne pismo "Liberator", tu wydawane, a licznie kolportowane w Anglii, oddawna urządzało ataki na rodzinę królewską angielską, wzywając otwarcie do rewolucyi. Ostatnio ogłosiło artykuł z rewelacyą, iż król Jerzy jest... biganistą! Pierwszy raz miał on poślubić córkę admirała angielskiego w r. 1890 na wyspie Malcie. Artykuł odnośny skonfiskowano i zabroniono sprzedaży pisma owego w Anglii, a agenta jego, niejakiego Muliusa aresztowano. Wydawcą i redaktorem "Liberatora" jest E. H. James, krewny zmarłego niedawno uczonego amerykańskiego W. James'a.

ROVNIANEK ZBANKRUTOWAŁ.

PITTSBURG, Pa. — Dom bankowy firmy P. V. Rovnianek and Co. w Pittsburgu zbankrutował, został zamknięty i przeszedł w ręce sądowego zarządcy czyli receivera. W banku tym wielu Polaków składało swoje oszczędności, które zapewne stracą, jeżeli nie całkowicie, to częściowo. Szef pomienionej firmy Rovnianek jest znanym moskalofilem, nieprzychylnym Polakom i zarazem wydawcą słowackiego pisma "Amerykansko Slovenskie Noviny" — szczegóły podamy później.

WALKA POLICYI Z ANARCHISTAMI.

LONDYN. — Rozpaczliwą walkę z 200 policyantami i kompanią gwardyi szkockiej toczy dziś banda anarchistów na ulicach Londynu na East ave.

Walka trwa już blisko dziesięć godzin, odkąd policya i gwardziści szkoccy otoczyli dom przy ul. Sidney, w którym się schroniła gromadka anarchistów, fabrykujących bomby i spisek knujących na życie króla Jerzego i innych członków rodziny królewskiej, którzy się tu mają zebrać w czerwcu z racyi koronacyi króla Jerzego. Wielu policyantów rannych i nowe posiłki im nadchodzą.

W gromadzie anarchistów są dwaj szczególnie przez władze poszukiwani; jeden tak zwany "Piotr-malarz", drugi "Dutch Fritz". Piotra ścigała policya z Houndsditch, gdzie wraz z innymi napadł skład jubilerski w celach rabunkowych i zabił człowieka.

POWRÓT Z WYPRAWY WOJENNEJ.

MANILA, Filipiny. — Powrócił tu oddział wojska, który stał obozem w Mindanao. Żołnierze przez 20 dni z rzędu zajęci byli ściganiem bandytów. Jeden szeregowiec został zabity, dwaj ranieni.

Głowę jednego żołnierza, którą bandyci obnosili jako trofea zwycięskie odebrano z powrotem.

Bandytę Filipo Salvadora, którego ujęto w lipcu z. r. skazano na śmierć. Salvador, który miał popełnić 50 morderstw, gdy mu wyrok oznajmiono, zauważył cynicznie, że więcej jak raz jeden umrzeć nie może.

CAŁUS WART 10 DNI WIĘZIENIA.

NEW YORK, N. Y. — "Całus był tego wart" — oświadczył James Conway w sądzie policyjnym, kiedy sędzia Maurice Connolly skazał go na dziesięć dni więzienia za to, że skradł całusa pannie Katarzynie Ackermann, liczącej lat 28, a zamieszkałej przy 3ej ave. w College Point.

Panna Katarzyna oświadczyła w sądzie, że Conway przystąpił do niej, gdy szła do domu wieczorem i pocałował ją w policzek; następnie roześmiał się i najspokojniej począł się oddalać. Opodal jednak stał policyant J. Sulivan i ten aresztował Connollyego bez żadnego z jego strony oporu.

W ostatnich czasach ktoś ustawicznie zaczepiał młode kobiety, idące bez towarzystwa i całował je tak, że w końcu wiele kobiet obawiało się wychodzić z domu o zmroku.

KOŚCIÓŁ ZBURZONY PRZEZ BOMBĘ.

INDIANA, Pa. — Jacyś niewyśledzeni dotąd sprawcy wysadzili bombą w powietrze katolicki kościół św. Krzyża w Iselen, niedaleko Indiana, Pa. Kościół jest cały zrujnowany. Poszukiwanie za bombiarzami nie dało żadnego rezultatu.

DZIWNY WYPADEK W WARSZAWIE.

Wróżbita wywróżył nagłą śmierć sędziemu, który sądził znanego pisarza Reymonta.

NEW YORK, N. Y. — Do pism Hearsta dziwne rzeczy donosi korespondent warszawski, o których nam jeszcze prasa starokrajska nie doniosła, oto co pisze:

"Wszystkie poprzednie okoliczności, towarzyszące nagłej śmierci sędziego Fabriciusa ze sądu cywilnego w tem mieście, zdają się wskazywać na to, że autosuggestya spowodowała, lub co najmniej przyspieszyła jego śmierć.

Przeważną część oskarżonych, sądzonych przez sędziego Fabriciusa, stanowili t. zw. "polityczni". Był to sędzia uczony, ale zajmując się studyami okultyzmu, rzeczy tajemniczych, łatwo się przejmował wszelkiemi wróżbami, przepowiedniami i w każdym mniej jasnym fakcie upatrywał zapowiedź czegoś tajemniczego i straszącego. Jeden z tutejszych wróżbitów ma opinię posiadającego dziwną moc jasnowidzenia przyszłości; to jest prawdą niezbitą, że przepowiedział dokładnie wyroki w wielu procesach prawnych, na długo cłtem zanim rozprawy w nich rozpoczęto.

Co ty sądzisz o sprawie Reymonta? — zapytał sędzia Fabricius tego wróżbitę.

Przepowiedział śmierć sędziego.

Reymont znany w Europie polski powieściopisarz został uwięziony i oskarżony o obrazę rządu rosyjskiego w nowelce przezeń napisanej.

— Nie myślałem wiele o Reymoncie — odpowiedział wróżbita — ale wiem jedno — sędzia, który będzie sądził Reymonta umrze nagle.

Było to przed dwoma czy trzema miesiącami. Nie dawno, bo przed miesiącem przyszła sprawa Reymonta przed sędziego Fabriciusa, na którym przepowiednia wróżbity silne uczyniła wrażenie. Naprózno starał się sędzia o to, aby sprawę odłożyć na później; następnie — co było rzeczą wprost kryminalną według jego zapatrywań — starał się skłonić jednego po drugim ze swych kolegów, aby zajęli jego miejsce podczas rozprawy Reymonta. — Wszyscy odmówili; przepowiednia wróżbity doszła i do ich słuchu. I ostatni środek zawiódł; odmówiono mianowicie jego prośbie wysłanej do wyższej władzy aby go do innego sądu przeniesiono. Sprawa Reymonta przyszła przed niego w dn. 2 grudnia.

Sędzia F. był blady i bardzo nerwowy podczas rozprawy; skoro tylko świadków przesłuchał sędzia polecił sprawę Reymonta skreślić z kalendarza sądowego. Przepowiednia wróżbity jasno mu stała przed oczyma i aby jej spełnienia zapobiedz kierował się łagodnością. Ale bezpośrednio po Reymoncie, właściciela i wydawcy pisma, w którem nowelę tego pierwszego ogłoszono, pociągnięto do odpowiedzialności za ubliżenie rządowi. Sądził ich sędzia Fabricius, uznał winnymi zarzuconego przestępstwa i skazał na krótko terminowe więzienie.

Autosuggestya okazała się fatalną.

Sędzia spędził cały dzień w sali sądowej, przybył do domu o godz. 6 wieczór i zasiadł w swej kancelaryi, aby napisać list. W godzinę później służący wszedł do kancelaryi, aby mu powiedzieć, że obiad gotowy; sędzia Fabricius już nie żył.

Lekarze, którzy przeprowadzili autopsyę zwłok orzekli, że F. zmarł na paraliż serca, co jednak było tylko orzeczeniem problematycznem, urzędowem; lekarze prywatnie zeznali, że nie znaleźli pośmiertnego znaku choroby organicznej. Koledzy sędziego F. utrzymują, że był on ofiarą autosuggestyi i jego lekarze po cichu na to samo się godzą.

Właściciel pisma i redaktor odpowiedzialny natychmiast wnieśli apelacyę od wyroku Fabriciusa. Są oni najpewniejsi, że sędzia, który teraz będzie rozpatrywał ich sprawę — uwolni ich od oskarżenia..

Te fakty z ich zadziwiającemi konsekwencyami wprawiły całe miasto w zdumienie. Wróżbita rzeczony wyrósł obecnie w opinii na nieomylnego proroka szczęścia."

CZWARTA OFIARA STRAJKU.

Do listy zabitych w czasie strajku krawców dodano jeszcze jedno nazwisko. Onegdaj w szpitalu św. Bernarda umarł Ferdynand Weiss zam. pn. 4723 Loomis ul., postrzelony w zeszłą sobotę na rogu South Ashland i 49 ul. przez specyalnego policyanta, Edwarda Heaney.

Heanyego aresztowano i zamknięto na stacyi policyjnej. Wobec tego, że Weiss umarł, wytoczono mu proces o morderstwo. Policyant broni się tem, że strzelił w obronie własnego życia.

Według jego opowiadania spotkał on Weissa i kilku towarzyszy na Ashland ave. Weiss przystąpił do niego i odgrażał się pobiciem. Nazwał go "scabem". Policyant na to odpowiedział, że Weiss się myli, że on jest specyalnym policyantem i kazał mu iść dalej. Wtenczas to Weiss uderzył go w twarz a jego towarzysze rzucili się również na policyanta. Ten w obronie własnego życia wyjął rewolwer i strzelił. Kula uderzyła Weissa w bok. Koledzy Weissa uciekli.

ZE STRAJKU KRAWCÓW.

Strajkierzy trzymają się ostro. — Nie ma mowy o zgodzie. Fabrykanci spodziewają się końca.

Fabrykanci, w których zakładach panuje strajk, mają nadzieje prawdopodobnie płonne, że strajk się wkrótce zakończy.

Twierdzą oni, że opór strajkierów opadł ogromnie, czego najlepszym dowodem jest ta okoliczność, że napady na łamistrajków ustały.

Co w tem prawdy — niewiadomo.

Jednakże jeden fakt ogłoszony przez fabrykantów musi być przyjęty przychylnie a to, że około 40 procent prywatnych detektywów zatrudnionych przez owe firmy, którzy odprowadzali łamistrajków do domu, zostało odprawionych, a wkrótce pójdzie za tamtymi i reszta.

Co się tyczy nadziei, że w przyszłym tygodniu strajk się skończy, to uważać ją można za płonną, a to zwłaszcza, o ile się zwróci uwagę na nieugięte stanowisko strajkierów, ich zapał i entuzyazm.

Wbrew powyższym opiniom fabrykantom z tych firm, które są objęte strajkiem, bezrobotni pracownicy są jak najlepszej myśli, i zdradzają gorący entuzyazm dla sprawy strajku.

Na wszystkich halach ich zebrań czyli to na zebranich w halach, czy to na ulicy, wszędzie widać rozpromienione oczy.

"Strajkować, choćby do maja, a nie ustąpić". — Oto hasła bezrobotnych.

Zapał ten nietylko masy robotników, nietylko strajkierzy zdradzają, udzielił się on także i przywódcom, którzy pełni są otuchy i wiary w zwycięstwo.

Wiarę tę widać z ich przemówień.

Pogłoski rozpuszczane przez pisma, zostające na żołdzie bogatych fabrykantów, jakoby 90 procent robotników strajkujących powróciło do pracy, okazują się fałszywe.

Jak zapewniają kierownicy tego strajku, po świętach na salach zebrań bezrobotnych pojawiło się około 2000 nowych twarzy.

Jak wobec tego pogodzić jedno zdanie z drugiem?

O ile zdanie przywódców strajku zasługuje na wiarę, to strajkierów dotychczas od samego początku strajku nietylko że nie ubyło, a nawet przybyło.

Nadzieja i otucha, jaką żywią kierownicy strajku tem się głównie tłómaczy, że widzą oni ofiarność, jaka się budzi w całych Stanach Zjednoczonych na cele strajku.

Zorganizowana praca i wogóle sfery robotnicze ślą grosz z prowincyi dalekiej nieraz wspierając strajkierów chicagoskich, bo wiedzą, że co tym dziś, im samym jutro wydarzyć się może.

Także i Chicago pracuje dzielnie nad zasilaniem funduszu bezrobotnych krawców.

LISTY POLSKIE NA POCZCIE.

Listy te zostaną na poczcie w Chicago przez dwa tygodnie od czasu ich ogłoszenia. Po dwóch tygodniach będą odesłane do Washingtonu, gdzie będą otworzone i zniszczone.

1803	Adamczyk J	2467	Lenartowicz M
1804	Adamowicz K	2479	Lewandowski
1807	Adamowski S	2514	Magiel J
1816	Andrzejewski	2524	Makocki T
1825	Bagroski F	2555	Matczak S
1831	Bandola S	2557	Matuszewski F
1843	Baranow G	2559	Mazur J
1876	Bogdan Jan	2576	Michalski J
1892	Borowczyk Wł	2598	Mocka A
1926	Burlak A	2610	Murzyn M
1968	Cywieński A	2620	Nalepa Adam
1979	Czopeński W	2623	Nerkiewicz J
1982	Czaczkowska	2637	Nowakowski W
1995	Dabrowski O	2654	Olszowski J
2011	Dolatowski S	2662	Orszewsk A
2049	Dybas M	2666	Orechowsk
2088	Franciszek J	2677	Paczewicz A
2110	Gawron M	2687	Parniewicz J
2128	Gliński W	2701	Pawlikowski
2142	Godek F	2921	Piekatkowicz
2152	Gora Jan	2761	Pudzycki Z
2171	Gulowski F	2812	Rodowicz A
2173	Gulczyński J	2815	Romanowski J
2175	Gulczyński A	2822	Roszkowski A
2179	Gura K	2838	Rydecki J
2227	Igielska M	2858	Sawicka J
2232	Jagielski J	2896	Sikora K
2236	Sykrzewski L	2936	Sobolewski P
2261	Jakubowska A	2947	Sołatyki S
2277	Kalina W	2976	Stec Z
2299	Kendra J	3016	Syksiński W
2304	Klemanski A	3050	Toreski W
2310	Kmiecik B	3063	Trojanowski S
2331	Kolak M	3076	Tułzanowski
2349	Kotlarz M	3084	Urbanek S
2354	Kowal W	3102	Waddski F
2359	Kowalski A	3140	Welschoki W
2360	Kowalczyk M	3160	Wojnowski J
2364	Kozak G	3176	Wrobel K
2368	Kozioł J	3180	Wujcik K
2373	Kozłowski S	3195	Zanosz L
2381	Kracinski J	3210	Zelasko J
2400	Kubiak A	3221	Zawojowski P
2444	Kwit Józef	3332	Zurkowski B
		3238	Zywiec S